

ANNE STUART

WDOWA

PROLOG

Aristide Pompasse stał przy oknie w sypialni swojego pięknego florenckiego mieszkania i obserwował zalaną słońcem ulicę.

Czuł się całkiem zadowolony z życia. Cóż, miał ku temu powody. Był jednym z największych współczesnych artystów, sławnym, powszechnie cenionym malarzem, gwiazdą na artystycznej scenie, ulubieńcem krytyków. Jego obrazy sprzedawano na aukcjach za miliony dolarów. Prawda, że od kilku lat nic nie stworzył. Nie mógł malować, bo stracił swoje źródło inspiracji, swoje natchnienie. Stracił swoją muzę. Bez niej nie potrafił stanąć przy sztalugach. Bez niej on, wielki Pompasse, był nikim, żalonym starcem, którego opuścił talent. Jednak wkrótce miało się to zmienić. Ona wróci. Wiedział, że wróci, był tego pewien jak niczego innego w swoim bogatym życiu. Poczył już odpowiednie przygotowania.

Powinien był wcześniej zrozumieć, jak bardzo jej potrzebuje, niestety nie zrozumiał. Należał do licznego grona egotyków, ludzi tak bardzo pochłoniętych sobą, że świetnie funkcjonowali bez innych ludzi. W każdym razie trwali w takim złudzeniu, aż wreszcie poznawali smak prawdziwego cierpienia. I wtedy wszystko się zmieniało.

Jemu, przywykłemu do myśli, że jest pępkiem świata, bardzo długo nie mieściło się w głowie, że ktoś mógł go opuścić z własnej woli, że ktoś w ogóle mógł chcieć go opuścić. Jak to możliwe, zostawić Pompasse'a? Zrezygnować z życia u jego boku, nie kąpać się w jego blasku?

Dziwne, wręcz niepojęte. Tak w każdym razie myślał do niedawna.

Teraz, kiedy wreszcie zrozumiał, jak bardzo jej pragnie, jak bardzo jest mu potrzebna, wręcz niezbędna, odzyska ją bez większego trudu. I znowu zacznie malować.

Że też przed laty nie zadbał o ten szczegół.

Taka trywialna kwestia, a on dał się ponieść starym sentymentom.

Zupełnie niepotrzebnie. Już wiedział, że postąpił absurdalnie.

Ktoś mógłby zarzucić mu próżność, ale on nie

mógł się z tym zgodzić. Nie jest próżny, z całą pewnością nie. Po prostu od momentu, kiedy po raz pierwszy wziął do ręki pędzel, wiedział, że talent wymaga ofiar.

Nawet jeśli ofiary ponosili inni, a zwykle tak bywało, powinni się cieszyć, że padają na ołtarzu wielkiej sprawy, jaką było genialne malarstwo Aristide'a Pompasse'a.

Kiedy Charlie dowie się, co zrobił z myślą o niej i jak wiele dla niej poświęcił, ani chwili nie będzie się wahać z podjęciem decyzji. Inaczej być nie może. Wróci, z całą pewnością wróci, i od tej chwili wszystko znów będzie jak dawniej.

Jak przed laty...

Omiótł wzrokiem stare, pełne antyków, tchnące przemyślaną elegancją wnętrze. Charlie będzie się lepiej czuła tutaj, we Florencji, niż w starej willi na wsi. Tam było za dużo wspomnień i zbyt wiele osób wokół. To męczące otoczenie dla wrażliwej, zamkniętej w sobie kobiety.

Właśnie z myślą o niej kupił mieszkanie w mieście. Umieści ją tutaj, z dala od wścibskich oczu, złych języków, domowych intryg snutych przez jego dawne kochanki. Będzie ją miał tylko dla siebie. I już nigdy nie pozwoli jej odejść.

Charlie...

Charlie i on, tylko we dwoje.

Spojrzał na obraz wiszący nad kominkiem.

Było to jedno z jego najlepszych dzieł.

Kiedy Charlie wróci, będzie mógł zacząć wszystko od nowa. Była jego natchnieniem, jego światłem, promienistym drogowskazem, a on

okazał się na tyle dufny, tak bardzo zajęty sobą i pracą, że nie potrafił tego dostrzec.

Od pierwszej chwili, ledwie ją zobaczył, wiedział, że musi ją mieć. Za wszelką cenę. Dopóki z nim była, wszystko szło wspaniale, wszystko układało się po jego myśli.

Minęło pięć lat, a on ciągle nie mógł pojąć, że odeszła. Jak mogła? Dlaczego to zrobiła? Obsypywał ją pieniędzmi, wspaniałymi klejnotami, miała wszystko, o czym mogła marzyć młoda kobieta. Ale Charlie obojętnie przyjmowała prezenty. Dobra materialnie nie robiły na niej żadnego wrażenia, jakby ich nie dostrzegała. Jakby nie miała żadnych potrzeb.

Taka była Charlie.

Rozsławił jej wizerunek na całym świecie, unieśmiertelnił ją przez swoją sztukę. Koneserzy, krytycy, kolekcjonerzy, kuratorzy największych muzeów, właściciele znanych galerii, wszyscy

oni znali twarz Charlie.
Nigdy jej nie uderzył, nigdy nie uciekł się do przemocy. Nie miałby jej za złe, gdyby brała sobie kochanków, z całą pewnością nie. Był gotów zgodzić się na wszystko, przyjąć każdy warunek, który Charlie postawi. Chciał tylko jednego. Żeby znowu z nim była.
Ona wróci, był tego pewien.
Pompasse nie widział jej od lat. Jaka jest teraz?
Na pewno silniejsza i pewniejsza siebie, bardziej

świadoma własnej wartości, ale nawet taka, odmieniona i z większym bagażem doświadczeń,
nie oprze mu się, nie odrzuci wyciągniętej ręki.
Jego męski urok przeszedł już do legendy. Będzie ją kusił, oczaruje jak niegdyś, i Charlie wróci.
Wróci.

Rozdzwoniły się wszystkie dzwony we florenckich kościołach. Spiżowe dźwięki niosły się ponad miastem. Jego ukochana Florencja. Jego miejsce na ziemi.

Pompasse był co prawda Francuzem, ale wgłębi duszy czuł tajemne pokrewieństwo z mistrzami włoskiego Renesansu. Miał Toskanię we krwi, rozkochał się w jej kulturze.

To tutaj przecież powstały niedościgłe arcydzieła. Michał Anioł, Leonardo da Vinci, Botticelli, oni wszyscy pochodzili z Toskanii i tworzyli we Florencji, stąd ruszali na podbój całych Włoch, a potem Europy. Stąd, z Toskanii, promieniowała wielka sztuka piętnastego i szesnastego wieku, której patronowali najwięksi mecenasowie tamtych czasów, potężny ród Medyceuszów.
Ponad dachami miasta Pompasse widział srebrzącą się w oddali wstęgę Arno, która przecinała miasto, oraz stare mosty przerzucone przez rzekę. Od wieków spinały oba brzegi. Teraz patrzył na najpiękniejszy z nich, zwany Ponte Vecchio.
Punkt druga.

To znaczy, że rzecz powinna się już dokonać.
Decyzja została podjęta. Klamka zapadła. *Finito*, jak powiedzieliby Włosi. Przychodzi *nuova apertura*, czyli nowe otwarcie.
Trzeba to koniecznie uczcić. Musi wypić kieliszek wina za swoje nowe życie. Pompasse energicznie ruszył w kierunku schodów. Krok miał sprężysty, lekkość w sercu.
Stało się, zaczynał wszystko raz jeszcze, od początku. Z Charlie. Jakżeby mogło być inaczej? Czuł się znowu młody, nienasycony, pełen wigoru, wiary i entuzjazmu. Znowu będzie malował, znowu zaczną powstawać wspaniałe, podziwiane przez wszystkich obrazy.

Tak, będzie malował. I będzie żył wiecznie.
Pogwizdywał sobie cicho pod nosem wesołą
włoską melodię. Już dawno tego nie robił, bo od
lat nie czuł takiej lekkości w duszy. Nagle zamilkł,
melodia urwała się gwałtownie. Pompasse
zatrzymał się u szczytu schodów i znieruchomiał.
Stała na dole, czekała na niego. Ostatnia osoba,
którą spodziewał się zobaczyć.

I wtedy zrozumiał z porażającą jasnością, jaka
spływa na człowieka, kiedy przychodzi mu żegnać
się ze światem, że nie będzie żył wiecznie. Że
zaraz umrze.

Na wielkiego Pompasse'a przyszedł czas śmierci,
przekreślając wszystkie jego nadzieje. Cudowne,
przyprawiające o zawrót głowy nadzieje,

marzenia, którymi karmił się tak długo. Uczynił
wszystko, by się spełniły.

Teraz musiał zapłacić ostateczny rachunek.

Śmierć przyszła, by się z nim rozliczyć. Przyjmie
ją, pomyślał z pokorą. To takie dziwne,
w ostatnich chwilach życia doświadczyć pokory.

Dotąd nie wiedział, co to słowo oznacza.

Teraz zrozumiał jego sens. Podobnie jak zrozumiał
w jednym oślepiającym przebłysku, czym
jest bolesny smak końca, absolutnego, nieodwracalnego
finału.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Connor Maguire pasjami lubił zaczynać dzień
od znajdowania trupów. Wprost przepadał za tym
zajęciem. Pierwsza kawa, poranna gazeta, a potem
jakiś trup.

Włamał się do apartamentu, żeby przeprowadzić
dyskretne rozpoznanie, a natknął się na zwłoki
właściciela mieszkania, sławnego Aristide'a Pompasse'a,
największego z żyjących malarzy.

Żyjących?

Niekoniecznie. W każdym razie jeszcze mniej
więcej przed godziną, według pobieżnej oceny
Maguire'a, a trochę się na tym znał, można go
było zaliczać do istot żywych, lecz teraz już
raczej nie. Koniec, kropka. Nieodwołalne są wyroki
losu, pomyślał sentencjonalnie.

Nie musiał wcale odznaczać się darem szczególnej
przenikliwości, żeby stwierdzić oczywiste
fakty.

Przez długie lata był korespondentem wojennym.
Był na Bliskim Wschodzie, w Afryce, w Kosowie...
Chyba łatwiej mógłby wymienić fronty,
z których przesyłał reportaże, niż te, na które

z jakichś powodów, zwykle od niego niezależnych nie dotarł. Wiele widział, zbyt wiele, i potrafił odróżnić żywych od umarłych, a Pompasse z całą pewnością liczył się między sztywnych, acz całkiem od niedawna. Maguire cicho zamknął za sobą drzwi apartamentu i oparł się o nie z ciężkim westchnieniem.

- Cholera - zaklął pod nosem, z niejasnych powodów kontentując się tylko tym słowem. Zwykle, kiedy był wzburzony, kiedy działo się coś złego, zupełnie się nie hamował, tylko nabierał powietrza w płuca i bluzgał ostro i kwieciście, aż uszy wędły.

I po chwili czuł ulgę.

Przekleństwa pomagały mu znosić koszmary, z którymi na co dzień stykał się w swojej pracy. Dopóki, oczywiście, był korespondentem wojennym. Dlatego właśnie zrezygnował. Nie wytrzymał.

Coś w nim pękło, po prostu się wypalił.

Pozostał co prawda dziennikarzem, ale zajął się zupełnie innymi sprawami. Chciał zapomnieć o toczących się na świecie wojnach, które zdawały się nie mieć końca. Ledwie jedna wygasła, gdzieś natychmiast pojawiał się nowy konflikt, zarzewie nowych tragedii, nowych nieszczęść.

Sytuacja, jaką zastał w domu wielkiego malarza, domagała się znacznie mocniejszych słów, ale te jakoś nie przychodziły mu do głowy. Nic zresztą dziwnego, bowiem myśli Maguire'a bez reszty zajęte były paskudnym szambem, w które właśnie wdepnął.

Zamierzał napisać książkę tysiąclecia, kompendium wiedzy wszelakiej. To był jego wielki cel hołubiony od wielu miesięcy.

Przez ostatnich pięć lat zajmował się produkowaniem tekstów dla tygodnika „Starlight”, międzynarodowego, dobrze znanego i jeszcze lepiej sprzedającego się brukowca, który należał do Marka Gregory'ego.

Pompasse miał być dla Maguire'a nie tylko źródłem zarobku, choć oczywiście pieniądze były ważne, ale wręcz jego *raison d'être*, jego motorem działania. Liczył, że wydobywając na światło dzienne pikantne, skandaliczne, skrzętnie ukrywane szczegóły z życia artysty, znacząco zasili swój portfel, ale przede wszystkim ucieknie ze znieawidzonego świata mediów.

Od kilku miesięcy z pracowitością godną lepszej sprawy gromadził wszelkie, nawet najtrudniej dostępne i skrywane przed światem materiały na temat starego malarza. Tylko tym żył.

Chciał napisać dla Gregory'ego cykl artykułów o Pompasse, potem zrobić na tej podstawie

książkę, raz na zawsze zamknąć europejski rozdział

swojej działalności i wrócić wreszcie do rodzinnej Australii. Potem zamierzał spokojnie żyć z procentów, najlepiej gdzieś za miastem, na farmie, i odcinać kupony od dotychczasowych, a w ostatnich czasach bardzo wątpliwych „dokonań” dziennikarskich.

Zamknąć raz na zawsze europejski rozdział?

Zdecydowanie tak.

Raz na zawsze skończy z tym wszystkim, co od dawna go mierzilo.

Ciało malarza znalazł zaraz po włamaniu się do domu, na marmurowej posadzce w holu, u podnóża schodów prowadzących do sypialni. Zimne jak marmur truchło o szeroko otwartych, pustych oczach. Ani śladu krwi.

Przykucnął obok nieboszczyka. Nie miał ochoty go dotykać. Oczywiście nie z powodu szczególnego przeczulenia na kontakt z trupami. Nie wzdragał się, kiedy stykał się ze śmiercią, dawno już uodpornił się na podobne widoki, przywykł do nich, znieczulił się. Lata spędzone w biznesie dziennikarskim i na różnych frontach wojennych skutecznie stępiły jego wrażliwość.

Im lepiej, im dogłębniej i dokładniej poznawał przeszłość Aristide’a Pompasse’a, jego życie, charakter, obyczaje, sposób obchodzenia się z ludźmi, a już szczególnie z najbliższymi osobami, tym większej nabierał dla tego człowieka pogardy, wręcz fizycznej odrazy.

Może jednak w biednej, zeszmaczonej, zdawałoby się wypalanej do cna duszy cynika poniewierały się jednak jakieś resztki dawnego, przez lata zapomnianego idealizmu?

Może.

Pompasse z całą pewnością zasłużył sobie na to, co go spotkało. Maguire’owi było wszystko jedno, kto zabił starego capa, chyba że miałoby to wpłynąć na wysokość nakładu „Starlight”, a potem książki. A wiedział doskonale, że będzie musiało wpłynąć. Pompasse był naprawdę wielką postacią i budził żywe zainteresowanie czytelników. Należało to wykorzystać.

Bowiem śmierć, jak wiadomo, jest niezwykle popłatna. Dobrze sprzedaje się w mediach, lepiej niż cokolwiek innego. Wie o tym każdy reporter, każdy prezenter wiadomości i każdy właściciel gazety czy stacji telewizyjnej.

Zawodowa ciekawość wzięła górę i po chwili wahania Maguire położył jednak dłoń na szyi starego. Zimna, zwiotczała, pomarszczona skóra.

Może jednak malarz umarł wcześniej niż przed

godziną? Maguire spojrział na kręte, strome schody, które prowadziły do sypialni na piętrze. Pompasse mógł potknąć się i spaść, szczególnie jeśli wypił o ten jeden feralny kieliszek wina za dużo. Zakręciło mu się w głowie, źle postawił stopę, stracił równowagę i poleciał na złamanie karku, w czarną otchłań, na spotkanie śmierci.

Marne życie, marny koniec.

Maguire przysiadł na piętach i wyciągnął z kieszeni papierosy. To między innymi lubił we Włoszech... a lubił w tym słonecznym kraju wiele rzeczy: włoskie kobiety, włoskie niebo, włoską kuchnię, pogodnych ludzi... przede wszystkim jednak lubił to, że mógł palić, gdzie mu się żywnie podobało, pewnie i w samym Duomo, jeśli strzeliłoby mu do głowy, żeby wejść z papierosem do górującej nad dachami miasta wspaniałej florenckiej katedry zwieńczonej jeszcze wspanialszą kopułą, zaprojektowaną przez renesansowego architekta Filippa Brunelleschiego.

We Włoszech nikt się nie boczył na człowieka z papierosem w ustach i nie wygłaszał śmiertelnie nudnych kazań na temat szkodliwości palenia.

Włosi mieli zrozumienie dla ludzkich słabości, potrafili traktować je z niespotykanym gdzie indziej pobłażaniem.

Zaciągnął się głęboko i dmuchnął dymem w zastygłą twarz starego. Tak, to musiał być nieszczęśliwy wypadek. Cóż by innego? Prosta sprawa, proste wyjaśnienie.

Dlaczego zatem, do jasnej cholery, ledwie spojrział na zwłoki, natychmiast pomyślał o morderstwie?

A nie o owym prostym wyjaśnieniu?

Podniósł się gwałtownie i spojrział na swoje dłonie. Dostać się do apartamentu nie było trudno.

Nie miał żadnych oporów, wszedł pewnie jak

do własnego mieszkania. Był przekonany, że Pompasse jest w swojej wiejskiej willi pod Florencją, na obrzeżach niewielkiego, pamiętającego średniowieczne czasy miasteczka Geppi.

Szukał kompromitujących materiałów. Szczególnie zależało mu na dziennikach, które stary prowadził od wielu lat i w których pisał o swoich obrazach i modelkach, a zapewne też, na co szczególnie liczył Maguire, o przygodach miłosnych, z których przez długie lata słynął. Nazwiska, pikantne szczegóły...

Były tego całe tomy: Pompasse podobno dokumentował sumiennie, choć poza tym sumienny

nie był, każdy, nawet najdrobniejszy szczegół swojego życia. Gdyby udało się do nich dotrzeć...

Jednego tylko Maguire nie przewidział, a mianowicie

że zamiast znaleźć upragnione dzienniki, natknął się na zimnego trupa. Przyglądał się zwłokom i chłodno kalkulował, jakie znaczenie i jaką wartość może mieć dla niego to ponure odkrycie. Z jednej strony martwy Pompasse był, co było zrozumiałe samo przez się, o niebo wdzięczniejszym tematem dla mediów niż Pompasse żywy. Trup sprzedawał się lepiej, a Maguire chciał sprzedawać dużo i drogo. Skandaliczne romanse malarza, jeśli tylko by je wydobyć na światło dzienne – a dlaczego nie? – powinny przynosić naprawdę niezłe dochody przez kilka najbliższych lat. Co najmniej przez

kilka lat... Dobrze rzecz rozegrać i Maguire byłby zabezpieczony do kresu swych dni.

Z drugiej jednak strony wcale nie było mu w smak, że znalazł się na miejscu zbrodni. Wiele osób bowiem wiedziało, że nie darzył szczególną sympatią starego sukinsyna, który leżał teraz bez życia na marmurowej posadzce w holu swojego mieszkania.

Pompasse stosunkowo szybko zorientował się, że Maguire węszy wokół niego, i próbował przez swoich prawników za wszelką cenę przystopować Marka Gregory'ego.

Właściciel „Starlight” nie uległ naciskom, nie przejął się pogroźkami, ale wszyscy wokół wiedzieli o wrogich nastrojach panujących między redakcją międzynarodowego brukowca i mocno rozsierdzonym niezdrową dziennikarską dociekliwością malarzem, który nie życzył sobie, by ktokolwiek szperał w jego życiu prywatnym.

Nie miałoby to żadnego znaczenia, gdyby Pompasse po prostu spadł ze schodów i skręcił sobie kark, ale Maguire wcale nie był o tym przekonany. Wręcz przeciwnie, bo kiedy od dłuższej chwili wpatrywał się w leżące na posadzce zwłoki, ogarniały go najgorsze przeczucia. Chciał jak najszybciej umknąć z tego przeklętego, przypominającego grobowiec mieszkania, nie pozostawiając przy tym śladu swojej obecności.

Był dziennikarzem od piętnastu lat, od momentu

skończenia studiów, i boleśnie przekonał się, że nie wolno ignorować instynktu samozachowawczego.

Wysłuchiwał się w jego sygnały i dlatego z daleka nieomylnie wyczuwał i śmierć, i zbrodnię. Mógłby się założyć, że w tym wypadku chodziło o zbrodnię, mimo że nie znalazł w domu Pompasse'a żadnych śladów walki. Im szybciej się stąd wyniesie, tym lepiej. Ani myślał zawiadomić policję. Musi zachować jak najdalej posuniętą ostrożność i przezorność.

Obszedł szybko całe mieszkanie, utrwalając w pamięci każdy detal, a pamięć wzrokową miał doskonałą. W sypialni zobaczył niezastane łóżko, nie potrafił jednak powiedzieć, czy spała w nim jedna, czy dwie osoby.

Wszędzie zateęchłe powietrze i przygnębiający zapach śmierci.

W kuchni zlew pełen brudnych naczyń, na desce do krojenia okruchy chleba i resztki sera. Pompasse albo dał wolne gospodyni, albo z niewiadomych powodów nie zawiadomił jej, że przybywa do miasta. Maguire zatrzymał się w salonie przed wielkim portretem.

Przedstawiał tę samą dziewczynę, co obraz wiszący w sypialni, niewielka akwarela w holu i szkic na galerii pierwszego piętra. Wpatrywał się w jej twarz jak zahipnotyzowany.

Młodziutka, prawie dziecko. Zwinięta w kłębek spoglądała na świat z nadzieją i hardością,

a delikatną twarz przesłaniały ciemne włosy. Znał ten obraz, od dawna przecież interesował się Pompasse'em. Dzieło z tak zwanego złotego okresu, czyli z najlepszych, najciekawszych i najbardziej płodnych lat w twórczości starego. Potem jego styl stał się surowszy, bardziej abstrakcyjny, trudno było rozpoznać kolejne modelki. Tę Maguire rozpoznawał, ale za nic nie mógł przypomnieć sobie jej imienia. Wiedział tylko, że to młoda żona Pompasse'a, jego muza i natchnienie. Obszedł leżące w holu zwłoki. Szkoda, że nie miał przy sobie aparatu. Zwykle nie rozstawał się ze swoim sprzętem, ale przyszedł tutaj w poszukiwaniu dzienników malarza, skąd więc, u licha, mógł wiedzieć, że natknie się na coś, co warte będzie sfotografowania. Molly wstydziłaby się za niego, że okazał się tak nieprzewidujący. Rasowy reporter, ba, nawet najgorszy pismak pracujący dla najbardziej parszywego brukowca, powinien być zawsze przygotowany na wszelkie niespodzianki.

To podstawowa zasada obowiązująca dziennikarza, który uważa się za profesjonalistę, a Maguire w dalszym ciągu tak mniemał o sobie. Starannie wytarł klamkę brzegiem koszuli. Nie miał czasu na nic więcej. Powinien wyjść stąd możliwie jak najszybciej, zamiast zawracać sobie głowę zacieraniem śladów, których pewnie i tak nie zostawił, bo taki miał zawodowy nawyk.

Mimo to trochę się bał ewentualnych konsekwencji,

powtarzał sobie jednak, że policja nie będzie miała najmniejszych podstaw, by go podejrzewać. Prawda, Pompasse naraził mu się, próbując wpłynąć na Gregory'ego i zablokować

publikację materiału na swój temat, ale to żaden powód do popełnienia zbrodni. Dziennikarz żyje ze śledzenia swych ofiar, a nie ich zabijania. Dopiero kilkadziesiąt metrów od domu odetchnął z ulgą. Nikt go nie widział. Szczęście mu sprzyjało. Nie miał sobie nic do wyrzucenia. Gardził starym, ale to nie znaczyło, że go zabił. Gardził wszystkimi, o których pisał. Śmierć Pompasse'a mogła bardziej zaszkodzić jego książce, niż jej pomóc. To powinien być przekonujący argument, gdyby policja zaczęła się go czepiać. Nie ma Pompasse'a, nie będzie rynku na sensacyjną biografię. Wiedział doskonale, że to nieprawda, ale co szkodziło wcisnąć kit, w razie gdyby jakiś gorliwy inspektor próbował dobrać mu się do skóry? Zawsze umiał wykręcić się z trudnych sytuacji, dlatego chodził jeszcze po tym świecie. Zakładając, że nikt nie będzie go podejrzewał, a mógł to zakładać z dużą dozą prawdopodobieństwa, zamordowanie Pompasse'a spadło mu jak z nieba. Stary zasłużył sobie na śmierć, a książka powinna sprzedawać się jak ciepłe bułeczki, może nawet wejść na listę bestsellerów. Maguire był pragmatykiem.

Kawiarnia w pobliżu domu, w którym mieszkał, jak zwykle wczesnym popołudniem świeciła pustkami. Pora sjęsty. Zdążył wypalić pół paczki papierosów. Przysiękł sobie, że to ostatnia, kiedy stanęły mu przed oczami obrazy, które widział w apartamencie malarza. Młoda żona... ciągle nie pamiętał jej imienia. Zostawiła Pompasse'a przed wielu laty, a może to on miał jej dość, trudno powiedzieć. Potem stary nie malował już kobiet o świetlistych oczach. Nie znalazł takiej jak tamta. Coraz młodsze modelki, a było ich bez liku, spoglądały z kolejnych płócien na widza wystraszonego wzrokiem. Kto go zabił? Maguire mógłby iść o zakład, że jedna z kobiet, którymi stary zawsze się otaczał. Miał cały harem. W wiejskiej willi mieszkały obok siebie kochanki z różnych okresów, z różnych etapów życia Pompasse'a. Każda z tych wegetujących na marginesie istot miała liczne powody, żeby go ukatrupić. Zgasił niedopałek i wyjął następnego papierosa. Za dużo palił, wiedział o tym, ale w tej chwili miał większe zmartwienia niż stan własnych płuc. Stawiałby na tę o złocistych oczach, wdowę po starym, madame Pompasse we własnej osobie. Mieszkała w Stanach, ale mogła przecież pojawić się we Florencji. Jeśli ona to zrobiła, Maguire łatwo znajdzie

dowody. W przeciwieństwie do policji, miał

absolutnie wolną rękę, nie krępowały go zasady, kwestie proceduralne, litera prawa. Sam był sobie sterem, żeglarzem, okrętem. Nawet Gregory, choć płacił, nie mógł mu nic dyktować, co najwyżej w ograniczonym zakresie. Miałyby piękny rozdział na zamknięcie książki. Epilog wielkiej biografii. Skończy paczkę gitanów, dopije kawę, potem zadzwoni do szefa „Starlight”, a jutro może wreszcie rzuci palenie.

Charlotte Thomas zagniała właśnie ciasto na chleb, kiedy usłyszała, że jej mąż nie żyje. A rano zdawał się taki spokojny, wręcz sielski.

W kuchni unosił się miły zapach drożdży i cynamonu. Palce rytmicznie wyrabiały miękką masę. Zza okna dochodziły rozmowy ptaków. Dla Charlotte przygotowywanie domowego chleba stanowiło swoistą formę medytacji. To był jej rytuał, cotygodniowe święto celebrowane zawsze z tym samym namaszczeniem.

Mieszkała w samym środku Manhattanu i samochody nawet o szóstej rano potrafiły zagłuszać ptasie trele, owe świergoty, ćwierkanie, gruchanie, krakanie. A jednak kiedy popadała w błogi nastrój, nie słyszała już wielkomiejskiego szumu, tylko ptaki, które lubiły przysiąść na gzymsach starej kamienicy na Wschodniej 73 Ulicy. Gdyby włączyła radio, zapewne wcześniej dotarłaby do niej wiadomość o nagłej śmierci Pompasse’a.

Ale nie włączyła, bo nie chciała, żeby zewnętrzna rzeczywistość wdzierła się do jej domu i mąciła święty „czas chleba”. Zagniała ciasto, zamykała oczy i wyobrażała sobie, że przenosi się gdzieś bardzo, bardzo daleko, do innego świata, lepszego od tego, w jakim od wielu lat przyszło jej egzystować.

Nie reagowała na natarczywe dzwonki telefonu, przechytrzyła ją jednak automatyczna sekretarka. W kuchni rozległ się stoicki, arystokratyczny głos jej narzeczonego:

- Charlie, Pompasse nie żyje. Do zobaczenia. Henry Richmond był jej co prawda bardzo oddany, jednak zdecydowanie brakowało mu wyobraźni i wrażliwości. Nagrał lakoniczną wiadomość, wiadomość, która miała odmienić całe jej życie, po czym najzwyczajniej w świecie odłożył słuchawkę, pewien, że we właściwy sposób wypełnił swoje zadanie. I już. Tak, Henry był nadzwyczaj sumiennym człowiekiem, przy czym traktował własną osobę i przypisane do tejże osoby obowiązki z niezwykłą wprost powagą.

Charlie przyjęła wieść obojętnie. Pompasse miał siedemdziesiąt trzy lata i kiepskie zdrowie. Lubił włoskie wino, mocne francuskie papierosy, dobre jedzenie. Wiódł leniwe życie sybaryty i nigdy nie dbał o siebie. Natomiast kiedy malował, zachowywał się jak człowiek opętany przez

swoje wizje, odnajdywał w sobie niezmożone siły, wracały mu młodość i energia. Odkładał pędzle i znowu stawał się zrzędlwym starcem. A teraz nie żyje. Odszedł na zawsze. Pewnie zmęczone serce nie wytrzymało niefrasobliwego trybu życia, rozmyślała Charlie, nie przerywając tchnącego spokojem misterium wyrabiania chleba.

W fajansowej miseczce z Limoges leżały jej pierścionki, a miseczka stała na marmurowym blacie kuchennym, na którym Charlie zagniała ciasto. Spojrzała na żółty brylant. Dostała go od Pompasse'a w dniu ich ślubu. Miała wtedy zaledwie siedemnaście lat, tylko siedemnaście, on zaś dobiegał sześćdziesiątki.

Był dla niej wszystkim. Ojcem i opiekunem. Wielbił ją, adorował, potrzebował jej. Po latach tułaczki z matką, która nigdzie nie potrafiła zapuścić korzeni, Charlie miała wreszcie dom, zyskała tak potrzebne każdemu poczucie stabilizacji i bezpieczeństwa. Choćby już tylko dlatego kochała starego Pompasse'a.

Gnieść chwilę, rozciągnąć, zlepować, plasnąć o blat, odwrócić drożdżową bułę.

Rytmiczne, niemal bezwiedne, automatyczne, dobrze znane ruchy.

Znowu zaczną wydzwaniać dziennikarze. Nieustannie zmieniała numer telefonu. Nie znali jeszcze najnowszego, ale wiedziała doskonale, że

to tylko kwestia czasu. Zawsze potrafili ją wytropić. Jutro, pojutrze będą czekać przed jej restauracją, będą kierować na nią kamery, oślepić reflektorami, podtykać mikrofony. Największy współczesny malarz nie żyje. Co myśli na ten temat jego była żona, co czuje w tych jakże smutnych dniach? Co myśli? Co czuje?

Nie chciała myśleć, nie chciała nic czuć. Jest przecież silna, wszystko potrafi przetrwać, z biegiem lat zdążyła nauczyć się tej trudnej sztuki, choć ciężka i żmudna to była nauka. Potrafi, jeśli trzeba, zapomnieć o bólu i zająć się zwykłymi codziennymi sprawami. Potrafi wyprzeć ze świadomości to, co trudne.

Obrócić, plasnąć, ugnieść. Prawie skończyła wyrabiać ciasto. Nie miała już ochoty odkładać go do miski, żeby wyrosło. Skończyło się misterium

„czasu chleba”.

Będzie teraz musiała umyć ręce i wsunąć żółty brylant na serdeczny palec.

Kiedy zdecydowała się odejść od Pompasse’a, próbowała zwrócić mu pierścionek, ale go nie przyjął, odesłał z powrotem. Powtarzał, że należy do niej, że pasuje do jej złotych oczu. Nie miała wyjścia, zatrzymała klejnot. Nosiła go przez wzgląd na męża, chociaż po rozstaniu nigdy więcej już go nie zobaczyła. Dzisiaj też nałoży żółty brylant. Zrobi to dla niego.

Drgnęła na dźwięk dzwonka telefonu i szybko

chwyciła słuchawkę. Pod drugiej stronie odezwała się matka.

- Słyszałaś już? - Chłodny, opanowany głos zza oceanu.

- Słyszałam - przytaknęła Charlie z tym samym chłodem. Dawno już się połapała, że tylko w ten sposób może uporać się z matczyną ekspansywnością.

- Przylatuję do Nowego Jorku. Będziesz mnie potrzebowała.

- Nie będę. - Jakby kiedykolwiek w czymś mi naprawdę pomogła, pomyślała Charlie z pełną gorzki niechęcią.

Olivia z całą pewnością nie była osobą, którą człowiek chciałby mieć przy sobie w trudnych chwilach. Nigdy nie wybaczyła córce, że to za jej sprawą wreszcie uświadomiła sobie, jak puste jest jej życie, jak bardzo jałowe, powierzchowne i pozbawione jakiegokolwiek głębszego sensu.

Nie wybaczyła także tego, że Charlie odeszła od Pompasse’a. Może przede wszystkim tego, że odeszła od Pompasse’a.

- Chcę być na mszy za jego duszę, Charlie.

Msza w Nowym Jorku, pogrzeb w Toskanii

- tłumaczyła jak na nią wyjątkowo cierpliwie.

- W La Colombali. Przyjedziesz - raczej stwierdzała, niż pytała.

Olivia nigdy nie pytała, tylko narzucała z góry swoje zdanie innym. Nie interesowały jej odpowiedzi,

nie potrafiła słuchać ludzi. Chyba nawet nie słyszała swoich słów, bo mówiąc bez przerwy, zagłuszała również samą siebie. Roszczeniowa i apodyktyczna, widziała tylko własne drogowskazy.

Charlie stanął żywo w pamięci obraz wiejskiej willi. Czyste tokańskie niebo, niezwykle światło, zapach winorośli i rozgrzanego od słońca powietrza.

Ogarnęły ją lęk i przemożna tęsknota. Nie potrafiła powiedzieć, które z tych odczuć jest silniejsze.

- Nie sądzę.

Może jednak lęk przed bolesną konfrontacją

z przeszłością?

- Dziecinko, nie zapominaj, że jesteś jego eks żoną. I spadkobierczynią. To jednak do czegoś zobowiązuje, prawda? Jego prawnicy nie znają twojego adresu, nie wiedzieli, jak cię odnaleźć, ale skontaktowali się ze mną. Od nich wiem, że Pompasse nie zmienił testamentu. Ciągłe ważne jest ten, który został spisany jeszcze w okresie waszego małżeństwa.

- Niech to szlag.

- Cieszę się, że pieniądze tak mało dla ciebie znaczą. - W głosie Olivii dało się słyszeć lekkie rozbawienie. - Uwierz swojej matce, człowiek, żeby nie wiadomo ile miał dóbr, nie jest nigdy zbyt bogaty.

„Uwierz swojej matce”. Dobrze powiedziane. Nic dodać, nic ująć.

Charlie popełniła wiele błędów w swoim trzydziestoletnim życiu, ale tego jednego nigdy.

Wcześniej zrozumiała, komu mogła wierzyć, lecz niestety Olivii Thomas nie było wśród tych wybranych osób. Taka była smutna prawda.

- Jest wczesny świt, mamo. Dosłownie przed chwilą dowiedziałam się o śmierci Pompasse'a. Henry przekazał mi wiadomość. Zadzwoń do mnie za kilka godzin, bardzo proszę, wtedy będziemy mogły spokojnie pomówić o...

Swoim zwyczajem Olivia nie dała jej dokończyć zdania.

- Dzwonię z lotniska, mam już bilet, jestem po odprawie. Mój samolot startuje za kilkanaście minut. Porozmawiamy w Nowym Jorku, skarbie. Będę przy tobie - zapewniła ze stosownym do okoliczności patosem i rozłączyła się, zanim córka zdążyła zaprotestować.

Charlie powoli odwiesiła słuchawkę. Zagniecione ciasto chlebowe nadal leżało na marmurowym blacie. Okrągła, pulchna buła. Wyrzuciła ją ze złością do kosza na śmieci i umyła ręce.

Wytarła je w fartuch i sięgnęła po pierścionki.

Jako ostatni wsunęła na palec skrzący się świetlistymi refleksami żółty brylant. Wpatrywała się przez długą chwilę w klejnot pustym, niewidzącym wzrokiem.

I dopiero teraz z jej oczu popłynęły łzy.

ROZDZIAŁ DRUGI

Nie powinien był słuchać Gregory'ego. Rzadko słuchał innych i dobrze na tym wychodził. Wolał zdawać się na własną intuicję. Cenił ją sobie bardzo, podobnie jak niezależność i swobodę w podejmowaniu decyzji. Tym razem jednak

właściciel „Starlight” pozostał nieugięty.

- Musisz lecieć do Nowego Jorku na mszę za Pompasse'a - upierał się. - Rozejrzysz się dyskretnie.

Nikt przecież nie musi wiedzieć, kim jesteś. Oficjalny reportaż zrobią nasi chłopcy. Są już na miejscu. Ty zajmij się wdową, może pojawią się też byłe kochanki.

- A jeśli ktoś przypadkiem zapamięta moją twarz? Nie wpuszczą mnie potem do willi. Będę mógł zawiesić sprawę na kołku, czyli, mówiąc inaczej, będę spalony - próbował przemówić Gregory'emu do rozsądku.

- Nie wymagaj, żebym uczył profesjonalistę

jego fachu. Do diabła, jesteś starym wyjadaczem i potrafisz wejść wszędzie, gdzie zechcesz.

- Zamierzałem zaprezentować się jako przedstawiciel firmy ubezpieczeniowej Pompasse'a i tym sposobem dostać się do willi. Co taki łeppek miałby robić na mszy w Nowym Jorku?

- Co się z tobą dzieje, na litość boską? Bierz się do roboty, człowieku. Czyżbyś się bał, że sobie nie poradzisz?

- Poradzę sobie - wycedził Maguire przez zęby. - Ale wyjazd do Nowego Jorku to tylko niepotrzebna strata czasu. Posłuchaj mnie, skoro uważasz, że jestem profesjonalistą.

- Nie zamierzam cię słuchać, profesjonalisto. Potraktuj to jako potrzebną stratę czasu. Pompasse był sławny, nie muszę ci tego chyba tłumaczyć.

Na mszę zjadą się dziennikarze z całego świata, będą szukać materiału. My mamy już materiał. Pracujesz nad nim od kilku miesięcy, siedzisz w samym środku tej historii. Nie możemy pozwolić sobie na to, żeby ktoś sprzątnął ją nam sprzed nosa tylko dlatego, że nie chcesz lecieć do Nowego Jorku, bo ktoś może zapamiętać twoją twarz - irytował się Gregory, sapiąc głośno w słuchawkę, jakby zabrakło mu powietrza.

Maguire w końcu się zgodził. Trzymał się z boku i wszystko byłoby dobrze, gdyby w pewnym momencie wdowa nie podniosła wzroku i nie spojrzała mu prosto w twarz.

Natychmiast schował się za jeden z filarów dzielących nawy, a kiedy ostrożnie wychylił znowu głowę, zobaczył, że spuściła już oczy. Złociste, niezwykle i tajemnicze oczy, które tak dobrze znał z obrazów Pompasse'a.

Ogromny kościół był wypełniony po brzegi. Zebrali się żałobnicy, szukający sensacji i dreszczyku emocji gapie, paparazzi sprzedający zdjęcia temu, kto dawał lepszą cenę, reporterzy pracujący dla prasy brukowej tak jak Maguire. Mało

prawdopodobne, żeby pani Pompasse zapamiętała w tym tłumie akurat jego twarz.

Wysłuchał cierpliwie kwiecistych, podniosłych mów pożegnalnych, bardziej stosownych dla Matki Teresy niż dla starego narcyza. Ciekawe, że nikt nie uronił choćby jednej łzy. Nikt nie czuł potrzeby, by opłakiwać wielkiego Pompasse'a, nikt nie próbował nawet udawać smutku.

A już najmniej Connor Maguire.

Na przyjęciu po mszy był zaledwie kilka minut. Tak z przezorności, a on zawsze był przezorny. Wolał nie rzucać się w oczy, obawiał się spotkania twarzą w twarz z wdową, skoro później zamierzał do niej dotrzeć, podając się za kogoś, kto raczej nie miał powodów, żeby pojawić się na mszy żałobnej w Nowym Jorku.

Zatrzymał się jeszcze na chwilę przy zatłoczonym wejściu do „La Chance” i po raz ostatni

zerknął na Charlie Thomas. Nie mógł jej rozgryźć.

Owszem, znał suche fakty. Wyszła za Pompasse'a, gdy miała siedemnaście lat, a zostawiła go po ośmiu latach małżeństwa i rozpoczęła nowe życie. Przyjechała do Nowego Jorku i otworzyła restaurację, która z punktu zdobyła ogromną popularność.

Pani Thomas - Pompasse sama zapracowała na swój sukces. Robiła wrażenie osoby spokojnej, stanowczej, umiejącej decydować o sobie, a przy tym łagodnej, kruchej i kompletnie oderwanej od rzeczywistości. Zaiste, dziwna kombinacja.

Był ciekaw, które z tych biegunowo różnych cech bardziej waży na jej osobowości: siła czy kruchość? W tej chwili wyglądała jak otulona lodowym płaszczem Królowa Śniegu. Czego trzeba, żeby rozbić zimną powłokę?

W odczuciu Charlie najgorsze było przyjęcie, nie msza i nawet nie natrętni do granic wytrzymałości, wszechobecni paparazzi.

- Moja dzielna dziewczynka. - Henry poklepał ją delikatnie po dłoni. - Potrafiłaś zachować kamienny spokój. Obserwowałem cię. Znakomicie się trzymałaś przez cały czas. Jestem z Ciebie naprawdę dumny.

„Dzielna”, „znakomicie”, „dumny”.

Charlie uśmiechnęła się z przymusem. Przy

usposobieniu Henry'ego takie słowa to już prawdziwa wylewność.

Przyjęcie można było uznać za udane, jakżeby zresztą mogło być inaczej, skoro zostało urządzone w „La Chance”, restauracji należącej do Charlie. Maurice naprawdę przeszedł samego siebie,

przygotowując zimny bufet.

Tak, przyjęcie byłoby bez wątpienia całkowicie udane, gdyby nie ludzie, którzy płaszczyli się przed Pompasse'em za życia, a teraz bezlitośnie go obgadywali. Jedli, pili i zerkali ukradkiem w stronę Charlie. Dopóki nie narzucali się z nachalnymi pytaniami i ograniczali do kilku słów współczucia, niewiele sobie robiła z ich pokątnych spojrzeń. Wspierana przez Henry'ego jakoś powinna przetrwać ciągnący się w nieskończoność dzień.

Matka rozmawiała z kimś w drugim końcu sali. Odrzuciła właśnie do tyłu wystudiowanym gestem płomiennie rude włosy. Wyglądała wspaniale, jak zwykle. Całą swoją energię wkładała w to, żeby zawsze wyglądać wspaniale. Ciekawe, czy zrobiła sobie kolejną operację plastyczną, przemknęło Charlie przez głowę.

Nie odziedziczyła po matce legendarnej urody i uważała to za błogosławieństwo, rodzaj ochronnej powłoki. Tak w każdym razie myślała do momentu, kiedy poznała Pompasse'a. Ten zaś wolał subtelność niż ostentacyjne, obeszwałniające

piękno. Przepadła wtedy z kretesem, straciła ochronną powłokę, czy też raczej on ją zniszczył. Nie, małżeństwo z Pompasse'em nie było przegraną, napomniała się ostro i zacisnęła kurczowo palce na ramieniu Henry'ego. Gniotła jego elegancki garnitur, ale Henry, oczywiście, nie odsunie się, nie zwróci jej uwagi.

Henry, dżentelmen doskonały, zawsze, w każdej sytuacji.

W przeciwieństwie do Pompasse'a, który potrafił awanturować się o byle głupstwo.

Mądrze wybrał, żeniąc się właśnie z nią. Obcowanie z matką nauczyło ją radzić sobie z nieznośnymi, apodyktycznymi ludźmi o wybuchowych temperamentach. Mogła się uważać za eksperta w tej materii. Przy historycznej Olivii Pompasse wydawał się łagodnym barankiem, choćby tylko dlatego, że w przeciwieństwie do jej rodzonej matki po prostu ją kochał.

Henry też ją kochał, na swój stateczny, pełen godności sposób. Uosabiał wszystko, czego oczekiwała od mężczyzny: czułość, urok osobisty, wyrafinowany smak, dojrzałość. Wspierał ją, kiedy potrzebowała wsparcia, pozwalał rozpostrzeć skrzydła, kiedy potrzebowała swobody.

Zdejmie w końcu z palca żółty brylant i nałoży stary wenecki pierścionek z perłą, który Henry kupił po miesiącach poszukiwań, aż znalazł wreszcie

klejnot godny jej delikatnej urody, jak to

określił. Tym razem wyjdzie za człowieka tylko dwa razy od niej starszego.

- Pozwól mi jechać z tobą do Toskanii, kochanie

- szepnął jej do ucha. - Chcę być przy tobie.

To taka smutna, przygnębiająca podróż. Nie powinnaś być tam sama.

Charlie spojrzała w jego poważne, pełne szczerzej troski oczy.

- Mówiłam ci, że możesz przyjechać, jak tylko uda ci się wyrwać z Nowego Jorku, ale ja nie mogę czekać ani jednego dnia. Chcę natychmiast zająć się spuścizną malarską po Pompassie i przekazać ją we właściwe ręce. Rozdysponować zapisy testamentowe. Jestem mu to winna. Miałabym nieczyste sumienie, gdybym zwlekała.

- Tydzień możesz chyba poczekać? Kilka dni naprawdę niewiele zmieni. Twoja matka też z pewnością nie pojawi się wcześniej w La Colombali.

To był jeden z powodów pośpiechu. Olivia miała, jak zawsze, czas wypełniony po brzegi, a Charlie chciała trochę pobyc w willi bez przytłaczającej obecności swojej rodzicielki.

Gdyby przyznała to głośno, z całą pewnością zgorszyłaby Henry'ego. Olivia go akceptowała i to mu w zupełności wystarczało. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że między córką

a matką mogą istnieć jakieś napięcia, Charlie natomiast nie zamierzała go oświecać w tej kwestii.

- Przyjedzie niedługo - uspokoiła narzeczonego.

- Nie traktuj mnie, jakbym była ze szkła.

Od lat sama dbam o siebie, poradzę sobie. Na miejscu jest Lauretta i cała reszta. Byli oddani Pompassie'owi, a on troszczył się o nich i każdemu coś zapisał. Czekają, żebym rozporządziła testamentem i zajęła się spuścizną.

- Sprzedasz willę - bardziej stwierdził, niż zapytał. - Powinnaś dostać za nią dobrą cenę. Toskania jest teraz bardzo modna, a ruiny koło domu tylko dodają uroku posiadłości.

- Ma się rozumieć, że sprzedam - przytaknęła. Utrzymanie La Colombali było potwornie kosztowne, natomiast Charlie ułożyła już sobie życie w Nowym Jorku, z Henrym. Na co jej sypiący się dom w Toskanii?

Dla tamtego światła, szeptał cichutko jakiś głos wewnętrzny. Dla zapachu przesycającego powietrze, dla chłodnych wieczorów, soczystych winogron. Przez pamięć dla miejsca, w którym po raz pierwszy poczuła się bezpieczna.

Z latami stała się praktyczna i nauczyła podejmować praktyczne decyzje.

- Ma się rozumieć - powtórzyła, jakby chciała przekonać samą siebie i zagłuszyć podszepty głosu. - Jak tylko uporządkuję sprawy spuścizny.

Czy się jej wydawało, czy dostrzegła na twarzy Henry'ego ulgę? Wszystko jedno. W każdym razie uśmiechnął się z aprobatą.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby ci pomóc, kochanie. Możemy się tam nawet pobrać, jeśli zechcesz.

Prędzej zjadłaby pieczone tarantule, ale zachowała ten komentarz dla siebie. Brała ślub z Pompasse'em w winnicy La Colombala i nie zamierzała zaczynać życia z Henrym w taki sam sposób, w tym samym miejscu.

Patrzył teraz na nią, jakby właśnie ofiarował jej królewski dar. Charlie śmieszył stosunek Henry'ego do Pompasse'a: dziecinny, trwożny podziw dla artystycznego geniuszu, połączony z krańcową dezaprobatą dla „rozwiązłego”, „rozpustnego”, „niemoralnego” życia.

Wziąć ślub z byłą żoną wielkiego malarza w winnicach poprzednika to było jego marzenie. Charlie czuła, że będzie musiała się napracować, żeby wyperswadować Henry'emu ten absurdalny, no i z gruntu niesmaczny pomysł.

- Porozmawiamy jeszcze o tym - powiedziała ostrożnie i zamilkła.

Z determinacją wymalowaną na pięknej twarzy parła właśnie w jej stronę matka. Zielona suknia miękko otulała szczupłą jak u modelki sylwetkę, ale Olivia, przynajmniej raz, nie myślała o wrażeniu, jakie wywołuje.

Musiało wydarzyć się coś naprawdę nieprzyjemnego. Charlie wstrzymała oddech i z lękiem czekała, co usłyszy.

- Henry ci jeszcze nie powiedział? - syknęła dramatycznie. Tylko Olivia, urodzona aktorka, potrafiła wysyczeć zdanie, w którym nie było ani jednego „s”.

- Co miałem powiedzieć? - zainteresował się Henry.

- Pompasse to skończony sukinsyn. - Olivia gniewnym ruchem porwała kieliszek z tacy podsuniętej przez kelnera.

- On już nie żyje, mamó - zauważyła Charlie spokojnie.

- I nadal bruździ w moim życiu. - Olivia niewiele sobie robiła z uczuć i przeżyć córki. Potrafiła zagarnąć dla siebie nawet nieboszczyka, chociaż był „skończonym sukinsynem” i „bruździł w jej życiu”. W niczym innym, tylko właśnie w jej. Taki traf.

- Co się stało?
- Do samego końca nie rozwiódł się z tobą, wyobrażasz sobie? Nigdy nie podpisał papierów rozwodowych. - Wypiła szampana jednym haustem i odstawiła pusty kieliszek na kredens. - Za zdrowie Charlie Thomas - Pompasse, szczęśliwej wdowy - mruknęła kwaśno. - Wygląda na to, że nieźle cię urządził.
- W czym problem?

- W tym, że odziedzyczyłaś jego długi, skarbie. A te mogą okazać się większe niż warta jest jego spuścizna. Wcale bym się nie dziwiła, gdyby tak było. Najcenniejsze obrazy zniknęły, po prostu zniknęły, rozwiały się w powietrzu. Zawsze był rozrzutny, a teraz ty będziesz za to płacić. Stracisz swoją restaurację, a i tak nigdy pewnie nie spłacisz wierzycieli.
- Nie bądź śmieszna, Olivio - wtrącił Henry.
- Nawet jeśli Pompasse nie podpisał papierów rozwodowych, on i Charlie od lat pozostawali w separacji. To wystarczająco przekonujący argument. Żaden sąd nie będzie mógł...
- Jesteś co prawda prawnikiem, ale nie powiesz mi, że znasz się na włoskim prawie - przerwała mu ostro.
- A ty się znasz? - odparował.
- Boli mnie głowa. - Charlie próbowała zachować spokój. To, co powiedziała jej matka, było niestety bardzo prawdopodobne. Przez ostatnich pięć lat żyła w przekonaniu, że uwolniła się od Pompasse'a, tymczasem dowiaduje się, że nie pozwolił jej uciec od siebie. Powinna była to przewidzieć. Żadnej ze swoich kobiet nie pozwalał uciec. Chyba że któraś była na tyle mądra, sprytna i zdeterminowana, by wymknąć się spod jego władzy bez uprzedzenia, a potem zniknąć bez śladu.
- Nie martw się, Charlie - szepnął Henry.

- Poczekasz kilka dni, a jak już będę wolny, razem polecimy do Włoch i wszystko wyjaśnimy. Mam tam wielu zaprzyjaźnionych prawników, którzy chętnie ci pomogą. Wszystko będzie dobrze.
- Trzeba pochować Pompasse'a.
- Nie musisz być przecież na pogrzebie, kochanie.
- Wgłosie Henry'ego zabrzmiała ostrzejsza nuta.
- Jutro lecę do Florencji. - Charlie nie zamierzała zmieniać raz podjętej decyzji.
- Nie będę mogła lecieć z tobą - natychmiast zastrzegła się Olivia.
- Dołączycie do mnie później. Pogrzeb ma się odbyć w sobotę i chcę na nim być.

Zrobiła, jak zapowiedziała. Kiedy wysiadła na krajowym lotnisku we Florencji, nie czuła już ani zmęczenia, ani tym bardziej lęku, który tak mocno zawładnął nią w Nowym Jorku. Poruszała się jak we śnie i myślała tylko o tym, że świeci nad nią błękitne tokańskie niebo, że niedługo znajdzie się w willi i wszystko znów nabierze sensu.

Był piękny jesienny dzień. Słońce złociło majestatyczną kopułę katedry, nurt Arno połyskiwał świetlistymi refleksami. Charlie wciągnęła głęboko w płuca powietrze i przymknęła z lubością oczy. Zapach Włoch, jedyny w swoim rodzaju,

nie do pomylenia z żadnym innym. Pierwsze odczucie, pierwsze odurzenie. Powitanie z dawno opuszczoną Toskanią.

Wynajęcie odpowiedniego samochodu okazało się trudniejsze, niż przypuszczała. Z rozmysłem nie uprzedziła nikogo w La Colombali o swoim przyjeździe, więc nikt nie czekał na nią na lotnisku. Takie powitania powinny być intymne i nie potrzebują świadków.

Wiedziała od Henry'ego, że służba nadal mieszka w willi, w tym również Tomaso, szofer i zarazem majster od wszystkiego, taki domowy konserwator, który naprawi każdą usterkę. Nie zdziwiłaby się wcale, gdyby okazało się, że nadal jeździ ukochanym rolls -r oyce'em Pompasse'a. Nie chciała wracać do willi rollsem, bo wyglądałoby to zbyt oficjalnie. Woląa dotrzeć tam samodzielnie. Poza tym uczyła się prowadzić na wąskich, wiejskich drogach w okolicy La Colombali i teraz, dla czystej przyjemności, pragnęła przemierzyć je sama.

Stary, toporny fiat też jej nie odpowiadał.

Myślała o sportowym samochodzie, szybkim, efektownym. Poszukiwania zajęły jej sporo czasu, ale warto było włożyć w nie trochę zachodu.

Alfa romeo okazało się idealnym wozem, dokładnie takim, jakiego potrzebowała.

Otworzyła dach, włączyła radio, zawiązała na głowie chustkę na modłę Audrey Hepburn,

włożyła ogromne okulary przeciwsłoneczne i ruszyła na północny wschód, do Geppi. La Colombala leżała na obrzeżach miasteczka. Charlie kochała te okolice. Znacznie trudniej było jej porzucić Toskanię niż u przykrzonego męża. Chciała jak najszybciej znaleźć się znowu w wiejskiej posiadłości Pompasse'a. Jechała prędko pustymi, krętymi drogami, na pamięć, na skrót. Jutro wybierze się na spokojną przejażdżkę i odwiedzi ukochane miejsca. Teraz przede

wszystkim musi dotrzeć do La Colombali, by spotkać się z ludźmi, za których była teraz odpowiedzialna. Pompasse z pewnością pomyślał o tym, żeby ich zabezpieczyć, ale to ją uczynił wykonawczynią swojego testamentu. Geppi nie zmieniło się ani trochę od chwili, kiedy była tu po raz ostatni. Bo też dlaczego miałyby się zmieniać, skoro przez setki lat pozostawało takie samo? Opuściła je, to prawda, ale przecież nie obróciło się przez to w gruzy. Koło południa przemknęła przez senne, pogrążone w błogostanie średniowieczne uliczki. Wszędzie niezmacony spokój i cisza. W przeciwieństwie do zabieganych, wielkomiejskich Amerykanów, mieszkańcy Geppi od wieków z namaszczeniem przestrzegali tradycyjnego obyczaju sjestowania. Pnąca się stromo droga dojazdowa do La Colombali też się nie zmieniła. Może tylko cyprysy wystrzeliły wyżej i wykruszyły się kolejne

kamienie w niskich murkach ogradzających pola. Jeśli nawet tak, nie była w stanie dostrzec różnicy. Tylko droga wyraźnie była teraz w gorszym stanie. Asfalt był spękany, pojawiły się dziury, chwasty rosły w szczelinach. Pompasse miał dwa ukochane samochody, rolls - royce'a i ferrari. Bardzo pilnował, żeby dojazd do willi był idealny, by wypieszczone wozy nie doznały uszczerbku. Dlaczego nagle przestał dbać o drogę?

W pewnej chwili zdała sobie sprawę, że kurczowo, do bólu, zaciska dłoń na kierownicy.

Rozluźniła palce, wzięła głęboki oddech, wyłączyła radio. Zrobiło się przeraźliwie cicho. Tylko wiatr szumiał w gajach oliwnych.

Minęła chaty z kamienia, zabudowania gospodarcze, winnicę, której od lat przedwojennych nikt nie uprawiał, i podjechała pod willę skąpaną w złotym blasku.

La Colombala.

W głębi, za domem, widoczna była masywna wieża starego, opuszczonego i na wpół zniszczonego kościoła. Szara bryła na tle rozstłonecznionego, błękitnego nieba. Charlie na jeden krótki moment zapało dech w piersiach.

Niby wszystko było takie jak dawniej, a jednak inne. Wysoki na dwie kondygnacje główny korpus willi, parterowe skrzydła boczne. W jednym mieściła się kuchnia i pomieszczenia dla służby, w drugim przestronna pracownia Pompasse'a.

Wszystkie okna i drzwi szeroko otwarte, tylko pracownia zamknięta na głucho. Smutny, żałobny widok. Niczym klepsydra wywieszona na domu zmarłego artysty.

Pompasse był starym człowiekiem. Trudnym, upartym, cholerycznym. Nie dbał zupełnie o swoje zdrowie. Kopał jak komin, za dużo pił, miał za wysokie ciśnienie.

Kiedyś go kochała, teraz żałowała tylko, że odszedł wielki talent, chociaż czasami nachodziły ją podejrzenia, że genialny, przez wszystkich podziwiany malarz, dawno go stracił. Nie słyszała nic o jego nowszych obrazach, w pismach artystycznych nie znajdowała ich reprodukcji. Czyżby Pompasse przestał malować?

Wyłączyła silnik i zamyślona siedziała przez chwilę bez ruchu.

Nikt nie usłyszał podjeżdżającego samochodu.

Nikt nie wybiegł jej na spotkanie. To dobrze.

Mieszkańcy willi przesypiali południowe godziny, jak przystało na szanujących się, godnych tego imienia Toskańczyków.

Wysiadła z alfa romeo, przeciągnęła się, zdjęła chustkę z głowy. Miała na sobie dżinsy i sweter z merynosów. Dla Pompasse'a zgroza. Zawsze domagał się, żeby nosiła rzeczy znanych projektantów. Może uspokoiłby się trochę, gdyby się dowiedział, że sweter Charlie to oryginalny Versace.

Już miała wejść do domu, kiedy coś zwróciło jej uwagę. Jakiś ruch, który dostrzegła kątem oka.

Spojrzała w lewo, w stronę winnicy.

Był październik, pora winobrania, ale ciężkie kiście nadal zwieszały się z gałęzi. Pompasse umarł zaledwie przed kilkoma dniami, lecz La Colombala sprawiała wrażenie od dawna zaniedbanej, podupadłej.

Ktoś był w winnicy. Pompasse lubił spacerować wśród winorośli, udawał, że jest mistrzem w robieniu win. Zawsze ją śmieszyło, że nie dość mu maestrii w jednej sztuce i tęskni za inną, tak zgoła różną.

Ale to nie był Pompasse, bo przecież nie żył, odszedł na zawsze. I nie Tomaso. Chociaż mężczyzna już zniknął, zdążyła zauważyć, że był znacznie młodszy i dużo wyższy od Tomasa. Kto to? Poza jednym Tomasem, Pompasse nie tolerował mężczyzn w swoim domu kobiet.

Niewiele myśląc, Charlie ruszyła do winnicy w ślad za obcym mężczyzną. Szła, kierując się zapachem dymu z papierosa. Zapach dymu papierosowego, zapach tytoniu, to dziwny zapach.

Zrazu sprawia miłe wrażenie, lecz staje się obrzydliwy, wręcz nie do zniesienia, kiedy przesiąknie nim ubranie lub jakieś wnętrze.

W La Colombali palił tylko Pompasse, no i Tomaso, który z rzadka ćmił fajkę. Pompasse uważał, że palenie to paskudny nałóg, ale sam był

nawet ponad własne opinie. Charlie od lat nie musiała już dusić się w obłokach dymu, a jednak jego zapach obudził w niej dziwną nostalgię. Dzień, chociaż jesienny, był wyjątkowo ciepły. Wełniany sweter, za gruby na tę pogodę, grzał niemiłosiernie, słońce raziło w oczy, a okulary zostawiła w samochodzie. Właśnie zaczęła się zastanawiać, czy po nie wrócić, kiedy, skręciwszy za węgiel domu, stanęła twarzą w twarz z tajemniczym nieznajomym.

ROZDZIAŁ TRZECI

Omam na niego nie wpadła z rozpędu. Zatrzymała się gwałtownie z miłym uśmiechem na twarzy. Jeśli w ogóle mogła nauczyć się czegokolwiek od Olivii, były to bez wątpienia nienaganne maniery.

- Jezu! Ale mnie pani wystraszyła! Kim pani jest, u licha?

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Charlie Thomas - przedstawiła się i wyciągnęła dłoń. - A pan?

O ile jej maniery były nienaganne, to ogląda nieznajomego pozostawiała wiele do życzenia.

Bardzo wiele.

Mierzył ją przez chwilę natarczywym i podejrzliwym spojrzeniem, wreszcie zdecydował się uścisnąć wyciągniętą na powitanie dłoń.

- Connor Maguire. Konsultant ubezpieczeniowy

- oznajmił lakonicznie.

- Nie przypuszczałam, że tak szybko kogoś przyślą do La Colombali. - Pomyślała, że we Włoszech musiało sporo się zmienić przez ostatnich pięć lat, kiedy jej tu nie było. Toskańskie urzędy słynęły z żółwiego tempa pracy i chronicznego wręcz bałaganiarstwa.

- To duża i różnorodna spuścizna, dlatego zależało nam na czasie - wyjaśnił, ale nie przekonał Charlie.

Pan Connor Maguire, konsultant ubezpieczeniowy, mówił z silnym australijskim akcentem.

Australijczyk pracujący we włoskich ubezpieczeniach?

Wydało się jej to trochę dziwne. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że gdzieś już go widziała, choć była pewna, że osobiście nie zna tego człowieka. Gdyby był jej kiedykolwiek przedstawiony, nie zapomniaby go.

- Cieszę się - powiedziała. - Dopiero przyjechałam.

Nie miałam pojęcia, że ktoś z ubezpieczeń pojawił się już w La Colombali i zajął naszymi sprawami.

- Jest pani wdową po Pompassie.
- Byliśmy w separacji. - Ciągłe nie mogła uwierzyć, że Pompassie nie dał jej rozwodu, ale nie zamierzała wtajemniczać nieznanego w swoje problemy. - Wiem, że mąż uczynił mnie wykonawczynią testamentu, co chyba oznacza, że właśnie ze mną będzie pan załatwiał wszystkie formalności związane ze spuścizną.

Connor Maguire mógł być wszystkim, tylko nie konsultantem ubezpieczeniowym. Charlie z powątpiewaniem przyglądała mu się spod oka. Ciekawe, jak przyjęli go domownicy? Zmierzwione, dawno niestrzyżone włosy, kilkudniowy zarost, wymięty, tani garnitur. Gdzie podziała się obowiązkowa, nienaganna prezencja facetów od ubezpieczeń? To podejrzane indywiduum miało ze trzydzieści pięć lat i mierzyło nie więcej niż metr siedemdziesiąt. Ot, niepozorna szarżyzna. Lubiała wysokich, szczupłych, eleganckich mężczyzn o delikatnych dłoniach, ascetycznych twarzach i miłym głosie. Doświadczonych, cierpliwych, pełnych uroku, takich, którzy niczego nie żądali i potrafili trzymać ręce przy sobie. Maguire najwyraźniej nie posiadał ani jednego z tych przymiotów.

- Chyba? - powtórzył. - Myślałem, że to zupełnie oczywiste.

Z twarzy Charlie w jednej chwili zniknął konwencjonalny uśmiech.

- Pompassie nie był biznesmenem, tylko artystą, ale chyba miał jakiegoś prawnika.

- Znowu to „chyba”.

- Jeśli to panu przeszkadza, proszę przyjechać za kilka dni, kiedy uporządkuję już sprawy związane ze spuścizną - oznajmiła chłodno. Arogancki macho, pomyślała ze złością. Arogancki, cuchnący testosteronem macho.

- Nie mam czasu bez sensu jeździć w tę i z powrotem. Skoro już tu jestem, załatwię, co mam do załatwienia.

Miał pobrużdżoną twarz i zmęczone oczy człowieka, który ciężko pracuje na chleb. Oczy kogoś, kto widział w swoim życiu zbyt wiele i nie potrafił zapomnieć.

- Można wiedzieć, jeśli łaska, co takiego właściwie ma pan „do załatwienia” w La Colombali, panie Maguire?

- Muszę skatalogować obrazy pani męża, jego rysunki, grafiki, wszystko, co przedstawia jakąkolwiek wartość.

- Ile czasu może to panu zająć?

- Zostanę tu tak długo, jak będzie trzeba

- odpowiedział wymijająco. - Fiskus nie lubi być oszukiwany, kiedy przychodzi do płacenia podatku spadkowego. Niestety pojawiła się drobna komplikacja, o której pewnie pani nie wie. Najcenniejsze prace pani męża zniknęły wraz z dokumentacją, czyli dziennikami. Rządowi zależy na ich szybkim odnalezieniu.

- Jakemu rządowi?

Maguire wzruszył ramionami.

- Niech pani wybiera. Przynajmniej trzy kraje interesują się spuścizną Pompasse'a. Włochy, Francja i Stany Zjednoczone, może jeszcze kilka innych do kompletu. Co to ma być, przesłuchanie czy rozmowa kwalifikacyjna?

Charlie zamrugała gwałtownie. Maguire był opryskliwy, impertynencki, bezczelny. Zaskakujące zachowanie. Na jego stanowisku...

- Przepraszam?

Prychnął ubawiony.

- Nie podobają się pani moje maniery? Proszę wybaczyć, ale nie mam czasu na uprzejmości. Muszę wykonać swoją robotę i nie pani mi za nią płaci. Zostanę w willi tak długo, dopóki nie skończę tego, co mam tu do zrobienia, a potem z przyjemnością zniknę pani z oczu. Tymczasem może mnie pani traktować jak powietrze.

Charlie wzięła głęboki oddech. Nie potrzebowała żadnych „drobnych komplikacji”, ale jakoś to zniesie. Wszystko zniesie. Jest przecież silna i twarda.

- Mam nadzieję, że jednak uda się nam porozumieć.

Co do traktowania jak powietrze, to raczej niemożliwe. Wkrótce dom się zaludni.

Musi pan, chce czy nie, pogodzić się z sytuacją.

Za kilka dni przyjeżdża moja matka i mój narzeczony.

Będę potrzebowała pokoi dla nich. Willa nie jest przygotowana na przyjęcie tylu gości.

- Narzeczony? Nie traci pani czasu.

- Panie Maguire...

- Po prostu Maguire, skarbie. - Przechylił głowę i przyglądał się uważnie Charlie. Pomimo upału przeszedł ją zimny dreszcz. - W porządku, wiem, to nie moja sprawa. Dziwię się tylko,

dlaczego drogi narzeczony nie zamieszka razem z panią w jej pokoju.

- Gdyby to była pana sprawa, z całą pewnością poinformowałbym pana o niej w szczegółach.

A teraz może zająłby się pan swoimi obowiązkami, zamiast spacerować po winnicy?

- Pani zdaniem człowiek nie ma prawa do chwili odpoczynku? Przepracowanie prowadzi do otępienia umysłowego - mruknął.

Wcale nie wyglądał na szczególnie otępiatego. Był przepracowany, tak, ale jego oczy patrzyły uważnie i bystro.

- Niech więc pan sobie odpoczywa do woli, ale jeśli łaska, na swój rachunek, a nie kosztem mojego czasu - oznajmiła najbardziej lodowatym tonem, na jaki potrafiła się zdobyć.

- Tak się pani spieszy?

- Chcę uporządkować spuściznę i wrócić do Nowego Jorku.

- Tam pani mieszka?

- Tak. Mam tam restaurację - dodała nie wiadomo po co. Miała ochotę kopnąć się w kostkę.

Co go to obchodzi? Dlaczego opowiada mu o sobie? Maguire był namolny i fatalnie wychowany. Ot, wścibski prostak.

- Pani gotuje? - zapytał z głębokim niedowierzaniem.

- Owszem, gotuję, kiedy mój szef kuchni ma wolny dzień.

- Coś podobnego. - Mimo tych słów widać było, że informacja Charlie nie wywarła na nim żadnego wrażenia. - Nie wygląda mi pani na osobę zbyt zaradną. - Rzucił niedopałek papierosa na ziemię i zgasił go czubkiem mocno sfatygowanego buta. Podniósł wzrok. - Pewnie zaraz powie mi pani, żebym nie palił?

- Skąd pan wie?

- Bo taka już pani jest.

- Jaka?

- Taka, co to drży na samą myśl, że odrobina popiołu może zniszczyć, czyli obrócić w popiół, doskonały porządek panujący w jej życiu. - Maguire czasami lubił bawić się słowami, choć nie zawsze były to zabawy najwyższego lotu. Charlie zdawała się podzielać tę opinię, bo uśmiechnęła się krzywo.

- La Colombala popadła w ostatnich latach w ruinę, ale nawet kiedy tu jeszcze mieszkałam, nie oczekiwałam doskonałego porządku. Nie mam obsesji ładu, nie dręczą mnie takie natręctwa. Fałszywie mnie pan ocenia. Mieszkam na Manhattanie, proszę sobie wyobrazić. Brudnym, zaśmieconym, pełnym narkomanów i typów spod najciemniejszej gwiazdy Manhattanie.

- Na pewno jest pani bezpiecznie odizolowana od tego brudu i ciemnych typów. Sprawia pani wrażenie osoby, która za wszelką cenę unika zetknięcia z prawdziwym życiem.

- Gdyby to było możliwe...

- Ma pani szczęście, madame Pompasse. Zamierzałem rzucić palenie, jak skończę tę paczkę.

Właśnie ją skończyłem. Widzi pani przed sobą

człowieka odrodzonego.

Madame Pompasse. Ile razy to słyszała, a już szczególnie w ostatnich dniach, kiedy na każdym kroku oblegali ją reporterzy. W ustach Maguire'a „madame Pompasse” brzmiało dziwnie, obco i wrogo, niemal jak obelga.

- Byliśmy w separacji - powtórzyła. - Wróciłam do swojego nazwiska.

Słowa Charlie nie zrobiły na nim żadnego wrażenia, jakby nie słyszał, a raczej nie chciał słyszeć, co powiedziała, jakby próbował dać jej do zrozumienia, że ją lekceważy.

Skinął głową.

- Wracam do pracy.

Niech idzie, pomyślała z ulgą, ale diabeł ją podkusił, żeby zatrzymać Maguire'a.

- Jak pan myśli, ile to będzie trwało?

- Co?

- Katalogowanie spuścizny Pompasse'a - wyjaśniła cierpliwie.

- Gdybym miał dokumentację, którą gromadził pani mąż, a przede wszystkim gdybym miał jego dzienniki, już by mnie tu nie było. W tej chwili wiem tylko tyle, że brakuje od trzech do dwunastu obrazów. Bez notatek Pompasse'a nie

potrafię nic więcej powiedzieć. Mógł sprzedać te prace po cichu, nikomu nic nie mówiąc.

- Wątpię. - Charlie pokręciła głową. - To nie w jego stylu. Nie był z tych cichych i skromnych. Kiedy kończył kolejny obraz, wszyscy musieli o tym wiedzieć i podziwiać. Prasa, galerie, muzea.

- Miała pani gdzieś staruszka, co?

Charlie na chwilę zaniemówiła. Maguire stał się ordynarny i agresywny. Z kimś takim nie można bawić się w dyplomację.

- Kochałam mojego męża, panie Maguire. To pana mam gdzieś.

Jeśli chciała zirytować Maguire'a choć w połowie tak, jak on zirytował ją, to sromotnie się zawiodła. Kiwnął tylko głową, a w jego oczach zabłyśły wesole isierki.

- Gdzie pani zdaniem mogą być jego dzienniki?

- zapytał.

- Nie mam pojęcia. Na pana miejscu zainteresowałabym się raczej zaginionymi obrazami, a nie dziennikami. Są znacznie więcej warte.

- Może - zgodził się. - Pytałem już gospodynię, niestety bez rezultatu. Twierdzi, że nic nie wie. Moim zdaniem albo Pompasse zniszczył obrazy, albo zrobiła to któraś z jego pięknych odalisek. Ten dom jest pełen kobiet. Nigdy żadna od niego nie odeszła?

- Ja odeszłam.

- Ale wróciła pani.
- Tylko po to, żeby go pochować, Maguire.
- Kto po nim dziedziczy?
- Zapewne wdowa.
- Pani?
- Ja.
- Nie podnieca to pani specjalnie. I bardzo dobrze, bo wygląda na to, że tort wcale nie jest taki duży. Czy Pompasse mógł mieć powody, żeby wyprzedawać swoje prace?
- Nie wiem.
- Zakładam, całkiem, jak myślę, słusznie, że nie przyłożyła pani ręki do zniknięcia wszystkich wartościowych przedmiotów, skoro dopiero dzisiaj przyleciała pani z Nowego Jorku.
- Wszystkich wartościowych przedmiotów?
- powtórzyła Charlie. - Co ze srebrami, z biżuterią? Też zniknęły?
- Biżuteria należała do pani, więc nie musiał uwzględniać jej w testamencie. Tym samym nie będzie wliczona w podatek spadkowy.
- Zwróciłam mu ją.
- Niech to pani powie ludziom od podatków, lady, a nie mnie.
- Myślałam, że pan oblicza podatek spadkowy.
- Jestem niezależnym konsultantem ubezpieczeniowym. Moim zadaniem jest tylko sporządzić listy, nazwijmy je, inwentarzowe.

- Tak, tak... Lecz nie wygląda pan na konsultanta ubezpieczeniowego. Pożałowała tych słów, ledwie je zdążyła wypowiedzieć. Maguire zrobił krok w jej stronę. Dopiero teraz zobaczyła, że miał ciemnozielone, prawie czarne oczy.
- A na kogo wyglądam pani zdaniem, lady?
- zapytał cicho.
- Stał tak blisko, że mogła go dotknąć. Charlie nigdy nie lubił dotykać ludzi, a już na pewno nie takich jak Maguire. Nie cofnęła się jednak.
- Na kogoś, kto woli działać, zamiast bawić się słowami.
- Zaśmiał się krótkim, urywanym śmiechem.
- Nawet pani nie wie, jak bardzo się myli.
- Wyłącznie bawię się słowami, madame Pompasse.
- Proszę mnie tak nie nazywać.
- Irytuje to panią, prawda? Dobra, możemy to zmienić. Mów mi Maguire, ja będę mówił ci Charlie. Kiedy pogrzeb?
- W sobotę. Urna z prochami spocznie w winnicy tak, jak sobie życzył mój mąż - odpowiedziała sztywno.
- Myślałem, że stary był katolikiem, a tu

proszę, kremacja, pochówek w niepoświęconej ziemi.

- A ty, Maguire? Jesteś katolikiem? Trudno mi sobie to wyobrazić.

- Odstępcą od wiary, lady.

- Tak jak Pompasse. Jeśli trafił do piekła, to za swoje grzechy, a nie za nieortodoksyjny pochówek. W każdym razie nie w moim przekonaniu.

Te wszystkie rytuały nie mają znaczenia. - Znowu za dużo powiedziała.

Maguire skinął tylko głową. Ani trochę nie zaskoczyły go jej wynurzenia.

- Spróbuję skończyć do soboty, wyjadę zaraz po pogrzebie i więcej nie będziesz musiała mnie oglądać. Ale pamiętaj, potem pojawią się faceci z fiskusa i kto wie, czy nie pomyślisz sobie wtedy, że wcale nie byłem taki straszny, jak ci się teraz wydaje.

- Do soboty? - powtórzyła. - Dom będzie wtedy pełen ludzi. Przyjedzie moja matka, mój narzeczony... - przerwała w pół zdania.

Z Maguire'em nie dało się rozmawiać. Był kompletnie głuchy. Nie docierały do niego żadne argumenty. Nie spotkała dotąd tak irytującego człowieka, a przeżyła przecież z Pompasse'em osiem lat. W dodatku to irracjonalne uczucie, że gdzieś go już widziała.

Gdzie? Kiedy?

- Kiedy w willi zrobi się tłoczno, przeniosę się do pracowni.

- W pracowni nie ma miejsca - sarknęła.

- Pracownia jest pusta, droga lady. Idź, zobacz.

Położę sobie materac na podłodze i będzie mi tam bardzo dobrze.

Powinna coś powiedzieć, ale za nic nie mogła dobyć z gardła choćby jednego słowa. Pracownia była czymś więcej niż pomieszczeniem, gdzie Pompasse malował swoje głośne obrazy. Była sercem tego domu.

- Niemożliwe - wykrztusiła w końcu. Jeśli pracownia rzeczywiście stała pusta, w La Colombali działo się coś bardzo złego, znacznie gorszego niż śmierć jej właściciela. - Przepraszam

- bąknęła. - Muszę już iść.

Zostawiła Maguire'a na środku ścieżki i ruszyła prosto do opuszczonej pracowni Pompasse'a.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Bała się, że pracownia może być zamknięta na głucho, ale za naciśnięciem klamki francuskie okno bez trudu otworzyło się od strony ogrodu

i Charlie weszła do mrocznego wnętrza. W wąskiej smudze światła wpadającej z zewnątrz tańczyły drobiny kurzu, powietrze przesycone było zapachem terpentyny i farb. Był jeszcze jakiś inny zapach, niepokojący, niosący niedobre skojarzenia. W pierwszej chwili nie potrafiła go nazwać.

Szybko go zidentyfikowała.

To zapach zaniedbania i opuszczenia. Kiedy oczy Charlie przywykły do półmroku, zobaczyła pajęczyny na wewnętrznych okiennicach, grubą warstwę kurzu na podłodze, poczuła mysi fetor, który mówił, że nawet koty omijały studio. Najwyraźniej Pompasse od bardzo dawna już tutaj nie malował. Rok, może kilka lat.

Maguire miał rację. Wnętrze ziało rozpaczliwą pustką. Bez śladu obrazów, śladu tworzenia. Pompasse'owi i dawniej zdarzały się okresy bezczynności, ale nigdy na tyle długie, by pracownia popadła w tak żałosny stan. W takim razie gdzie są jego najnowsze dzieła?

Widać pracował gdzie indziej. Charlie trudno było w to uwierzyć, lecz musiał znaleźć sobie inne studio. Zupełnie niepojęta sprawa. Pompasse mieszkał w La Colombali przez ostatnich trzydzieści lat i zawsze powtarzał, że nigdzie nie ma tak wspaniałego światła jak właśnie tutaj i że nigdzie nie maluje mu się tak dobrze.

Jeszcze bardziej niewiarygodna wydawała się myśl, że w ogóle przestał malować.

Charlie podeszła do okna i już miała otworzyć okiennicę, gdy smugę światła padającą od wejścia przestonił jakiś cień.

- Co tu robisz? - padło ostre pytanie zadane po włosku.

Młody, zaczepny głos. Znała go dobrze. Otworzyła okiennicę i dopiero wtedy odwróciła się powoli w stronę dziewczyny.

- Witaj, Gia. - Nie podeszła do Gii i nie wzięła jej w ramiona. Nie popełniła tego błędu. Giavianna Schiavone nie przyjęłaby od niej pociechy, zawsze była chorobliwie zazdrosna o inne kobiety w życiu Pompasse'a.

Szczupła, o oliwkowej cerze, przypominała dziewczęta z obrazów Modiglianiego, wielkookie, o pociągłych twarzach naznaczonych wątpliwą życiową mądrością.

Miała czternaście lat, kiedy w miejsce Charlie zaczęła pozować Pompasse'owi, siedemnaście, kiedy została jego kochanką. Pompasse miał słabość do siedemnastolatek, pomyślała Charlie

ponuro. Zapamiętała Gię jako osobę wiecznie zbuntowaną, ślepo oddaną Pompasse'owi i całkowicie pozbawioną poczucia humoru. Zawsze się dziwiła, jak Pompasse może malować tę zamkniętą w sobie, ciągle nadąsaną, mającą wszystkim wszystko za złe pannicę.

Gia też nie próbowała do niej podejść. Nigdy nie ukrywała swojej antypatii dla Charlie, a Pompasse jeszcze ją podbechtywał. Myśl, że kobiety o niego walczą, schlebiała próżności starego satyra. Zbyt zadufany w sobie, nie potrafił dostrzec, że Charlie dawno zaprzestała jakiegokolwiek walki.

- Co tu robisz? - powtórzyła Gia.

W jej oczach nie było już dawnej niewinności, zniknęła bez śladu, ale Pompasse potrafił odrzeć z niej każdą kobietę, która znalazła się w kręgu jego oddziaływania.

- Nie wiedziałaś, że przyjeżdżam? - zdziwiła się Charlie. - Jestem wykonawczynią testamentu Pompasse'a. Mam doglądać...

- On ci nic nie zapisał! Nic! Rozumiesz?

- wybuchnęła Gia. - Mówił mi wiele razy, że nic nie dostaniesz, bo go zostawiłaś.

- To nieważne - powiedziała Charlie polubownym tonem. - Przyjechałam spotkać się z jego prawnikami, z ludźmi z ubezpieczeń, dopilnować, żeby spuścizna trafiła w dobre ręce. Jestem mu to winna.

- Jesteś mu winna znacznie więcej - zachnęła się Gia.

Charlie nigdy za nią nie przepadała, chociaż było jej żal dziewczyny. Sama miała siedemnaście lat, kiedy dostała się pod wpływ Pompasse'a, zaś Gia tylko czternaście i żadnych szans, by się z tego wywinąć.

- Szybko uporządkujemy sprawy majątkowe.

Nie mogę zostać zbyt długo w La Colombali, bo muszę wracać do swojej restauracji, ale obiecuję zająć się wszystkim...

- On dał ci tę restaurację... - rzuciła Gia wyzywającym tonem.

Prawdę mówiąc, nie. Kupiła „La Chance” za pieniądze, które zostawił jej ojciec, ale nie zamierzała tłumaczyć się przed Gią.

Otworzyła kolejne okiennice, wpuszczając do pustej pracowni słońce. Poprosi, żeby ktoś tu posprzątał, może nawet sama zabierze się za porządki. Nie mogła ścierpieć widoku opuszczonego, zaniedbanego wnętrza.

- Jak się ma madame Antonella? Nie widziałam jej jeszcze.

Gia nie mogła się zdecydować, czy pozwolić sobie na plotki, czy zachować wyniosły dystans.

- Żyje, ale bardzo się postarzała - powiedziała w końcu. - Nikogo już nie poznaje. Mieszka nadal w swoim domku.

- Muszę ją odwiedzić.

- A po co? Nie będzie chciała cię widzieć

- prychnęła Gia.

- Coś jeszcze?

- Emmanuelle się wyniosła. I bardzo dobrze.

Ona też na pewno nie chciałaby cię widzieć.

- Zdziwiłabyś się, jak łatwo potrafię się porozumieć z ludźmi. Kim jest Emmanuelle?

- To nowa modelka Pompasse'a. - W głosie Gii zamiast wrogości zabrzmiał ból.

A więc w miejsce Gii pojawiła się inna dziewczyna.

Nic dziwnego, że mała złośnica cierpi.

Pompasse nie potrafił być długo z jedną kobietą, chociaż nigdy nie porzucał poprzednich, a ściślej mówiąc, nie pozwalał im odejść. Traktował je wszystkie jak swoją własność.

Antonella była jego pierwszą modelką i jedną z pierwszych kochanek. Zajmowała honorowe miejsce w życiu Pompasse'a, także w jego domu.

Starsza o kilka lat od malarza, zapadała się teraz powoli, jeśli wierzyć słowom Gii, w niebyt demencji,

zamykała w oderwanym od rzeczywistości świecie swoich starczych urojeń.

Po Antonelli pojawiła się Laretta i natychmiast przejęła prowadzenie domu. Były i inne: młode, stare, grube, chude. Przychodziły i odchodziły. Sypiał z nimi, ale nigdy ich nie malował.

Te, które malował, zatrzymywał przy sobie, dopóki któraś nie wymknęła się cichaczem, w środku nocy, bez słowa pożegnania.

Inaczej Charlie. Ona nie uciekła, po prostu odeszła, jej jednej udało się tego dokonać. Miała teraz własne życie, miała oddanego sobie mężczyznę

Pompasse nie mógł jej już osiągnąć zza grobu, nie mógł jej dyktować, na swój apodyktyczny sposób, co powinna robić.

Spojrzała na ściągniętą, pełną goryczy twarz Gii. Nie wiedziała, co powiedzieć. Czy Pompasse pomyślał o tym, żeby zabezpieczyć swoje kobiety?

Na pewno. Gia zerwała z rodziną, nie miała nic poza swoją urodą.

Charlie westchnęła. Uwolniła się co prawda od starego, ale spadła na nią teraz odpowiedzialność za jego kobiety.

Im prędzej przeczyta testament i rozporządzi schedą, tym lepiej.

- Spotkałam Maguire'a - powiedziała. - To od niego dowiedziałam się, że pracownia jest

pusta. Gdzie Pompasse malował?
- Zapytaj Laurettę. Ja nic nie wiem. Może

w ogóle przestał malować, a może spalił swoje najnowsze obrazy.

- Spalił? - powtórzyła Charlie z przerażeniem w głosie.

Gia wzruszyła ramiona.

- Miał do niczego modelkę. Ta smarkula nie mogła zainspirować kogoś takiego jak Pompasse. Był głupi, jeśli sądził inaczej.

A więc Pompasse znalazł sobie kolejną nastolatkę.

Nic dziwnego, że Gia mówiła o niej z goryczą. To musiało być niełatwe, dowiedzieć się w jej wieku, że jest za stara na kochankę.

- W takim razie pójdę poszukać Lauretty

- powiedziała Charlie.

- Idź sobie. - Gia skinęła przyzwalająco głową, jakby to od jej decyzji zależał kolejny krok Charlie. - Zawrzyjmy umowę. Nie wchodź mi w drogę, to i ja będę się trzymała od ciebie z daleka. - Powiedziawszy to, wyszła z pracowni dumnie wyprostowana.

A więc tak wyglądała zemsta Pompasse'a.

Zostawił na barkach Charlie los swoich kobiet.

Czekały ją koszmarne dni.

Podeszła do drzwi, mrużąc oczy przed słońcem.

Powietrze przesycone było zapachem świerkowej żywicy, rozmarynu, drzewek cytrynowych.

Nie, „koszmarne” to złe słowo. Warto spędzić tydzień w La Colombali, nawet jeśli będzie musiała znosić ciągłe uszczypliwości Gii, bziki Antonelli,

opryskliwość Maguire'a. Pomimo wszystko potrafi cieszyć się pobytem tutaj. Załatwi, co do niej należy, potem wyjedzie, raz na zawsze zamykając ten rozdział swojego życia.

Spojrzała w stronę winnicy, lecz nie było tam nawet śladu po Maguirze. Odetchnęła z ulgą. Ten człowiek doprowadzał ją do szału, chociaż nie potrafiła powiedzieć, dlaczego tak się dzieje.

Wścibski prostak, arogant, spryciarz, takich ludzi się ignoruje. A ona dostawała szału.

Kiedy za kilka dni przyjedzie Henry, powinna poczuć się pewniej.

Lauretta i Tomaso szczerze się ucieszyli na jej widok. Pulchna gospodyni przywitała ją niczym córkę marnotrawną, ze łzami w oczach wyrzucała z siebie chaotyczne okrzyki radości. Wyściskała Charlie serdecznie i wycalowała, a jej milkliwy mąż, Tomaso, uśmiechał się od ucha do ucha.

Charlie posłusznie zjadła połowę tego, co ustawiła przed nią Lauretta, potem wśród żartów wypita mocną, gorzką kawę. Wspominali przeszłość,

o terażniejszości nie mówili.

- Chciałam umieścić cię w sypialni Pompasse'a, z której zresztą od dawna nie korzystał, ale w końcu pomyślałam, że najlepiej będziesz się czuła w swoim dawnym pokoju - mówiła Lauretta, wspinając się po kamiennych schodach. - Oto i on. Pamiętasz go jeszcze?
Charlie znieruchomiła w progę.

- Nic się nie zmieniło - powiedziała głuchym, nieswoim głosem.

- Pan nie pozwalał nikomu tu mieszkać. Gła chciała mieć ten pokój dla siebie, ale się nie zgodził. Wszystko zostało tak, jak było za twoich czasów. W szafie ciągle wiszą twoje rzeczy, w kasetce leży twoja biżuteria. Pompasse co roku kazał mi kupować nowe kosmetyki i perfumy, takie same, jakich używałaś. Pilnował, żeby w wazonach zawsze były świeże kwiaty. W lecie polne, które tak lubiłaś, w zimie herbaciane róże z cieplarni. Chciał, żebyś zastała wszystko na swoim miejscu, kiedy już tu wrócisz.

Charlie słuchała relacji Lauretty z ogromnym zdumieniem.

- Ja go zostawiłam, Lauretto. Na zawsze. Wniosłam pozew o rozwód. Musiał chyba wiedzieć, że nigdy nie wrócę.

- Nie tracił nadziei. - W głosie Lauretty nie było ani wyrzutu, ani osądu. Całe życie służyła Pompasse'owi i nie wyobrażała sobie, żeby mogło być inaczej, ale na swój sposób pozostała wierna również Charlie. Pożyczyła jej pieniądze, kiedy ta zdecydowała się odejść.

Charlie weszła do pokoju z uczuciem, że wkracza w przeszłość. Wracały minione czasy, minione emocje, o których, zdawało się, dawno zapomniała: strach, urazy, gniew. I żal na widok bukietu w kamionkowym wazonie.

Podeszła do lśniącego czystością okna i omiotła spojrzeniem ukochany ogród, teraz zaniedbany, dziczały. Dojrzała Maguire'a, jak przedziera się przez chaszczę.

- Niezbyt mu spieszno do pracy - zauważyła uszczypliwie.

- Poznałaś go już? - zapytała Lauretta, stając obok Charlie. - Co on się naszukał tych obrazów i dzienników Pompasse'a. Od przyjazdu nic, tylko ślęczy nad papierzyskami, więc musi trochę odetchnąć. Wczoraj przyjechał. Umieściłam go w pokoju pana. Tylko tam było posprzątane, ale jeśli chcesz, dam mu inny.

- To bardzo dziwne, że nikt nas nie uprzedził o jego przyjeździe.

Willa była przestronna, ale bez przesady. Charlie planowała, że w pokoju Pompasse'a zamieszka Henry. Ucieszyłoby go to wyróżnienie, a ona miałaby go tuż obok siebie.

- Przenieśmy go później, jeśli będzie trzeba.

Jak tam stary kościółek, stoi jeszcze?

- Ano stoi, stoi - przytaknęła Lauretta. - Tu niewiele się zmienia.

- Słusznie. Mam wrażenie, że nie byłam tu całe wieki, a wszystko jest jak dawniej. Wszyscy starzy mieszkańcy nadal mieszkają w La Colombali. Ty, Gia, Antonella, Tomaso.

- Nie wszyscy, Charlie. Pompasse odszedł.

- Tak. - Charlie powinna uronić kilka łez,

pozwoić się pocieszać Lauretcie, ale nie potrafiła płakać. Zresztą już opłakała Pompasse'a w Nowym Jorku, a tu, w Toskanii, wracało do niej zbyt wiele złych wspomnień.

Spojrzała na łóżko. Ta sama kołdra, pod którą sypiała i przyjmowała Pompasse'a. Charlie była wykończona po podróży, zmiana czasu bardzo dawała się jej we znaki, ale za nic nie chciała kłaść się w tej samej pościeli.

- Zdrzemnęłabym się, ale ta kołdra jest za ciężka. Mogłabyś przynieść mi jakiś pled?

- Oczywiście, *cara*. - Lauretta nie mrugnęła nawet okiem. - Na kolację chciałam upiec kurczaka, chyba że wolisz co innego...?

- Niech będzie kurczak - zgodziła się obojętnie.

- Za kilka dni przyjedzie moja matka i Henry, mój narzeczony. Nie sprawimy ci zbyt wielkiego kłopotu?

- A od czego ja tu niby jestem? Narzeczony będzie spał z tobą?

- Nie. - Już miała wdać się w wyjaśnienia, że ona i Henry postanowili zaczekać do ślubu, że to byłoby sprzeniewierzenie się pamięci Pompasse'a... Ale nie powiedziała nic, zachowując swoje prywatne sprawy dla siebie.

Lauretta skinęła głową.

- Mam prześcielić łóżko?

- Dziękuję, sama to zrobię, przynieś mi tylko pled. Chcesz, żebym pomogła ci przy kolacji?

Ciągle lubię gotować. Mam nawet swoją restaurację w Nowym Jorku.

- Wiem. - Lauretta rozpromieniła się. - Dzisiaj nie chcę cię widzieć w kuchni. Musisz odpocząć po podróży, a my z Tomaszem przygotujemy kolację. Ty masz tylko zjeść z apetytem.

Z apetytem? W towarzystwie Gii i Maguire'a?

- *Grazie* - bąknęła cicho i uśmiechnęła się do Lauretty.

- Dobrych snów, *cara*.

Znowu spojrzała na ogromne łóżko, z którym wiązało się tyle gorzkich wspomnień. Prędkiej przyśnią mi się koszmary, pomyślała.

Nie. Pompasse już nie żyje i nie może jej skrzywdzić. Najpierw mała drzemka dla nabrania sił i będzie mogła stawić czoło kobietom Pompasse'a, a także grubiaństwu Maguire'a.

Stawi czoło wszystkiemu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Madame Pompasse.

Maguire patrzył, jak Charlie umyka z winnicy, jakby gonił ją sam diabeł. Myślał, że jest ładniejsza, a okazała się zbyt wysoka i zbyt szczupła. Po latach mieszkania we Włoszech nauczył się doceniać korpulentne, pulchne kobiety, a Charlie Thomas-Pompasse miała sylwetkę modelki.

Wąska twarz o wyrazistych rysach, niezwykle złote oczy, tak świetliste na obrazach Pompasse'a.

Nie spoglądały już tak bezbronne jak niegdyś.

I nie przesłaniały ich ściągnięte teraz do tyłu włosy.

Nie tak ją sobie wyobrażał. Wydawało mu się, że z bliska będzie wyglądała inaczej. Kiedy spojrzeli na siebie w zatłoczonym kościele, było w tym jakieś dziwne porozumienie, może nawet wzajemne zainteresowanie.

Wyjął z kieszeni zmiętą widokówkę. Nie miał

pojęcia, czemu ją nosi przy sobie. Nie należał do ludzi sentymentalnych, a jednak reprodukcja portretu fascynowała go. Przeprowadził małą kwerendę, zanim zjawił się w willi. „Po odejściu Charlie” zdążyło obrosnąć legendą. Przyglądał się przez chwilę złotym oczom, po czym wcisnął kartkę na powrót do kieszeni.

Miał za sobą męczące dni. Najpierw nieoczekiwany lot do Nowego Jorku, a po powrocie gorączkowe zbieranie materiałów. Przynajmniej raz Gregory zadbał o dokumentację, w której znalazło się także kilkadziesiąt reprodukcji obrazów Pompasse'a, poczynawszy od najwcześniejszych, malowanych jeszcze w Paryżu. Oraz te trzy najbardziej znane portrety z tak zwanego złotego okresu.

Dwa z nich wisiały we florenckim apartamencie, trzeciego Maguire nie widział nigdy wcześniej.

W pierwszym odruchu miał ochotę podrzeć reprodukcję i wyrzucić do kosza.

Znowu pani Pompasse. W znoszonym swetrze, choć stary zapewne wolał widzieć ją na co dzień w markowych rzeczach. W złotych

oczach pojawiły się czujność i nieufność,
a grymas ust zdawał się mówić: „do diabła
z tobą”.

Odwrócił kartkę i przeczytał tytuł „Po odejściu
Charlie”. Obraz powstał stosunkowo niedawno,
przed pięciu laty. Potem, zgodnym zdaniem

krytyków, których opinie Maguire znalazł w czasopiśmie
artystycznych, Pompasse nie namalował
już nic znaczącego.

Pozwolił jej odejść, czy zabiegał, żeby wróciła?
Może wierzył, że przy Gii uda mu się zapomnieć
o żonie? Ale cóż, nie udało się. Z tego, co
Maguire słyszał, stary znalazł sobie następną,
jeszcze młodszą kochankę.

Oczy Charlie nie dawały mu spokoju. Te
prawdziwe, nie z obrazów. Oczy nie zdradzające
uczuci i myśli. Próbował coś w nich dojrzeć, coś
z nich wykrzesać, dlatego był taki impertynencki,
kiedy spotkali się w winnicy. Na próżno. Okazała
się zimna jak Królowa Śniegu. Nie spotkał jeszcze
w życiu tak opanowanej, tak bardzo zamkniętej
kobiety. Przy tym usposobieniu powinna
być nordycką blondynką.

Potrafił roztaczać urok, jeśli tylko chciał, ale
instynktownie czuł, że na Charlie to nie podziała.
Była zbyt ostrożna, żeby mógł wkupić się w jej
łaski pochlebstwami. Uznał, że najlepszym sposobem
będzie nieustanny atak, lekceważące, aroganckie
zachowanie.

Stąpał po cienkiej linii. W niczym nie przypominał
urzędnika. Jeśli przesadzi w grubiaństwach,
Charlie najwyczejniej w świecie wyrzuci
go z La Colombali.

A jednak korciło go, żeby wytrącić madame
Pompasse z równowagi. Była silną kobietą, mówiła

o tym jej postawa, sposób bycia, determinacja.

Skruszenie pancerza ochronnego, za którym
się kryła, nie przyjdzie mu łatwo.

Nie zirytował jej, chociaż bardzo się starał.

Kiedy Charlie dowie się, kim jest, w jakim
naprawdę celu przyjechał do Willi, wpadnie we
wściekłość, ale wtedy jego dawno już tu nie
będzie. Ominie go przyjemność obserwowania,
jak madame wybuchy gniewem. Mógł sobie to
tylko wyobrazić.

Zdjął marynarkę i zarzucił ją sobie na ramię.

Na litość boską, przecież to październik, dlaczego
jest tak cholernie gorąco?

I dlaczego męczą go skrupuły? Pani Pompasse
jest twarda, nic jej nie ruszy. Kiedy spojrzał
w te jej złote, nieprzystępne oczy, poczuł
się jak gówno. Wkradł się tutaj podstępem,

uciekając się, jak zawsze, do kłamstw. Stał przed nią i miał ochotę powiedzieć: „przepraszam”. Zapewnić, że nie będzie wywlekał brudów z bogatego w brudy życia Pompasse’a. Że chciałby...

Nie, wolał nie myśleć, co naprawdę chciałby robić z Królową Śniegu. Jeszcze nie zwariował. Nie wypuści z ręki okazji, która zdarza się tylko raz w życiu. Taki materiał... Gregory zabiłby go. Jego stara przyjaciółka Molly wstałaby z grobu i dała kopa w tyłek.

Przez dziesięć lat tułał się po różnych rejonach

świata, gdzie akurat trwały wojny. Pisał o tragediach, nieszczęściach, mordowaniu niewinnych ludzi, cynicznych politykach. Aż wreszcie wycofał się. Był tak wypalony, że nie wiedział, czy zdoła dalej żyć. Kiedy skończyły się skromne oszczędności, wziął pierwszą brudną robotę, jaka się nawinęła. Tak trafił do brukowca Marka Gregory’ego.

Plotki o zajętych wyłącznie sobą milionerach były niczym przechadzka po parku w porównaniu z okropnościami wojny. Gregory obiecywał złote góry, ale płacił wyłącznie za sensacje. Im bardziej skandaliczny materiał, tym lepiej.

Żadnych sentymentów, każdy mógł być ofiarą.

Maguire widział już oczami duszy swoją książkę w księgarniach, jej fragmenty przedrukowywane w szmatławych pismach na całym świecie, i fortunę, którą na niej zbije.

Powtarzał sobie, że zdobędzie majątek choćby po trupach. Nie będzie miał żadnych względów dla kobiet Pompasse’a, nawet dla zimnej wdowy o złotych oczach. Wdowy, której nie wiedzieć czemu, pragnął dotknąć.

Powoli ruszył w stronę domu. Miał świetny pretekst, żeby myszkować po całej posiadłości, przecież szukał zaginionych obrazów i notatek Pompasse’a. To podstawowy obowiązek konsultanta ubezpieczeniowego. Wiedział, że sytuacja

finansowa starego nie była najlepsza. Wdowa nie ucieszy się, kiedy odkryje, jaki bałagan mąż jej zostawił. Szkoda, że jego nie będzie już na miejscu. Chętnie pocieszyłby strapioną madame. Ale od czego narzeczony? Nie wiedzieć czemu, irytowała go ta enigmatyczna postać. Charlie odeszła od Pompasse’a wiele lat temu. Taka kobieta jak ona nie mogła długo być sama, to pewne. Ciekawe, kogo sobie wybrała? Eurobyczka bez mózgu, za to z napakowanymi muskułami?

Nowojorskiego maklera w garniturze od Armaniego, który zbił pierwszy milion przed trzydziestką?

Stawiał na maklera. Młodego, pozbawionego skrupułów, takiego, który byłby przeciwnikiem godnym Maguire'a.

Ale co go obchodził narzeczony Charlie? Przecież nie miał nic wspólnego z Pompasse'em, należał do zupełnie innej bajki.

Maguire sięgnął po papierosy, a kiedy wyciągnął z kieszeni zmiętą, pustą paczkę, zaczął kląć najgorszymi wyrazami. Tylko Molly, jego fotoreporterka, potrafiła kląć lepiej od niego, ale

Molly nie żyła. Gdyby jednak żyła, umarłaby ze śmiechu, widząc, w jaki syf wdepnął. Sam uśmiechnął się kwaśno na tę myśl.

Że też akurat teraz zachciało mu się rzucić palenie, kiedy właśnie pracował nad materiałem swojego życia. Pić przestał już dawno, kiedy

stwierdził, że zaczyna tracić kontrolę nad alkoholem.

To nie w porządku, że ma walczyć z kolejnym nałogiem. Na domiar złego dręczyły go cały czas myśli o Charlie. Czekał go trudny tydzień.

Powinien się już przyzwyczaić, że dobry materiał nastęcza trudności. Powinien się cieszyć, że jeszcze żyje. Może nie w luksusie, ale za to w pięknym otoczeniu. Lauretta smacznie gotuje, Toskania jest cudowna. Od lat nie czuł takiego przyływu energii.

To dlatego, że trafił na dobry materiał, na którym, po tylu chudych latach, zbije wreszcie pieniądze, powtarzał sobie.

No i była jeszcze Charlie Thomas. Pokusa, wyzwanie. Zamknięta w swoim pancerzu, strzegąca tajemnic, których nawet się nie domyślał. Na Boga, nie raz i nie dwa sypiał z kobietami tylko po to, żeby zdobyć informacje potrzebne do tekstu.

To było takie łatwe.

Kobiety po miłosnych figlach wpadają w postcoitus gadulus, czyli dostają po orgazmowego słowotoku. Jeśli szczęście mu dopisze i przeleci Charlie, madame opowie wszystko, co wie o Pompassie.

Uda mu się, dlaczego nie, pomyślał z chytrym uśmiechem. Chciałby usłyszeć, jak Królowa Śniegu krzyczy z rozkoszy.

Jeśli miał rzetelnie przygotować materiał, powinien

przespać się ze wszystkimi kobietami starego, może z wyjątkiem zgrzybiałej Antonelli. Tak daleko nie zamierzał się posuwać. Lauretce rozwiąże język, chwalić jej kuchnię. To wystarczy

i uratuje go przed okrutną śmiercią z ręki Tomasa.

Z Gią też nie miał ochoty iść do łóżka. Dała mu co prawda do zrozumienia, że nie jest wart jej czasu, ale gdyby chciał, przekonałby ją, jak bardzo się myli w swojej ocenie. Była młoda, zdrowa, wystarczyłoby odwołać się do jej zwierzęcej natury. Bułka z masłem.

Problem w tym, że go zupełnie nie pociągała. Zresztą co ta nadęta Gia mogła wiedzieć? Jak większość młodych i pięknych kobiet, była zajęta wyłącznie sobą.

Wątpliwe, by podczas orgazmu wykrzyczała, że zabiła Pompasse'a.

Nie, to nie ona. Mogła jednak naprowadzić go na ślad morderczyni lub mordercy, bo jak dotąd, poza własną intuicją, nie dysponował żadnymi dowodami. Szkoda, gdyby miało się okazać, że to jednak był wypadek. Morderstwo uczyniłoby z jego książki absolutny bestseller.

Zajmie się Gią, jeśli będzie trzeba. Trudno, nawet się z nią prześpi, kiedy okaże się to absolutnie konieczne.

Na razie musi sprawdzić, czy uda mu się wydobyć coś z wdowy.

Obszedł budynek i już miał ruszyć wąską ścieżką w stronę starego kościoła, gdy usłyszał kobiece głosy dochodzące z pracowni. Zatrzymał się za węglem, by nie zostać zdemaskowanym.

Nie mógł przepuścić takiej okazji.

Rozpoznał ostry głos Gii. Drugi, cichy i spokojny, musiał należeć do Charlie.

W chwilę później trzasnęły drzwi i zaległa cisza. Trudno, nadarzą się inne okazje. Dzisiaj jest środa, w sobotę urna z prochami Pompasse'a zostanie złożona do grobu, a on wyjedzie. Nie mógł ryzykować dłuższego pobytu. Gdyby Charlie go zdemaskowała, jego dotychczasowe wysiłki poszłyby na marne.

Jeśli w ciągu najbliższych dni nie odkryje, kto zabił starego, to niech nie nazywa się reporterem.

Nie miał złudzeń co własnej osoby. Jest parszywym sukinsynem, który w bezwzględny sposób wykorzystuje ludzi. Nigdy nie zależało mu na nikim i na niczym, ale nikt nie powie, że jest złym dziennikarzem. Znał tę robotę jak mało kto, czy pisał o międzynarodowych konfliktach, czy o eurodupkach z wypchanymi portfelami. Zdołał dotrzeć do rozmaitych brudnych sekretów Pompasse'a, wiedział o obsesji starego na punkcie młodych dziewcząt, o samobójstwach i tajemniczych zniknięciach jego modelek i zarazem kochanek, o grach, jakie stary prowadził, o ogromnym

majątku, jaki roztrwonił.

Nie wiedział tylko, gdzie podziały się obrazy.
Ani kto i dlaczego, rzecz najważniejsza, zamordował
Pompasse'a. Kiedy znajdzie odpowiedzi
na swoje pytania, będzie mógł wyjechać. Przeleciawszy,
albo nie, zimną madame Charlie Thomas.
Cholera, może wcale nie jest zimna, pomyślał,
wspinając się ścieżką biegnącą przez gaj oliwny.
Pewnie znienawidziła go od pierwszego wejrzenia.
No cóż, damie nie mógł się spodobać bezczelny,
pozbawiony uroku osobistego, mocno
stąpający po ziemi plebejusz. Ale on lubił drażnić
kobiety.

Charlie z całą pewnością widziała w nim
prymitywnego parweniusza.
On w niej widział panią na włościach. Zabawne.
Dlatego z nieufnością podchodził do „różnic
klasowych”. Ciekawe, czy stary potrafił jej
dogodzić w łóżku? Albo ten jej nowy przydupas?
On by potrafił.
Gdyby tylko udało mu się ją tryknąć, wyśpiewałaby
wszystko, czego chciał się dowiedzieć.
Należała do tego rodzaju kobiet. Ostrożna
i pełna rezerwy, ale kiedy wreszcie się otwierała,
to bez zastrzeżeń, do końca.
A on, sukinsyn, wykorzystałby to bez skrupułów,
aż ponieważ zrozumiąłaby, co straciła.

Nie po raz pierwszy wybierał się na przechadzkę
do ruin. Toskania, jak całe Włochy, usiana
była świątyniami, od wielkich katedr po wiejskie
kościółki. Ten służył kiedyś właścicielom
La Colombali za prywatną kaplicę. Zbombardowany
w czasie II wojny stracił dach i dwie
ściany zewnętrzne. Zachowało się prezbiterium,
krypta i część nawy, natomiast reszta legła
w gruzach.

Piękne miejsce, szczególnie w nocy. Jak na
apostatę, miał dziwny sentyment dla ruin katolickich
przybytków wiary, czego w żadnym razie nie
wiązał z surowym jezuickim wychowaniem, jakie
odebrał w Australii.

Nie. Rozsiadłszy się wygodnie w starej ławce,
która jakimś cudem przetrwała bombardowanie,
zadzierał w górę głowę, przyglądał się gwiazdom,
przypominał sobie zapach kadzidła i rozmyślał
o utraconej wierze, która kiedyś dostarczała mu
fałszywej pociechy.

Kiedy w wypadku samochodowym zginęli
jego wiecznie skłócenie ze sobą rodzice, gwałtownie
zerwał z Kościołem, natomiast jego młodszy
brat wybrał całkiem inną drogę.
Maguire od dnia wypadku nie miał poza nim

nikogo na świecie. Jediną osobą, która potrafiła przebić się przez jego skorupę, była Molly. Molly o niewyparzonym języku i miękkim sercu. Jego najlepsza przyjaciółka, matka, siostra, kochanka,

rozerwana na jego oczach przez minę przeciwpiechotną w Kosowie.

Wpatrywał się w rozgwieżdżone niebo i zdawało mu się, że widzi ją gdzieś wysoko, między gwiazdami. Tam powinna się znaleźć, w żadnym durnym niebie, w białym gieźle i z harfą. Choćby dlatego, że tej damie słoń nadepnał na ucho. Po drugie nie wierzyła w takie pierdoły.

I co z tego. Mieszkała na pewno wśród gwiazd, patrzyła teraz na niego z góry i mówiła mu, że jest sentymentalnym dupkiem, skoro za nią wzdycha. I że z niego prawdziwy skurwysyn, jeśli myśli wykorzystać kogoś takiego jak Charlie Thomas.

Że marnuje życie, zaprzędając się brukowcom. Powinien to rzucić w cholerę i zacząć pracować dla jakiejś poważnej gazety.

Nie słuchał jej, ale zdążyła do tego przywyknąć za życia. Trudno, żeby ją to dziwiło po śmierci. Jednak patrzyła na niego, nękała sumienie. Kto wie, może wreszcie kupił szczęśliwy los.

Może wreszcie uda mu się wyjechać z Europy.

Może wróci do domu, znajdzie sobie pracę w prowincjonalnej gazecie, pojmie pulchną żonę i zapomni o dręczących go demonach.

Może.

Tymczasem zamierzał jeszcze raz przeszukać ruiny, zakamarki, załomy, szczeliny, czyli te

miejsca, w których dałoby się bezpiecznie ukryć warte fortunę dzieła.

Zależało mu na odnalezieniu obrazów równie mocno jak na odkryciu prawdy, w jaki sposób zginął Pompassé, choć dla pragmatycznych czytelników to pierwsze mogło być ważniejsze, bo dawało się przeliczyć na pieniądze.

Powinien skoncentrować się na swoim zadaniu i zapomnieć o wdowie. Będzie miał czas zająć się nią później.

Charlie pozbyła się ciężkiej atlasowej kołdry, ale nie udało się wraz z nią usunąć przepętniających pokój i chwytających za gardło wspomnień.

Ciepłe powietrze napływające przez szeroko otwarte okna nie przynosiło ulgi. Miała wrażenie, że się dusi niczym w ataku klaustrofobii.

Zgarnęła kosmetyki i wyrzuciła je do kosza.

Przez nieuwagę rozbiła jakiś flakonik i po pokoju rozszedł się mdły, duszący zapach. Była to specjalna

kompozycja, którą Pompasse po raz pierwszy kazał przygotować na osiemnaste urodziny Charlie. Nigdy jej nie lubiła. Była zbyt ciężka, zbyt wyrafinowana dla młodej dziewczyny, teraz zaś sprawiała jawnie melodramatyczne wrażenie. Wystawiła kosz na korytarz i zamknęła drzwi, po czym podeszła do okna, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza.

Nie potrafiła się przemóc i położyć w ogromnym, rzeźbionym łożu ściągniętym do willi z jakiegoś zamku na północy.

Niewiele myśląc, przeszła przez łazienkę i zapukała do drzwi dawnej sypialni Pompasse'a, w której Lauretta umieściła Maguire'a. Nie widziała go od spotkania w winnicy i nie słyszała, żeby wchodził na górę. Przypuszczała, że przeniósł się do innego pokoju.

Zapukała ponownie i pchnęła drzwi, nie bardzo wiedząc, jak się zachowa, jeśli zastanie Maguire'a.

Nie było go, ale przestała o nim myśleć, zaszokowana tym, co zobaczyła.

Ogołocona z obrazów sypialnia sprawiała jeszcze bardziej przygnębiające wrażenie niż pracownia.

Pompasse lubił otaczać się swoimi pracami.

Zawsze powtarzał, że żaden współczesny artysta w najmniejszym stopniu nie dorównuje mu talentem.

Inni go najzwyczajniej w świecie nudzili, nie miał, nie starał się nawet mieć zrozumienia dla ich sztuki.

Delikatne freski, które namalował na przeciwległej do wejścia ścianie, zniknęły pod warstwą białej farby. Zniknęło też łoże Pompasse'a,

a w jego miejsce pojawił się prosty, wąski tapczan.

Antyki zastąpiono tanimi meblami z Ikei.

Pompasse nie wszedłby nawet do tak odmienionego pokoju.

Charlie przeciwnie.

Podobała się jej ta odmiana. Najchętniej wyciągnęłaby się na tapczanie i zapadła w długi,

spokojny sen, tyle że ten pokój zajmował teraz

ten dziwny Maguire, skrzyżowanie prostackiego muła, chytrego lisa i krwiożerczego wilka.

Tak właśnie się jej kojarzył. Mogła wyobrazić sobie jego reakcję, gdyby ją tu zastał. Potraktowałby to bez wątpienia jako oczywistą zachętę.

Już miała się wycofać do siebie, kiedy jej uwagę zwróciła mocno zniszczona torba podróżna

stojąca pod oknem. Mogłaby należeć do

trampa i obieżyświata, natomiast jako własność eksperta od ubezpieczeń robiła dziwne wrażenie.

No tak, ale Maguire w niczym nie przypominał

konsultanta ubezpieczeniowego. Może we Włoszech

urzędnicy noszą się inaczej? Wątpliwe, pomyślała. Biurokraci i biznesmeni na całym świecie są do siebie podobni, tymczasem Maguire nie wyglądał ani na biurokratę, ani na biznesmena. Bez zastanowienia otworzyła torbę w poszukiwaniu odpowiedzi. Chytkiem przeprowadzona rewizja nic nie dała, przyniosła tylko kolejne pytania. Kilka T-shirtów, dżinsy, kilka książek poświęconych malarstwu Pompasse'a. To wszystko, co znalazła.

Szybko zasunęła zamek błyskawiczny. W żadnym wypadku nie powinien jej przytapać na szperaniu w jego torbie. Wyglądałoby to tak, jakby nie wierzyła, że Maguire jest tą osobą, za którą się podaje.

Bo też nie wierzyła.

Coś się jej nie zgadzało. Był zbyt bezczelny, zbyt kłótniwy i grubiański jak na kogoś, kto zajmuje się wyceną dzieł sztuki i spuścizny po nieboszczykach. Już prędzej Henry mógłby uchodzić za kogoś takiego. Maguire nadawał się do pracy fizycznej, a nie do uganiania się za duchami zmarłych.

Pokręciła głową. No cóż, dała się ponieść wyobraźni, dopatrywała się spisków tam, gdzie ich nie było. Maguire musiał być konsultantem ubezpieczeniowym, bo kimże innym? Nawet jeśli przypominał dzikiego pirata czy innego rozbójnika. Na pewno pracował w innym pomieszczeniu, bo nie zauważyła laptopa ani teczki z dokumentami. Może zainstalował się w gabinecie? Musi o to zapytać Tomasa... a przy pierwszej nadarzającej się okazji zajrzy do komputera.

Tak na wszelki wypadek, wyłącznie dla upewnienia się, czy Maguire na pewno jest tym, za kogo się podaje. W końcu ciążyła na niej odpowiedzialność za schedę, za kobiety Pompasse'a, za domowników, za La Colombalę, więc do

jej obowiązków należy również sprawdzić, z kim ma do czynienia.

Podniosła się z ociąganiem, spojrzała jeszcze raz tęsknie na tapczan. Powinna się zdrzemnąć, jeśli miała jako tako funkcjonować wieczorem. Chce czy nie, musi położyć się w swoim starym łóżu. Dwie godzinki snu przed kolacją i będzie mogła stawić czoło wszystkim kłopotom, które na nią spadły wraz ze śmiercią Pompasse'a.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Przespała kilka godzin ciężkim, kamiennym snem. Gdy obudziła się o zmierzchu, była bardzo

niespokojna i zdezorientowana. Usiadła gwałtownie na łóżku, wpatrując się w mrok. Ogarnęła ją nagła, niezrozumiała panika.

Jest znowu w Toskanii, w swoim pokoju, w willi Pompasse'a. Przed laty uciekła od niego, ale on nie żyje. Nic jej już nie grozi.

Przez otwarte okno załatywały kuchenne zapachy. Jeśli Charlie szczęśliwie przespała porę kolacji, będzie mogła spokojnie zjeść w samotności, unikając spotkania z pozostałymi domowniczkami, no i z tym całym Maguire'em. Przedtem postanowiła wziąć prysznic. Odrzuciła pled, podeszła do drzwi łazienki, otworzyła je i wydała zduszony okrzyk.

Przynajmniej nie był zupełnie nagi. Stał przy

umywalce przepasany ręcznikiem i był tak samo zaskoczony jak ona.

- Musisz się nauczyć pukać. Te drzwi nie mają zamków.

- Każę je założyć choćby jutro - powiedziała drżącym głosem.

W małym pomieszczeniu robił wrażenie olbrzymia, chociaż był sporo niższy od Henry'ego.

Muskularny, szeroki w barach, taki po chłopsku twardy i... nad wyraz denerwujący.

- Masz taką minę, jakbyś nigdy wcześniej nie widziała półnagiego faceta, królowo. Chcesz, żebym się ubrał, czy też rozebrał do końca?

- Coś z tym trzeba zrobić - zachnęła się, na darmo usiłując odzyskać zwykły spokój.

- Z czym mianowicie?

- Musisz przenieść się do innego pokoju.

Tłumaczyłam ci już, że ten będzie mi potrzebny, zapomniałeś? Poza tym nie zamierzam dzielić z tobą łazienki.

- Skarbie, jesteśmy w Europie, tu ludzie mają wspólne łazienki. W tym domu są tylko dwie. Po co ci mój pokój?

- Z jednej łazienki powinny korzystać kobiety, z drugiej mężczyźni - ciągnęła z uporem.

- Jakie to wiktoriańskie. Myślałem, że Amerykanki są bardziej wyluzowane, swobodniejsze.

Nie odpowiedziałas na moje pytanie, po co ci ten pokój?

- Z moim łączy się zbyt wiele wspomnień.

- Znowu powiedziała za dużo, niepotrzebnie się wynurzała przed Maguire'em, ale była zbyt zdenerwowana, żeby się kontrolować. A zresztą jakie to ma znaczenie, czego się o niej dowie? To kompletnie obcy człowiek. Za kilka dni wróci do swojej międzynarodowej korporacji ubezpieczeniowej, a zawiąta historia Pompasse'a i jego

kobiet w najlepszym razie stanie się anegdotą
dobrą do opowiadania przy kieliszku w barze.

- Moglibyśmy dzielić pokój - zaproponował
z ironicznym uśmiechem.

- Dziękuję, wolę spać sama. Znajdziemy ci
coś innego.

Oczekiwała, że Maguire wda się w sprzeczkę,
ale nic nie powiedział. Przyglądał się jej spod
przymkniętych powiek i wyraźnie coś rozważał.
Jest przystojny, uświadomiła sobie nieoczekiwanie.

Ma surowe rysy, jakby wykute w kamieniu,
mocne i toporne, ale musi się podobać kobietom.

Ona wolała starszych mężczyzn, przy których
czuła się pewnie, pełnych taktu i umiarkowania,
takich, którzy nie stawiali żadnych
żądań.

- Co każesz, lady - powiedział w końcu.

- Wcale się nie dziwię, że nie chcesz spać w tym
pokoju.

Dała się podejść jak dziecko.

- Dlaczego? - zapytała.

- Lauretta mówiła, że po twoim odejściu stary
satyr przeniósł się do twojej sypialni, spał w twoim
łóżku, tulił w ramionach twoją koszulę nocną.
Może nawet ją nakładał, diabli go wiedzą.

- Budzisz we mnie obrzydzenie.

- Ejże, przecież to nie ja złamałem serce
staremu satyrowi.

- Nie nazywaj go starym satyrem. Był wielkim
artystą.

- Lubił małe dziewczynki, kochana, więc
określenie „stary satyr” brzmi w jego przypadku
wręcz pochlebnie.

Przeszył ją lodowaty dreszcz.

- Sypiał z moją matką - rzuciła porywczo.

- Nie była raczej małą dziewczynką.

- Tak? Ciekawe... Może liczył, że dzięki matce
zdoła odzyskać córkę?

Po co, do cholery, powiedziała mu o tym?

Słuchał jej ze znudzoną miną, a ona, raz zacząwszy,
nie mogła już powstrzymać się od
mówienia.

- To było wcześniej... zanim... zanim zaczął
mnie malować.

- Czyli tak próbował się do ciebie zbliżyć. I co
na to mama, gdy pojęła, w czym rzecz?

Olivia szybko zrozumiała, że Pompasse nie
jest zainteresowany jej dojrzałymi wdziękami i że
fascynuje go jej siedemnastoletnia córka. Charlie
dotąd nie mogła zapomnieć okropnej sceny, która

się rozegrała z hotelu w Wenecji, kiedy powiedziała
matce, że zamierza wyjść za Pompasse'a.

- Dla mojej matki ważniejsza byłam ja niż jej własne ego - skłamała gładko.
- Jasne. - Maguire nie dał się nabrać.
- Nie twoja sprawa. Po co ja ci to mówię?
- Nie wiedziała już, na kogo jest bardziej wściekła, na Maguire'a czy na samą siebie.
Zagadkowy konsultant wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Może umiem słuchać.
- Może byś się w końcu ubrał - odparowała.
- Natychmiast, madame. - Odwróciła się, zanim zdążył rozwiązać opasujący biodra ręcznik.
- I zamknij te przeklęte drzwi.
- Natychmiast, madame - powtórzył. - Następnym razem nie zapomnij o pukaniu, dbaj o swoją dziewczęcą skromność.

Usłyszała odgłos zamykanych drzwi. Dziewczęca skromność, co za dupek, zżymała się.

Dlatego, że nie ma ochoty oglądać muskulatury faceta, który snuje się po jej łazience w samym ręczniku...

Maguire nie należał do tych, którzy codziennie spędzają kilka godzin na siłowni. Był silnie zbudowany, ale zawdzięczał to raczej ciężkiej pracy niż ćwiczeniom.

Spojrzała na łóżko. Dlaczego Lauretta nie wspomniała ani słowem, że Pompasse przeniósł

się do jej sypialni? Ale właściwie po co miała opowiadać o jego tęsknotach? Nie obudziłaby w Charlie wyrzutów sumienia.

Pompasse był niczym wielki pająk, który chwycił kobiety w swoją sieć. Większość z nich tkwiła w niej do tej pory. Pozbawione woli i zobojętniałe, nie próbowały się uwolnić.

Jej się udało. Co prawda wróciła, ale nie tkwiła już w pułapce. Pompasse nie żyje i nie dosięgnie jej zza grobu.

Usiadła na drewnianej ławeczce pod oknem. Chciała, żeby było już po wszystkim, żeby prochy Pompasse'a spoczęły w ogrodzie, w miejscu, które szczególnie sobie ukochał. Pozostawała jeszcze sprawa testamentu i spuścizny.

W Stanach postępowanie spadkowe ciągnęłoby się w nieskończoność. Tutaj Charlie przekáže dokumenty prawnikom i będzie mogła zapomnieć o procedurze. Wróci na Manhattan, do swojego mieszkania na East Side, do swojej restauracji. Do bezpiecznego życia, do spokojnej egzystencji, której nikt nie jest w stanie zburzyć.

Pewnego dnia wyjdzie za Henry'ego, ale nie zaraz, bo nie spieszyła się. Teraz zależało jej tylko na odzyskaniu spokoju. Chciała na powrót ukryć się w kokonie, w którym żyła i który śmierć

Pompasse'a zniszczyła.

Energiczne pukanie do drzwi obudziło ją z rozmyślań.

- Łazienka wolna, królowo. Schodzę na dół.

Wzięła najszybszy prysznic w swoim życiu.

Bała się, że Maguire może wrócić, poza tym zużył prawie cały zapas gorącej wody ze starego zbiornika.

Wyciągnęła z walizki pierwsze z brzegu rzeczy, dzinsy i T-shirt, i z mokrymi włosami, boso zbiegła na dół, wiedząc, że jeśli zacznie się namyślać, nie wyjdzie z pokoju.

Na parterze willi znajdowały się cztery pomieszczenia: salon z wielkim kominkiem, jadalnia z równie wielkim stołem, przy którym swobodnie mogło zasiąść dwadzieścia osób, gabinet i obszerna kuchnia.

Kiedy weszła do salonu, umilkł szmer rozmów.

Był tu Maguire, była Gia w wąskiej jedwabnej tunice. Koło kominka siedziała madame Antonella w sutej czarnej sukni. Spojrzała na Charlie z niechęcią w oku.

- A to kto taki? - zapytała po francusku zaczepnym tonem.

- To przecież Charlie, madame - wyjaśniła Laretta. - Zona pana.

- W La Colombali przebieramy się do kolacji.

- Madame Antonella prychnęła wyniośle, na co Gia wybuchnęła śmiechem.

- Nie można tak mówić, madame Antonello, to nieuprzejmie. - Laretta posłała Charlie przepaszające spojrzenie.

- Jestem stara i już nie muszę być uprzejma

- oznajmiła Antonella.

- Madame nic się nie zmieniła - mruknęła Charlie. Antonella, ze swoim weredycznym temperamentem, zawsze napawała ją lękiem.

- Co to za jedna? - zapytała ponownie, świdrując Charlie małymi, otoczonymi siecią zmarszczek oczkami.

- To Charlie - powtórzyła Laretta cierpliwie.

- Madame ją pamięta.

- Nie będziesz mi mówić, kogo pamiętam, a kogo nie! Nie pamiętam nic i nikogo. - Podniosła się z fotela zadziwiająco żwawo jak na swój wiek. - Podaj mi ramię, młody człowieku - zawołała do Maguire'a. - Też masz szmaty na sobie, ale lepsze maniery niż ona. Może na coś wreszcie się przydasz.

W innej sytuacji Charlie parsknęłaby śmiechem na te absurdalne uwagi, ale dzisiaj poczucie humoru ją zawodziło.

Podchodząc do Antonelli, Maguire posłał Charlie ironiczny uśmiech.

- Czarujące rodzinne przyjęcie - mruknął pod nosem.
- Cóżżeś powiedział? - Antonella groźnie nastroszyła się. - Nie znoszę, jak ludzie gadają za moimi plecami.
- Nikt nie gada za pani plecami, madame.
- Laretta nie traciła cierpliwości. - Przygotowałam

coś smacznego na kolację. Madame tak lubi moje gnocchi. Zawsze mi pani powtarzała, że nikt w całej Toskanii nie robi lepszych.

Antonella prychnęła tylko na te słowa. Wsparta na ramieniu Maguire'a przeszła do jadalni, szurając stopami, a reszta niedobranego towarzystwa ruszyła w ślad za nią.

Podeszła prosto do szczytu stołu, ale Laretta ją zatrzymała.

- Madame siądzie tutaj. - Wskazała sąsiednie krzesło.

- A co to ma znaczyć? Zawsze siedzę u szczytu! To moje miejsce. Chyba że Pompasse jest w domu. Właśnie, gdzie on?

- Pompasse nie żyje, madame. Pani pamięta. Przyjechała Charlie. Jest żoną pana. Jej należy się pierwszeństwo w domu.

- Na litość boską, niech ta stara wiedźma siada, gdzie chce - zezłościła się Gia.

- Madame powinna siedzieć u szczytu...

- w tej samej chwili dyplomatycznie zaczęła Charlie, ale Maguire usadowił już madame na wskazanym przez Larettę krześle. Dokonawszy tego niełatwego zadania, podniósł głowę i przebiegle uśmiechnął się do Charlie.

- Teraz pani jest tu matriarchinią, droga lady Pompasse. Proszę czynić honoru domu.

- Ja nie chcę...

- Siadaj wreszcie! - fuknęła Gia, odsuwając

krzesło. - Już dość się na ciebie wyczekaliśmy.

Umieram z głodu.

Charlie usiadła bez dalszych protestów w wielkim krześle Pompasse'a, które przytłaczało swymi rozmiarami, podobnie jak przerośnięta osobowość samego malarza. Czuła się jak mała mysz schwytana w pułapkę. Jeszcze chwila, a poręcze wygną się, zamkną wokół niej i krzesło ją uwięzi. Ale to w końcu tylko krzesło, a przecież były inne, znacznie bardziej realne pułapki.

Kolacja, mimo starań Laretty, wypadła żałośnie.

Gia cały czas zagadywała Maguire'a, od czasu do czasu rzucając uszczypliwości pod adresem Charlie. Madame Antonella w milczeniu pochłaniała wszystko, co znalazło się w zasięgu jej ręki, przy czym połowa jedzenia lądowała na

jej obfitym, wbitym w czarne atłasy łonie. Zaś Maguire z zainteresowaniem obserwował swoje współbiedniczeki.

Charlie nie mogła się nadziwić, że udało się jej przełknąć cokolwiek w tej rodzinnej atmosferze.

- Co za podłe wino, prawdziwe pomyje - zawyrokowała w pewnym momencie Antonella, wysuszając czwarty kieliszek. - Gdzie się podział Pompasse? Nigdy nie pozwoliłby serwować takiego octu. To twoja wina. - Oskarżycielskim gestem wskazała na Charlie.

Pięć lat wcześniej Charlie wdałaby się w sprzeczkę, lecz teraz nie czuła takiej potrzeby.

- Zaraz zapytamy Tomasa, czy nie ma czegoś lepszego - powiedziała po prostu.

- Mnie smakuje - wtrąciła Gia. - A jak tobie, Maguire?

Maguire nie ruszył swojego wina, co nie uszło uwagi Charlie. Nie mając na kim zaczepić oka, cały czas przyglądała mu się uważnie. Odpychający sposób jedzenia Antonelli i wrogość Gii nie pozostawiała jej wielkiego wyboru, a trudno przecież wpatrywać się cały czas w nagie ściany.

- Gdzie się podziały obrazy? - zapytała.

Gia nawet nie podniosła wzroku. Wypiła sporo i wino wprawiło ją w jeszcze bardziej wojowniczy nastrój.

- Pytasz o twoje portrety? Dawno zniknęły.

Nie wiem, czy je spalił, czy sprzedał, ale od pięciu lat nikt ich tu nie widział.

- Spalił? - powtórzyła Charlie ze zgrozą.

- Nie pleć bzdur - wtrąciła Antonella, zwracając się do Gii. - Doskonale wiedział, ile są warte jego obrazy. Nie spaliłby żadnego. Dlaczego niby miałby spalić, ty mała, głupia przybłędo?

Antonella od pięćdziesięciu lat obrzucała podobnymi epitetami wszystkie modelki. Gia nie była idiotką, więc się nie obraziła, ponieważ jednak była Gią, nie pozostała dłużna.

- Bo kochał Charlie, ale ona go rzuciła, ty stara pudernico.

Charlie odłożyła widelec.

Od chwili kiedy dowiedziała się o śmierci Pompasse'a, prawie nic nie jadła, a teraz do reszty straciła apetyt.

- Mogłybyśmy zaprzestać tych kłótni? - powiedziała bez wielkiego przekonania.

- Nie bądź śmieszna. W tym domu wszyscy zajmują się wyłącznie kłótniami. Bo tak postanowił Pompasse. Zapomniałaś już? Jak o wszystkim innym? - miotała się Gia.

- Nie spaliłby swoich obrazów - obstawała

przy swoim Antonella. – Nawet portretów tej dziwki. Ktoś musiał je schować.

– Gdzie? – zainteresował się Maguire. Wytrawny pożeracz plotek łowił każde słowo burzliwej konwersacji.

Madame Antonella wzruszyła ramionami.

– Zapytaj Pompasse’a.

– On nie żyje, durna starucho! – krzyknęła Gia.

– Wiem – przytaknęła Antonella zjadliwie.

– Pytanie, kto go zamordował?

–

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Gromki łoskot nie mógł rozlec się w gorszym momencie.

Strzał Antonelli był celny. Maguire, patrząc na znieruchomiłe twarze, już prawie odgadł, kto, niestety Lauretta, która właśnie wносиła do jadalni ciasto, wypuściła z rąk paterę. Prask! I twarze na powrót skryły się za maskami.

Za plecami żony pojawił się bardzo poruszony Tomaso.

Maguire był naprawdę szybki i bystry, i potrafił w lot wyłapywać prawie nieuchwytne sygnały, zapamiętywać ulotne wrażenia.

Gia musiała podejrzewać, że Pompasse został zamordowany. Nie mrugnęła nawet okiem, kiedy madame Antonella głośno powiedziała, co myśli o śmierci starego.

Reakcja Lauretty nie pozostawiała najmniejszych wątpliwości. Zaszokowana i zdjeta zgrozą,

wypuściła z rąk paterę. Ochłonawszy trochę, podeszła do Antonelli.

– Nie powinna pani mówić takich rzeczy, madame – powiedziała z gniewem. – To był wypadek. Kto miałby go zabić?

– Każdy, kto miał z nim chociaż raz do czynienia

– wtrącił Maguire, ciekaw, jakie wrażenie wywrze jego uwaga.

Lauretta natychmiast spiorunowała go wściekłym spojrzeniem.

– Też coś! A pan skąd niby może wiedzieć?

Znał go pan?

– Nie miałem przyjemności. W przeciwnym razie też zaliczałbym się do podejrzanych, jak wy wszyscy.

Nie zachowywał się w tej chwili jak ekspert od ubezpieczeń i niewiele sobie z tego robił. Zniknie stąd, zanim dojdą prawdy, a tymczasem spróbuje włożyć kij w mrowisko. Nadrobi to, co popsowała mu Lauretta. I rzeczywiście, wszystkie oczy zwróciły się na niego. Wprawił w szok nawet

starą wariatkę Antonellę.

Charlie podniosła się z za stołu, blada, wstrząśnięta. Obserwował ją uważnie przez całą kolację. Prawie nie tknęła jedzenia. Nic dziwnego, że wyglądała na zagłodzoną. Dziesięć kilogramów więcej i byłaby wspaniałą kobietą. A jednak intrygowała go nawet taka. Bardziej, niżby chciał.

- Myślę, że pora skończyć tę konwersację
- powiedziała spokojnym na pozór głosem.
Lauretta i Tomaso wyprowadzali już madame Antonellę z jadalni. Coś mówili w dialekcie i Maguire nie był w stanie zrozumieć ani słowa.
- Nie myślisz chyba, że ktoś zabił Pompasse'a?
- zapytała go Gia.
- Dość tego! - powtórzyła Charlie i wyszła pospiesznie do ogrodu.

Maguire spojrzał na Gię. Była dla niego dzisiaj uprzedzająco miła. Zastanawiał się, czy nagle odkryła, że z niego w porządku facet i tak w ogóle przystojny gość, czy też nadskakiwała mu, bo w La Colombali pojawiła się Charlie.

Gia zajęła miejsce Charlie przy Pompasie, w każdym razie próbowała. Może chciała udowodnić sobie, że w jej obecności żaden mężczyzna nie spojrzy na poprzedniczkę.

No cóż, nie interesowała go.

Owszem, flirtował z nią niejako z obowiązku, próbując wyciągnąć jakieś informacje, ale nie spodziewał się wiele. Gia Schiavone była zbyt zajęta własną osobą, by dostrzegać, co się dzieje wokół niej. Jeśli stary rzeczywiście padł ofiarą zbrodni, z pewnością nie ona go zamordowała. Tak przynajmniej podpowiadała mu intuicja. A ta prawie nigdy go nie zawodziła.

Gia mogła jednak coś wiedzieć i nie zdawać sobie z tego sprawy. Chciał to sprawdzić. Miał niewiele czasu. Prędzej niż później ktoś się zorientuje, że nie jest tym, za kogo się podaje.

Zanim to jednak nastąpi, musi zebrać wystarczający materiał do swojej sensacyjnej książki.

Lecz Gia może poczekać, teraz powinien popracować nad Charlie. Była zmęczona, zdenerwowana, trochę oszołomiona - idealny moment, żeby ją zaatakować. Żaden reporter z prawdziwego zdarzenia nie przepuściłby takiej okazji.

Ale czy mógł jeszcze mówić o sobie, że jest reporterem? Stał się pismakiem goniącym za plotkami, paparazzim. Pracował dla brukowca i w dodatku był z tego dumny. Kiedy Charlie

Thomas odkryje, kim jest naprawdę, jej pogarda nie będzie znała granic.

Miał nadzieję, że to nie ona zabiła Pompasse'a, bo kiedy już wszystko z niej wydobędzie, mogłaby zabić i jego. Wolał, by nie miała morderczych instynktów i w mniej krwawy sposób próbowała się na nim odegrać. Bo że będzie próbowała, to pewne.

Był piękny wieczór, jeden z tych, jakie się zdarzają tylko w Toskanii.

Znużony życiem Maguire już dawno przestał zwracać uwagę na otoczenie, ale dzisiaj jego przytępione zmysły na powrót się obudziły. Powietrze

pachniało oliwkami, winoroślą i jesiennymi kwiatami, lekki wiatr poruszał liśćmi drzew, gdzieś w oddali ujadał pies.

Dojrzał Charlie na skraju tarasu i ruszył powoli w jej stronę, umożliwiając jej ucieczkę, gdyby nie chciała z nim rozmawiać. To też mogła być informacja, dająca równie wiele do myślenia, co rozmowa.

Ale Charlie nie uciekła. Przyglądała mu się swymi niezwykłymi oczami. Maguire miał wrażenie, że widziała w mroku równie dobrze jak on, że dostrzegała każdą zmianę na jego twarzy.

Jak teraz żałował, że nie miał papierosów! I nie chodziło o głód nikotynowy, tylko o to, żeby zająć czymś dłonie, uwolnić się od pragnienia dotknięcia tej kobiety.

Ku jego zaskoczeniu odezwała się pierwsza:

- Zapomniałam już, jakie upiorne bywają kolacje w tym domu. - Wzdrygnęła się przy tych słowach.

- Kiedy tu mieszkałaś, do stołu nie siadało pewnie aż tyle osób. Za twoich czasów nie było jeszcze Gii.

Charlie uśmiechnęła się ironicznie.

- Nie bądź naiwny, Maguire. Romanse Pompasse'a zdążyły już przejść do legendy. Zawsze otaczał się kobietami. Kochanki, modelki, kobiety, których już nie potrzebował, ale którym mimo

to nie pozwalał odejść. Uwielbiał szczuć je przeciwko sobie, patrzeć, jak się o niego kłóca.

Dlatego je zatrzymywał przy sobie.

- Miły gość.

Charlie wzruszyła ramionami.

- Mnie to nie przeszkadzało. Szybko zrozumiałam, jaki jest naprawdę.

- I jaki był? Egocentryczny? Apodyktyczny? Perwersyjny?

- Był wielkim artystą - powiedziała z przyganą.

- Wielcy artyści są ponad zwykłym kodeksem moralnym. To cena, którą płacą za swój talent. Aristide nie mógł być jednocześnie wielkim malarzem i dobrym człowiekiem.

- Charlie, daj spokój, dobrze wiesz, że to wierutna bzdura. Za pomocą sztuki usprawiedliwiał swoje różne łajdactwa, tylko po to mu była potrzebna, a takie idiotki jak ty pozwalały mu na to. Z waszą aprobatą robił, co chciał. Zgodziłabyś się, żeby twój mężczyzna, zwykły facet, otaczał się chmarą aktualnych i byłych kochanek? Co byś zrobiła, gdyby twój narzeczony tak postępował?

- Henry nigdy nie dopuściłby się czegoś podobnego
- obruszyła się. - Kocha mnie i nigdy by nie skrzywdził.

- W takim razie zostaw go. Miłość musi boleć. To rozczarowanie, cierpienie, namiętność i radość, a ty mówisz o zwykłej serdeczności.

- Może nie doceniamy zwykłej serdeczności.

- Tak, poniekąd to prawda, ale na niewiele przydaje się w łóżku. Nie sądzisz?

Nie odpowiedziała. Był zdziwiony, że nie próbuje uwolnić się od jego towarzystwa. Może odrobinę ją intrygował? Bardzo się rozczaruje, kiedy pozna prawdę.

- Co myślisz o tym wszystkim? - zapytał, siadając na murku obok niej. - Twoim zdaniem rzeczywiście ktoś zamordował Pompasse'a?

- A nawet gdyby, to jaki to ma to związek ze spuścizną?

Już miał powiedzieć: „cholera wie”, ale jako ekspert od ubezpieczeń powinien znać odpowiedź.

- Wiesz, kto mógł na tym zyskać, jak brzmi testament, takie tam... Jeśli cały majątek zapisał tobie, możesz znaleźć się w niezłych opałach.

Charlie gwałtownie odwróciła głowę.

- Nie zabiłam Pompasse'a. Od wielu lat go nie widziałam.

- A gdzie byłaś w dniu jego śmierci?

- W swoim mieszkaniu. Cały tydzień spędziłam sama, nie odbierałam telefonów, nie przyjmowałam gości.

- Nie masz zatem alibi.

- Nie wiem. Może portier mnie widział, ale to nie ma żadnego znaczenia. Zdarzył się nieszczęśliwy wypadek i to wszystko. Madame Antonella

jest leciwa i ma... nie najlepszą pamięć. Nie można przywiązywać wagi do jej słów. Lubi bulwersować, żeby zwrócić na siebie uwagę. Za chwilę znowu zapomni, że Pompasse nie żyje. Skąd mogłaby wiedzieć, że został zamordowany?

- Może jednak wie.
- Gdyby policja coś podejrzewała, dawno by już się tu pojawiła.
- Jesteś pewna?
- Wydali przecież ciało, odbyła się kremacja...
- Gdyby na przykład ktoś go otruił lub sprzątnął innym sposobem, to teraz jest już za późno, by zaczynać formalne dochodzenie.
- Trucizna? - zaciekał się Maguire. - Interesujące. To kobieca broń.
- Nie bądź seksistą, Maguire - zachnęła się.
- Kiedy patrzę na ciebie, myślę raczej o pistolecie niż o truciźnie.
- Powściągnął uśmiech. Był w swoim żywiole, bo lubił prowokować.
- Potrafisz posługiwać się bronią?
- Owszem. Pompasse mnie zmusił. Chciał, żebym umiała się bronić w razie włamania czy napadu na willę. Bał się terrorystów, kidnaperów, różnych psychopatów. Może ktoś taki go zabił? Jakiś obłąkany kolekcjoner?
- Albo całkiem przytomny i zupełnie zdrowy na umyśle kolekcjoner, który świetnie wiedział,

że po śmierci Pompasse'a ceny jego obrazów pójną w górę nawet o kilkaset procent. Przecież tak to działa, taka jest reguła.. Ale ja nie wierzę, że Pompasse'a zabił ktoś obcy.

- A ja w ogóle nie wierzę w zabójstwo - stwierdziła stanowczo Charlie.

- Nie wierzysz, że nie żyje?

- Nie wierzę w zabójstwo - powtórzyła z tym samym uporem.

- Czyżby? A dlaczego? Dlatego, że to niezbyt wygodna myśl?

Utkwiła w nim swoje złote oczy.

- Dlatego, że policja nie dopatrzyła się w jego śmierci niczego podejrzanego. I dlatego, że nie chcę, żeby to była prawda.

Wydobył z niej więcej, niż oczekiwał. Ale na tym polegał jego zawód, wyciągać z ludzi to, czego nigdy nie powiedzieliby nikomu obcemu.

- Uczciwa odpowiedź. Wyglądasz na wykończoną. Powinnaś się położyć i przestać myśleć o śmierci Pompasse'a.

- Niech to diabli! - zakląła, wstając z murku.

- Zapomniałam powiedzieć Lauretcie, żeby przygotowała ci inny pokój. Teraz jest już za późno.

- Żaden problem. Możesz przecież spać w moim łóżku.

- Maguire, uważaj, co... - zaczęła ostrzegawczym tonem.

- Sama, aniele. Jest cholernie wąskie, a ja rozpycham się w nocy. Zamienimy się pokojami. Prześlę się z duchem Pompasse'a. Ciekawe, jaką będzie miał minę, kiedy znajdzie pod kołdrą mnie zamiast ciebie.

Charlie zaśmiała się, ale bez przekonania.

- Ja nie mogę...

- Ależ możesz. To twój dom. Ty tu jesteś panią, przynajmniej do chwili otwarcia testamentu. Możesz zaklinować klamkę krzesłem, jeśli się boisz, że zakradnę się do ciebie w środku nocy. Nie wiem, czy to powstrzyma ducha Pompasse'a, ale Lauretta ma na pewno czosnek w kuchni...

- Czosnek odstrasza wampiry, nie duchy.

A Pompasse już nie wróci.

- Myślisz, że nie będzie cię straszył? Jedynej kobiety, która od niego uciekła?

Zwróciła ku niemu zmęczoną twarz.

- Nie wierzę w duchy.

- I nie uciekłaś, prawda? Pompasse jeszcze się z tobą nie rozliczył. Ciekaw jestem tego twojego narzeczonego. Stawiałem na młodego rekinka z Wall Street, ale teraz zaczynam przypuszczać, że wołałabyś kogoś podobnego do Pompasse'a. Starego zbereźnika, który zaopiekowałby się tobą. Takiego... tatusia.

- Jesteś niesmaczny, Maguire.

- Na tym polega mój nieodparty wdzięk. No

to co, powiedz mi, jest ten twój Henry podobny do Pompasse'a czy nie?

- Ani trochę. Jest cenionym prawnikiem, człowiekiem dobrze wychowanym, opiekuńczym, uprzejmym i powściągliwym.

- W łóżku też? - Wiedział, że posunął się za daleko, ale nie potrafił sobie odmówić tej przyjemności.

- Idź do diabła, Maguire. Żebyś pracował nawet dla dziesięciu różnych rządów, nie będę tolerowała takiego zachowania.

- Ile lat ma Henry? Jego chyba nie podkradłaś swojej mamie?

- Wyjedziesz stąd, Maguire. Natychmiast.

- Dopiero w sobotę. Po pogrzebie. Mam tu robotę do wykonania i zamierzam ją skończyć. Najlepiej nie zwracaj na mnie uwagi. Ludzie mówią, że ze mną nie da się wytrzymać, bo nie potrafię trzymać języka za zębami.

- Racja, ale na naukę nigdy nie jest za późno

- rzuciła ostro.

- Wiesz co, pierwsza zajmij łazienkę, ja w tym czasie przeniosę swoje rzeczy i nikt cię już nie będzie niepokoił, ani ja, ani duchy.

Zgoda?

Najwyraźniej nie miała ochoty z nim rozmawiać.

Tym razem przesadził.

- Nie chcę cię tu widzieć - powiedziała zmęczonym głosem. Czuła, że przegrała.

Maguire był innego zdania, ale wiedział też, że to tylko kwestia czasu. Miał trzy dni, żeby pójść z nią do łóżka. Wtedy nie będzie mogła się już bronić. Powie mu wszystko, co chciał wiedzieć o Pompassie, jego małżeństwie i perwersyjnych upodobaniach. Cholernie brudna robota, ale ktoś musiał ją odwalić.

- Przepraszam - powiedział z udaną skruchą, pewien, że Charlie i tak mu nie uwierzy.

- Już nie będę. Nie chciałem cię zdenerwować. Idź na górę. Zanim wyjdiesz spod prysznic, pokój będzie gotowy. Chyba że i w nim będziesz się źle czuła. Musiałaś tam sypiać ze starym...

- Wszystko się zmieniło - przerwała mu.

- Nie ma już tamtych mebli. Poza tym to on zawsze przychodził do mnie. Dlaczego, do diabła, ja ci to wszystko opowiadam?

- Musisz się komuś zwierzyć - podsunął usłudźnie.

- Czyli powinnam pójść do psychiatry - rzuciła poirytowanym głosem. - Wyjedziesz stąd, Maguire. Jutro dokończysz, co masz do zrobienia, i do widzenia. Im prędy skatalogujesz prace Pompassie'a, tym szybciej się uspokoję.

- Najpierw muszę odnaleźć obrazy i notatki, skarbie.

- Wspólnie je odnajdziemy. Pomogę ci szukać.

- Odwróciła się i ruszyła w stronę domu.

Nie zdążyła zobaczyć jego triumfalnego uśmiechu.

Na litość boską, jak ona przetrwa tych kilka najbliższych dni? Jakby już kobiety Pompassie'a nie dawały się jej wystarczająco we znaki. Musiała znosić starczy weredyzm Antonelli i złośliwości Gii, a do tego jeszcze ten przeklęty Maguire. Miała ochotę uciec z krzykiem w ciemną noc.

Chyba tylko głód ją powstrzymał.

W ogromnej stalowej lodówce, którą Pompassie sprowadził z Rzymu, znalazła pieczonego kurczaka. Lauretta była ogromnie dumna ze swoich talentów kucharskich i Charlie wszystkiego od niej się nauczyła. Usiadła przy lśniącym czystością stole i ze smakiem zabrała się za kurczaka oraz zimne gnocchi. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz jadła z takim apetytem.

Lauretta jakoś zdzierżyła życie przy Pompassie,

pomyślała Charlie, upijając łyk wina. Oczywiście miała Tomasa, który ją wspierał, poza tym była zaradną wiejską kobietą. Jej romans z wielkim artystą trwał zaledwie rok i chociaż obrazy z tamtego okresu powszechnie uważano za jedne z najlepszych dzieł Pompasse'a, bez trudu z kochanki i modelki przeistoczyła się w gospodynię La Colombali.

Lauretta i Tomaso od lat z oddaniem służyli

Pompasse'owi, na pozór szczęśliwi w swym spokojnym, zgodnym małżeństwie.

Na pozór, bo nigdy nie otrząsnęli się z tragedii, jaką było zniknięcie Luisy. Ich szesnastoletnia córka uciekła z domu i wszelki ślad po niej zaginął. Lauretta nigdy nie wracała w rozmowach do tamtego wydarzenia, stała się tylko jeszcze bardziej religijna. To Tomaso opowiadał Charlie o swojej jedynaczce, kiedy żony nie było w pobliżu.

Kolejna domowniczka, madame Antonella, zamknęła się w świecie starczych urojeń, ale fizycznie wciąż czuła się dobrze. Wiodła wygodne życie, budząc trwożliwy respekt wśród mieszkańców La Colombali. Gdy Pompasse zjeżdżał do willi, codziennie musiał być u Antonelli na popołudniowej herbatce.

Nie, Maguire nie miał racji, Pompasse nie niszczył ludzi i nie był egotykiem.

Zmyła po sobie naczynia i poszła na górę.

Drzwi do sypialni Pompasse'a zastała szeroko otwarte, a do jej pokoju były zamknięte.

Stanęła z wahaniem w progu i zajrzała do środka. Ani śladu Maguire'a, za to na niskiej ławce była jej walizka, a klamka przy drzwiach do łazienki została zaklinowana krzesłem.

Kilka minut później leżała już w łóżku. Krzesło pod klamką mogło uchronić ją przed Maguire'em, ale nie przed duchem Aristide'a. Duchy

116

mają tę właściwość, że potrafią przenikać przez ściany, nawiedzają człowieka we śnie, dręczą na jawie.

Przecież nie wierzyła w duchy.

Kiedy wreszcie zasnęła, śniła o Maguirze.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Maguire wyciągnął się na wielkim łożu, trzymając notes w dłoni. Poszcześciło mu się, chociaż czego innego szukał. Przepatrzył bagaż Charlie z sumiennością profesjonalisty i nie znalazł nic interesującego. Dżinsy, T-shirty, kilka swetrów z dobrymi firmowymi metkami, inne ciuchy, oraz

kilka par najzwyczajniejszych białych, bawełnianych majtek. Te ostatnie utwierdziły go w przekonaniu, że wdowa po Pompassie z nikim nie sypia.

Żyje w celibacie, a seks jej nie interesuje. Na dnie walizki natrafił w końcu na oprawny w skórę duży notes. Pożyczył go sobie, mając nadzieję, że uda mu się podzucić go niepostrzeżenie, zanim Charlie się zorientuje. Teraz przeglądał suche notatki. Żadnych osobistych wynurzeń, tylko rozkład zajęć, terminy spotkań służbowych i zobowiązań towarzyskich. Tu co rusz pojawiała się imię tajemniczego Henry'ego.

Z notesu wynikało, że Charlie była bardzo zapracowana. Odnotowywała każdą godzinę spędzoną w restauracji, w kuchni i w biurze.

Nie mógł sobie wyobrazić, że ta zimna, wychudzona istota potrafiła gotować. Żeby naprawdę dobrze gotować, człowiek musi być po trosze sybarytą, cieszyć się przyjemnościami tego świata i własnym ciałem.

Tak samo nie mógł sobie wyobrazić, by Charlie mogła z kimś się kochać. Jakkolwiek próbował, nieodmiennie stawał mu przed oczami ciągle ten sam obraz wdowy, która nieruchomo siedzi za biurkiem i wpatruje się w niego tymi swoimi egzotycznymi, złotymi oczami. Zagadkowymi i pięknymi.

Sz szczególnie interesował go miniony tydzień, kiedy to zginął Pompassie.

Nie znalazł w notesie żadnych notatek dotyczących spotkań, pracy, nic przez całe pięć dni, od poniedziałku do piątku. Czy ktoś wpadł na to, żeby zapytać ją, co robiła, kiedy umierał Pompassie? Jeśli nie, on zrobi to na pewno.

Sam pokój, kaplica poświęcona utraconej żonie, też nie dostarczył mu wielu informacji. Ubrania, których nikt od lat nie nosił, komoda wypełniona bielizną. Inną niż ta w walizce, co Maguire odnotował z pewnym zainteresowaniem. Żona Aristide'a nosiła jedwabie i koronki w egzotycznych kolorach, wdowa wołała białą bawełnę.

Jeszcze większym zaskoczeniem była spora kolekcja romansów w szafce nocnej, co świadczyło, że Charlie musiała kiedyś wierzyć w namiętną miłość lub też, w najgorszym razie, przejawiać dla niej niejakie zainteresowanie.

Zgasił światło i zaczął mościć się do snu. Bez szczególnego entuzjazmu myślał o tym, że w tym samym łożu państwo Pompassie'owie konsumowali swoje małżeństwo. Nie dziwił się Charlie, że chciała zamienić się pokojami. Chętnie dołączyłby

do niej teraz, gdyby znalazł dobry pretekst. Miał coraz mniej czasu. Jutro czwartek. Do soboty musi skończyć swoje prywatne śledztwo, czyli ostrożnie przepytąć kobiety mieszkające w willi, odnaleźć zaginione obrazy albo przynajmniej dowiedzieć się, dokąd powędrowały, no i na koniec, taki drobiazg, znaleźć mordercę starego capa. Jeśli mu się uda, będzie ustawiony na całe życie i wreszcie wróci do Australii. Jeśli natomiast na progu willi pojawi się prawdziwy ekspert od ubezpieczeń, Maguire będzie musiał brać nogi za pas, zanim Charlie przypuści na niego szarżę z łopata w dłoniach. Trzeba przyznać, że chętnie ujrzałby chłodną, zdystansowaną damę ziejącą wściekłym ogniem. Przed marnym końcem z rąk Charlie mogło uratować go tylko ospałe tempo działania włoskiej biurokracji. I pewnie uratuje. Kiedy w willi

pojawi się wreszcie prawdziwy rzeczoznawca, jego już dawno tu nie będzie. Poza tym widok nieposiadającej się z wściekłości wdowy miał się nijak do perspektywy zbitcia ogromnych pieniędzy na książce. Nie potrzebował wiele snu, a najlepiej pracowało mu się rano. Teraz prześpi się kilka godzin, wstanie o świcie i zejdzie do gabinetu, żeby trochę popisać. Oczywiście nie był jedynym dziennikarzem, który zajmował się Pompasse'em, chociaż nikt poza nim nie zgromadził aż tylu informacji ani nie dotarł do ludzi bezpośrednio związanych z malarzem. Pomimo to, jeśli inni okażą się wystarczająco szybcy, jego materiał ogromnie straci na wartości. W tym biznesie czas był wszystkim.

Teraz, kiedy poznał już Charlie, musi naszkicować jej postać, opisać oczy, szczupłą sylwetkę, charakterystyczny dystans. Musi zrozumieć, skąd brała się jej siła i jej niepewność. Musi to wszystko ubrać w słowa, wyartykułować.

Może wtedy uwolni się od niej.

Charlie obudziła się wcześniej i wzięła szybki prysznic, obawiając się, że w każdej chwili do łazienki może wejść Maguire. Jednak z jego pokoju nie dochodziły żadne odgłosy.

Dzięki Bogu Lauretta i Tomaso jeszcze nie

wstali. Kochała ich z całego serca, ale lubiła wypić w spokoju swoją poranną kawę, a Lauretta znowu zaczęłaby mówić o Pompasse, wspominać różne zdarzenia i opłakiwać zmarłego. Charlie nie miała ochoty tego słuchać. Gdzie podziały się obrazy? Czyżby je sprzedał?

Raczej nie. Prace Pompasse'a osiągały zawrotne ceny. Byłoby głośno, gdyby pojawiły się na rynku, i na pewno dotarłyby do niej jakieś informacje. Przekazał je komuś? Też nie, to było niepodobne do Pompasse'a. Za bardzo kochał pieniądze i sławę. Z pewnością nie oddałby nikomu swoich prac, chyba że miałby w tym jakiś nieczysty cel.

Co malował przez ostatnie lata? Portrety wiecznie skwaszonej Gii?

Od czasu powstania portretu zatytułowanego „Charlie w szlafroku” prasa artystyczna nie wspominała o nowych pracach Pompasse'a. Arcydzielo, zachwycali się krytycy, a Charlie chodziła dumna jak paw, aż wreszcie przeczytała recenzję we włoskim „Magazynie Artystycznym”:

To, co czyni „Charlie w szlafroku” prawdziwym arcydziełem największego współczesnego malarza, to wyraz oczu modelki. Pompasse potrafił oddać w obrazie jej wątpliwość, niezdecydowanie, rozpaczliwą walkę o wewnętrzną harmonię. Powiada się, że w oczach odbija się dusza człowieka. Dusza obnażona przez Pompasse'a jest pusta, bezbronna, wydana bez reszty na spojrzenia widza.

Wyjechała następnego dnia rano.

Wszyscy uznali, że uciekła, bo nie mogła znieść obecności Gii, nowej kochanki Pompasse'a. Matka uważała, że powodowała się zranioną dumą, Pompasse był przekonany, że złamał jej serce. Od lat usiłował obudzić w Charlie zazdrość, a kiedy wreszcie mu się udało, reakcja żony przekroczyła jego najśmielsze oczekiwania. Tymczasem niewierność Pompasse'a nie miała nic wspólnego z jej odejściem. Obojętnie przyjęła fakt, że przestał z nią sypiać. Nie, nie obojętnie, to niewłaściwe określenie. Odetchnęła z ulgą, kiedy przestał odwiedzać jej sypialnię. Nie była zazdrosna o Gię.

Aristide Pompasse wyrządził jej znacznie większą krzywdę.

Przypomniała sobie dziennikarskie relacje o ludziach z prymitywnych plemion, ich lęku przed aparatem fotograficznym, przed fotografem, który robiąc zdjęcie, kradnie człowiekowi duszę.

To właśnie uczynił Pompasse. Wprawdzie nie ukradł jej duszy, bo podała mu ją na srebrnej tacy, zaś on pokazał swoje trofeum całemu światu. Każdy, kto patrzył na jej portrety, mógł dojrzeć, jaka jest pusta, wypalona. Co gorsza, sama

się z tym pogodziła. Dawła z siebie wszystko, aż nic nie zostało, tylko wydrążona ludzka skorupa.

Uciekła. Musiała odzyskać własne życie, utraconą duszę. Odnalazła to wszystko w Nowym Jorku. Nic nie było w stanie skłonić jej do powrotu, ani groźby, ani prośby, ani niekończące się telefony od matki, pozostała też nieczuła na teatralne próby samobójcze Pompasse'a. Wiedziała, że Gia się nim opiekuje, Gia i pozostałe kobiety, które go otaczały. Udało się jej wyzwolić i ani myślała wracać, chociaż zostawiła część siebie w Toskanii. Tę część, którą zabrał Pompasse. Wzdrygnęła się, jakby chciała strząsnąć z siebie wspomnienia. Tego jednego obrazu nie chciałaby widzieć nigdy więcej. Na szczęście, czy nieszczęście, Pompasse sprzedał go prywatnemu kolekcjonerowi i nie wiedziała, gdzie teraz się znajduje. W każdym razie nie był wystawiony na widok publiczny, został ukryty przed ludzkimi spojrzeniami i osądami, chociaż jego reprodukcje pojawiały się w artykułach dotyczących twórczości Pompasse'a. Niech jakiś dziwaczny znawca podziwia go sobie w zaciszu własnego domu, a ona raz na zawsze zapomni o zagubionej dziewczynce. Nawet jeśli wiedziała, że tamta ciągle istnieje, przyczajona głęboko w jej podświadomości.

Zawsze piła kawę bez mleka, mocną i słodką. Napełniła kubek i odgarnęła z czoła wilgotne jeszcze włosy.

Kiedy mieszkała w La Colombali, lubiła pić kawę na tarasie, ale dzisiaj chciała uciec od dręczących, nieprzyjemnych wspomnień. Po prostu zwinie się w kłębek w wielkim klubowym fotelu w gabinecie, przyglądając się przez okno ruinom starego kościoła.

Drzwi do gabinetu były uchylone. Delikatnie je pchnęła i znieruchomiła w progu. Zapomniała, że Maguire tu właśnie rozłożył swój warsztat pracy. Siedział przy biurku Pompasse'a pochylony nad laptopem i stukał zawzięcie w klawiaturę. Nie potrafił pisać, nie patrząc na klawisze, ale jego palce poruszały się niezwykle szybko i wprawnie, co trochę zdziwiło Charlie. Miał słuchawki na uszach. Dyskmena nastawił tak głośno, że słyszała stłumione dźwięki odstręczającej muzyki.

Był tak pochłonięty pracą, że nie zauważył Charlie. Obserwowała go przez chwilę. Był nieogolony, z potarganymi włosami, nieobecny. Kogoś jej przypominał.

Wreszcie uświadomiła sobie, kogo. Był młody, na swój sposób przystojny i w niczym nie był podobny do Pompasse'a, a jednak dostrzegła na jego twarzy to samo zapamiętanie co u męża,

kiedy malował. Skąd się brało? Jak mógł się tak zapamiętać? Raporty ubezpieczeniowe raczej trudno uznać za twórczą pracę. A Maguire tworzył, to pewne.

Weszła do pokoju, ale nadal jej nie zauważał, całkowicie nieświadomy, że ktoś go obserwuje, wpatrzony w ekran komputera. Stała za jego plecami.

Zobaczyła na ekranie swoje imię oraz imiona innych domowników, a wszystko to w tekście, który z całą pewnością nie był raportem dla firmy ubezpieczeniowej.

Maguire zatrzasnął laptopa, zdjął słuchawki i odwrócił się do Charlie.

- Co ty sobie wyobrażasz? - syknął wściekłym głosem. - Szpiegujesz mnie?

- Chciałam wypić kawę w gabinecie. Nie moja wina, że mnie nie zauważyłeś. Stałam wystarczająco długo w drzwiach. Co to za rąbanka, której słuchałeś?

- Metallica. Najlepiej mi się pracuje przy heavy metalu.

- Piszesz raporty ubezpieczeniowe, słuchając heavy metalu?

- Jakoś muszę sobie uatrakcyjnić pracę. Zostało trochę kawy?

- Owszem, zostało. Idź do kuchni, nalej sobie.

- Gdyby chodziło o kogoś innego, sama przyniosłaby kawę, nawet Gii, ale Maguire'owi nie zamierzała

usługiwać. Poza tym koniecznie musiała zobaczyć, o czym tak naprawdę pisał.

Wstał z biurka, wyłączył płytę i wyszedł, zostawiając ją sam na sam z laptopem.

Wtedy Charlie odstawiła swój kubek i bez zastanowienia otworzyła komputer. Na ekranie zobaczyła Chytrego Kojota i Rода Runnera.

Wydało się jej dziwne, że Maguire wybrał sobie akurat taki wygaszacz, ale cóż, ten facet w ogóle był dziwny.

Nacisnęła pierwszy z brzegu klawisz, niestety, zamiast tekstu pojawiło się żądanie hasła.

Kiedy wrócił z kuchni, siedziała z podwiniętymi nogami w skórzanym fotelu. Dłonie wściekle zacisnęła na kubku i bardzo żałowała, że to nie szyja Maguire'a.

- Znalazłaś coś interesującego? - zapytał od niechcienia, sadowiac się na powrót przed komputerem.

Chciała się wyprzeć, lecz Maguire tak bardzo wyprowadzał ją z równowagi, że postanowiła mu odpowiedzieć w tym samym tonie.

- A tak, dowiedziałam się mianowicie, że lubisz kreskówki Warner Bros i jesteś paranoikiem, który zabezpiecza wygaszacz hasłem. Niestety

na więcej nie miałam czasu.

- Myślałaś, że uda ci się złamać hasło? To niemożliwe. Zmieniam je prawie codziennie.

- Po co? - zainteresowała się Charlie.

- Na wszelki wypadek. Choćby po to, żeby natrętne panienki nie wściubiały nosa w moje sprawy.

- Po pierwsze nie jestem panienką, a po drugie, wyobraź sobie, tak się przypadkiem składa, są to też moje sprawy.

- Skarbie, jesteś zupełnie jak Piotruś Pan. Nie wiem, ile masz lat, ale na pewno nie jesteś dorosła.

Charlie, o dziwo, udało się zaśmiać całkiem przekonująco.

- Naprawdę mało mnie znasz, skoro sądzisz, że jestem dziecinna.

- Wcale nie sądzę, że jesteś dziecinna. Ty po prostu jesteś dzieckiem.

- Pierdol się. - Zaszokowały ją własne słowa. Nigdy nie przypuszczała, że potrafi się zdobyć na coś podobnego.

Maguire był wyraźnie ubawiony.

- Powiedziałaś już kiedyś komuś „pierdol się”?

- Nie - przyznała.

- Szkoda. Najwyższa pora zacząć. Mów to każdemu, kto cię irytuje. Jesteś osobą, która powinna powiedzieć całemu światu, żeby się od ciebie odpierdolił.

- Dzięki za wnikliwą analizę mojej osobowości. Jeszcze coś?

- Robisz świetną kawę.

- Owszem - prychnęła niecierpliwie. - Jestem też świetną kucharką.

- Cieszę się. Musisz mi zademonstrować swoje umiejętności.

- Zapomnij o tym. Nie zamierzam gotować dla ciebie, Maguire. Chcę, żebyś wyniósł się jak najszybciej z La Colombali.

- Dlaczego? Przeszkadzam ci? - zapytał cicho.

Obydwoje świetnie znali odpowiedź. Bardzo jej przeszkadzał, ale nie miała zamiaru przyznawać się do tego.

- Potrzebuję miejsca dla gości, którzy przyjadą na pogrzeb.

- Znajdź dzienniki Pompasse'a. Dzięki nim dowiem się, ile obrazów zniknęło i co z nimi zrobił. Im szybciej je znajdę, tym szybciej się mnie pozbędziesz. To chyba proste, prawda?

- Mam inne sprawy na...

- Chcesz, żebym wyjechał? Nie ruszę się stąd,

dopóki nie skataloguję całego mienia Pompasse'a.
Łącznie z jego kobietami.

- Nie byłam niczym mieniem, Maguire. Zapamiętaj to sobie.

- Owszem, byłaś. Oddałaś temu satyrowi swoją duszę i ciało.

Obrzuciła go lodowatym spojrzeniem.

- Dobrze, pomogę w tych poszukiwaniach.
W takim razie zaczniemy od kościoła.

Maguire najpierw chciał zaprotestować, ale w końcu skinął głową.

- Kiedy?

Charlie postawiła pusty kubek na stoliku obok fotela.

- Najlepiej od razu. Jeśli znajdziemy zeszyty z notatkami, wieczorem będziesz mógł wyjechać.

- Skarbie, jestem dobry w tym, co robię, ale nie aż tak. Nie spieszę się, kiedy mam do czynienia z pięknem.

- Czy to jakaś aluzja seksualna? - Zaczynały ją męczyć dwuznaczne gry Maguire'a.

- Skoro ją odczytujesz w moich słowach... No cóż, seks znajdujemy wszędzie tam, gdzie chcemy go znaleźć.

- Tak?

Maguire wstał i podszedł do Charlie.

Nie golił się od kilku dni. Widocznie uważał, że szkoda zachodu. Henry golił się dwa razy dziennie. Był pod tym względem bardzo skrupulatny.

- Może jesteś ślepa - powiedział cicho, nachylając się.

Charlie czuła się jak w pułapce. Był zbyt blisko, budził w niej panikę i coś jeszcze, co nie miało nic wspólnego ze strachem, a czego nie potrafiła nazwać.

- Odsuń się, Maguire. Natychmiast - rzuciła lodowatym głosem.

O dziwo usłuchał. Cofnął się z ironicznym uśmiechem na ustach.

- Jestem gotowy, Charlie. Ty też?

- Na co?

- Żeby zacząć poszukiwania. Chyba ustaliliśmy, że przeszukamy ruiny kościoła? - powiedział niewinnym tonem.

Charlie podniosła się. Stała teraz twarz w twarz z Maguire'em. Powinna jak najszybciej pozbyć się go z willi. Miała dość kłopotów i bez tego zatrutego testosteronem, uprzykrzonego Australijczyka.

- Tak - przytaknęła. - Musimy znaleźć notatki. I obrazy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

W dawnych wiekach La Colombala była sercem niewielkiej osady, która posiadała własny targ i kościół. Jednak z czasem mieszkańcy zaczęli wyjeżdżać w poszukiwaniu lepszego losu. Emigrowali do innych krajów lub przenosili się do miast, a opuszczone, zapomniane przez ludzi domostwa stopniowo popadały w ruinę. Kiedy w latach siedemdziesiątych Pompasse kupił willę, kazał wyburzyć sypiące się, puste domy, zachowując tylko dwa. W jednym mieszkała madame Antonella, drugi zajmowali Lauretta i Tomaso. Oszczędził też zbombardowany kościół, ale go nie remontował, chociaż czuł dla niego sentyment. Podobał mu się taki, jakim go zastał. Mówił, że pobudza jego wrażliwość artystyczną i zmysł estetyczny. Ruiny symbolizowały dla niego odejście od wiary, w której został wychowany.

Charlie bardzo lubił stary kościół. Kiedy Pompasse był zajęty, wymykała się z domu i przychodziła tutaj. Nawet gdy przestał ją malować, gdy już z nią nie sypiał, nadal jej pilnował i tylko z rzadka udawało się Charlie uciec spod kontroli domowego tyrana. Biegła wąską ścieżką między cyprysami i siadała w pozbawionej dachu nawie. W ruinach kościoła odzyskiwała spokój, czuła się tu bezpieczna.

Nigdy nie przyszło jej do głowy, jak dziwne wiedzie życie. W domu Pompasse'a była tak strzeżona, że niemal się dusiła. Mąż nie pozwalał nikomu z nią rozmawiać, zawsze chciał wiedzieć, gdzie jest i co robi, co czyta, co kupuje, co myśli, co się jej śniło. A ona odpowiadała na wszystkie jego pytania.

Może nie na wszystkie.

Były rzeczy, które wołała zachować dla siebie i przemyśleć wśród ruin, pod błękitnym tokańskim niebem. To był jej azyl, z czasem rosnący obszar wolności, owa myśl niezależna.

Poranne powietrze przesycone było jeszcze nocnym chłodem i wilgocią. Charlie poprowadziła Maguire'a stromą ścieżką, życząc mu serdecznie, żeby w połowie drogi dostał zadyszki po tych swoich papierosach.

Irytowało ją, że musi iść właśnie z nim do ukochanego kościółka. Miała wrażenie, że ten człowiek zbruka jej sanktuarium swoją obecnością.

Uznała, że to w końcu niewielka cena, którą warto zapłacić, żeby się pozbyć natręta. Kiedy znajdą już dzienniki i obrazy, Maguire wyjedzie, a ona będzie miała kościółek znów wyłącznie dla siebie,

choćby przez kilka krótkich dni.

- A to co? - zapytał w pewnym momencie.

Wcale się nie zasapał. Był w lepszej kondycji, niż przypuszczała. Przypomniała sobie, jak wyglądał w samym ręczniku. Rzeczywiście był w dobrej kondycji. Wołała o tym nie myśleć. Wzięła głęboki oddech. Zapomniała już, jak stroma jest skalna ścieżka wiodąca do ruin. Mogła poprowadzić Maguire'a dłuższą drogą, ale wtedy dłużej byłaby naraz ona na jego towarzystwo, a tego wołała uniknąć.

- Tam mieszka madame Antonella - powiedziała, spoglądając w kierunku chaty z kamienia.

- Ta stara czarownica? Od dawna rezyduje w La Colombali?

- Od samego początku, jak tylko Pompasse kupił willę. Była jego pierwszą modelką i nigdy go nie opuściła.

- Niewiele kobiet zdecydowało się opuścić Pompasse'a. Ciekawe, co miał takiego w sobie? Pewnie był niezły w łóżku. Potem już żaden nie potrafił ci tak dogodzić, co?

Odwróciła się powoli i spojrzała ponad ramieniem Maguire'a na leżącą daleko w dole zieloną dolinę.

- Jedno pchnięcie i polecisz na złamanie karku, dowcipnisiu.

- Tak właśnie został zamordowany Pompasse? Poczula się tak, jakby wymierzył jej policzek.

- On nie został zamordowany, Maguire. Musiał się potknąć i spadł ze schodów. Nie słuchaj madame Antonelli. Jest stara, zgrzybiała, miesza się jej w głowie, nie wie, o czym mówi.

- Przeciwnie, moim zdaniem doskonale wie, o czym mówi. Zbyt wiele osób pragnęło śmierci Pompasse'a. Z tobą włącznie, Charlie.

- Nie pragnęłam jego śmierci. Od dawna był mi obojętny. Odeszłam, rozwiodłam się z nim, w każdym razie sądziłam, że jesteśmy rozwiedzeni.

- Ledwie wypowiedziała te słowa, gorzko ich pożałowała.

- Tak sądziłaś? - podchwycił natychmiast Maguire. - Nie dał ci rozwodu? To bardzo podobne do naszego drogiego Pompasse'a. A więc trzymał cię nadal na smyczy, jak wszystkie pozostałe. Nie dziwi mnie to wcale.

- Przestań, Maguire - powiedziała zmęczonym głosem. - Byłam przekonana, że jestem rozwiedziona i tylko to się liczyło. Od pięciu lat go nie widziałam. Pompasse należy do przeszłości. Zamknęłam ten rozdział swojego życia, opuszczając La Colombalę.

- Pompasse nie należy jeszcze do przeszłości.

Może tak będzie, kiedy wreszcie go pochowasz. A może nigdy nie uwolnisz się od niego. Staniesz się taka jak madame Antonella, stara, pomyłona kobieta, która żyje w urojonym świecie i ciągle opłakuje swojego Pompasse'a.

- Ty w każdym razie nie będziesz tego oglądał.

Dalej zamierzasz się złośliwie czepiać, czy poszukamy tych przeklętych obrazów?

Wyszczrzył zęby, zadowolony, że udało mu się wytrącić ją z równowagi. Wiedział, który guzik nacisnąć, by usłyszeć to, czego Charlie nikomu innemu by nie powiedziała.

- Poszukamy tych przeklętych obrazów - odparł krótko.

Kościółek niewiele się zmienił od czasu, kiedy Charlie była tu po raz ostatni. Poranne słońce złociło kamienne mury, w których przez wieki prości wieśniacy oddawali cześć Bogu. Ludzie o wyższym statusie, także mieszkańcy La Colombali, jeździli do katedry w Geppi. Laretta, Tomaso i madame Antonella nigdy nie opuszczali niedzielnej mszy w katedrze.

Skromny kościółek, pełen światła i zapachu liści, należał do ziemi, nieba, do natury, do żywiołów. Charlie lubiła myśleć, że gdyby Bóg chciał zamieszkać bliżej ludzi, wybrałby właśnie to miejsce, a nie pełną przepychu, ogromną, wyniosłą jak wszystkie budowle gotyckie, katedrę Najświętszej Marii Panny w Geppi.

Zatrzymała się przy wejściu. Drzwi od dawna już nie było, wewnątrz stało otworem dla żywiołów i dzikich zwierząt. Czuła na karku oddech Maguire'a. Dopiero teraz uświadomiła sobie z pewnym zaskoczeniem, że nigdy dotąd nie była tu w czyimś towarzystwie. Zawsze przychodziła sama i na tym polegał urok jej wizyt w ruinach.

Teraz też wolałaby być sama.

Kościółek był tajemnym schronieniem, cichym sanktuarium. Nie chciała tutaj intruzów, a już szczególnie Maguire'a.

On tymczasem wszedł do wnętrza z właściwym sobie wyczuciem i subtelnością. Tego właśnie się spodziewała. Westchnęła z cichą rezygnacją i postąpiła kilka kroków.

- Gdzie on mógł je schować, jak myślisz?

Charlie szła za nim.

- Nie twierdzą, że schował, ale widocznie musiał mieć jakieś powody, żeby usunąć obrazy z willi. Najprościej było przenieść je tutaj, gdzie nikt nie przychodzi.

- Wątpię. To miejsce jest zbyt wilgotne i nie

ma żadnych zabezpieczeń. Mówisz, że nikt tu nie przychodzi, ale każdy może wejść, jeśli zechce. Tu miałby przechowywać swoje cenne obrazy? Już prędzej wywiózłby je do swojego mieszkania we Florencji albo wynajął jakiś porządny magazyn.

- W takim wypadku ktoś musiałby mu pomóc, a nikt z domowników nie potrafi powiedzieć, co się stało z pracami. Lauretta twierdzi, że jeden po drugim obrazy znikają z willi, jakby Pompasse chyłkiem je wynosił. Gdzie, u licha, mógł je umieszczać, jak nie tutaj?

- Skąd wiesz, że to on?

- Bo zrobiłby prawdziwe piekło, gdyby się zorientował, że ktoś inny śmiał dotknąć jego dzieł. Logiczne, prawda?

- Bardzo dobrze, tylko że życie nie zawsze bywa logiczne.

- Owszem, owszem - mruknęła. - Dużo jeszcze masz takich sentencji w zanadrzu?

Słońce oświetlało otwartą nawę, w smugach światła tańczyły pyłki kurzu. Maguire ruszył w stronę prezbiterium, przechodząc po desce, którą ktoś położył w miejscu, gdzie zapadła się posadzka. Obejrzał się.

- Idziesz? Nie ma innej drogi.

- A wejście od strony zakrystii?

- Byłem tu już, obszedłem cały kościół. Od strony zakrystii jest jedno wielkie rumowisko. Albo przejdiesz po desce, albo będziesz musiała wrócić do willi.

- Przejdę po desce - powiedziała Charlie z rezygnacją i spojrzała na Maguire'a. Nieogolony, ze zmierzwionymi włosami, w wymiętym ubraniu, z tym swoim przenikliwym spojrzeniem

przypominał pirata, chociaż nie miał drewnianej nogi, przepaski na oku i papugi na ramieniu.

Może piractwo to stan umysłu?

- Masz lęk wysokości? - zapytał z przekąsem, widząc, że Charlie się waha. - Wspinałaś się po ścieżce jak kozica, a teraz boisz się przejść kilka kroków po głupiej desce?

Miała już dość ciężkich utarczek z tym człowiekiem i jego głupawych przycinków. Weszła na deskę zbyt szybko, kładka ugięła się, zachybotwała. Charlie zamarła i pewnie straciłaby zupełnie głowę, gdyby Maguire nie chwycił jej i nie przeciągnął na drugą stronę.

Stała przez chwilę nieruchomo. Dopiero gdy trochę ochłonęła, zorientowała się, że Maguire nadal ją obejmuje. Odsunęła się gwałtownie, ale ciągle czuła na swoim ciele dotyk jego dłoni.

Nie lubiła, kiedy ktoś jej dotykał, a tym bardziej ktoś taki jak on.

- Domyślam się, że sprawdziłeś już nawet, ale dla pewności obejdźmy ją jeszcze raz - powiedziała, starając się ukryć zmieszanie.

- Prowadź - zgodził się. - Mam jednak nadzieję, że niczego nie znajdziemy.

- Wydawało mi się, że zależy ci na odnalezieniu obrazów.

- Owszem, bardzo mi na tym zależy, ale nie chciałbym znaleźć ich tutaj, w tej strasznej wilgoci, w tym kurzu. Wyobrażasz sobie, w jakim

byłyby teraz stanie? Mokre, pokryte pleśnią...

A to przecież najcenniejsze prace Pompassé'a.

- Wiesz, które zniknęły?

- O ile mogłem się zorientować, na pewno nie ma „Po odejściu Charlie”, „Przebudzenia” i „Bursztynowego księżycy”.

- Pozowałam do wszystkich trzech.

- Otóż właśnie - przytaknął Maguire. - Pozostaje pytanie, czy zniknęły jeszcze jakieś inne.

Lauretta i Tomaso twierdzą co prawda, że tylko tych trzech brakuje, ale wcale nie jestem przekonany, czy mają rację.

- Dlaczego przepadły akurat te, na których przedstawiona jestem ja?

- Z różnych powodów. Może ktoś cię lubi

- stwierdził beztrząsco, niemal radośnie. - A może są cenniejsze od pozostałych? Ludzie dla pieniędzy gotowi są na wszystko.

- Nie podoba mi się to.

- Mnie też nie - przytaknął. - Sprawa nie jest bagatelna, bo chodzi o naprawdę poważne sumy. Rachunek się nie zgadza, ot co.

- Jak miło, że tak się przejmujesz. Jeśli obrazy są tutaj, to od niedawna. Nie zdążyłyby zbyt długo ucierpieć. Martwię się o coś innego. Masz wycenić majątek, który został po Pompassé, tak? - Nie mogła zapomnieć o tym, co zobaczyła na ekranie komputera: tekst z jej imieniem.

Nie „wdowa”, nie „madame Pompassé”, nawet

nie „miss Thomas”, tylko „Charlie”, tak po prostu.

- Tak, skarbie.

Odwróciła się gwałtownie.

- Przestań nazywać mnie skarbem, słoneczkiem i dzieciną. To brzmi protekcjonalnie i denerwuje mnie. Nie jestem twoim słoneczkiem, dzieciną, ani tym bardziej skarbem.

- Może chciałabyś.

- A jakże - prychnęła. - Przestań też mówić do mnie „lady”.

- Ależ jesteś damą. Wielką damą, która musi znosić obecność brudnego, fatalnie wychowanego i namolnego chama. Wyobrażam sobie, jak musi cierpieć twoja szlachetna dusza.

- Twoja osoba nic mnie nie obchodzi!

- Miło mi to słyszeć, skarbie.

Charlie odwróciła się do niego plecami. Nie miała już siły na słowne przepychanki.

Nie spodziewała się znaleźć obrazów w nawie, bo Maguire musiał już skrupulatnie ją przeszukać. Pozostawała jeszcze krypta, do której nie zajrzał. Nie wiedział o jej istnieniu.

Schody prowadzące na dół zavalone były belkami ze zrujnowanego dachu i dlatego prawie niewidoczne.

Wspólnymi siłami oczyścili zejście. Chociaż raz byli w czymś zgodni, jeśli nie w opiniach, to przynajmniej w działaniu.

- Uważaj na szczury - ostrzegła Charlie Maguire'a i ruszyła przodem.

- Nie myślisz, że przydałaby się nam latarka? Ciemno tu jak wszyscy diabli. Chcesz może wracać do domu? Ja nie boję się ciemności, ale jeżeli ty masz problemy...

Maguire oczywiście skapitulował. Jak każdy mężczyzna, pomyślała Charlie z dziecinną satysfakcją. Wystarczy zagrać na ich dumie, a gotowi są zrobić wszystko.

- Za chwilę oczy przywykną do mroku - rzuciła mu na pocieszenie, szukając stopą kolejnego stopnia.

W krypcie było trochę jaśniej niż na schodach. Przez szczeliny w spękany sklepieniu sączyło się światło.

- Tu, po bokach, są nisze - powiedziała.

- Idź tą stroną, ja pójdę wzdłuż przeciwległej ściany.

- Którą niby stroną mam iść? - warknął wściekle Maguire. - Nie widzę, gdzie pokazujesz. Powinniśmy trzymać się razem. Posadzka zasypana jest gruzem, więc mogę ci się przydać.

Jeszcze mi tu upadniesz i połamiesz sobie kości. No tak, zrewanżował się za pytanie o lęk przed ciemnościami.

- Dam sobie radę, Maguire.

- No to powiedzmy, że ci nie ufam. Znajdziesz obrazy, mnie naturalnie powiesz, że nic tu

nie ma, a kiedy już wyjadę, po cichu sprzedasz je jakiemuś prywatnemu kolekcjonerowi, zgarniesz całą sumę do kieszeni i w sprytny sposób wywiniesz się od płacenia podatku spadkowego.

- Gdybym ci powiedziała, że nic nie znalazłam,

siedziałbyś w La Colombali jeszcze Bóg wie jak długo. Bardziej zależy mi na tym, żeby się ciebie pozbyć, niż na pieniądzach.

- Jestem wzruszony. Nikomu dotąd nie działałem aż tak na nerwy. Zacznę patrzeć na siebie innymi oczami.

- Zaczynaj koniecznie od teraz - zgodziła się łaskawie. - I zapamiętaj sobie, że ja nie kłamię. Mam swój honor.

- Tak? - W głosie Maguire'a zabrzmiało autentyczne zdziwienie, jakby wcześniej podobna myśl nie zaświtała mu w głowie.

Spojrzała na niego, ale w mroku nie mogła dojrzeć wyrazu jego twarzy. Nieważne. Nie będzie zawracała sobie nim głowy. Dla siebie tylko wiadomych powodów robił wszystko, żeby doprowadzać ją do stanu skrajnej irytacji. Za nic nie mogła pojąć, jaki miał w tym cel.

- Nie lubisz mnie, prawda? - zapytała.

- Dlaczego tak uważasz?

- Nie wiem. Może to twoje nienaganne maniery nasunęły mi pewne podejrzenia? A może wyrządziłam ci jakąś straszną krzywdę w poprzednim wcieleniu? Przypominam ci twoją

mamusię, byłą żonę, okrutną kochankę, która złamała ci serce?

- Skarbie, moja matka jest ostatnią osobą, o której pomyślałbym, patrząc na ciebie - oznajmił przeciągle. - Poza tym jakie to ma dla ciebie znaczenie, co o tobie sądzę? Tak ci zależy na mojej opinii?

Starła się ze wszystkich sił zachować spokój ducha, tymczasem Maguire robił wszystko, żeby go zburzyć.

- Niespecjalnie - odparła ze złością. - Zachowaj swoje opinie dla siebie. Ale bardzo nie lubię złośliwości i zastanawiam się cały czas, dlaczego uparłeś się docinać mi na każdym kroku.

- Po pierwsze na tym polega mój wdzięk osobisty - stwierdził z niezmaconą pogodą w głosie.

- Po drugie moim zachowaniem rządzi zasada dynamiki trzecioklasisty.

Charlie nic nie rozumiała. Słyszała o trzeciej zasadzie dynamiki, uczyła się o niej w szkole, ale co to miało do rzeczy?

- Zasada dynamiki trzecioklasisty?

- Pamiętasz tego okropnego chłopaka, który w trzeciej klasie siedział za tobą i maczał ci końce warkoczy w kałamarnicy?

- Nigdy nie nosiłam warkoczy, a w szkołach od wieków nie używa się atramentu. Zresztą nie chodziłam do szkoły, miałam prywatnych nauczycieli

- skłamała. Skoro ma być damą... - Nie wiem, o czym mówisz.

- Prywatnych nauczycieli? Fiu, fiu, wiodłaś naprawdę komfortowe życie.

- Absolutnie cudowne - zgodziła się. - Zechcesz mi wyjaśnić, o co ci chodzi?

- Nie.

Maguire w jednym się mylił, pomyślała, torując sobie drogę do pierwszej niszy. Powiedział, że każdy, kto zetknął się z Pompasse'em, już przez to samo miał wystarczający powód, żeby go zabić. Nigdy, ale to nigdy w życiu nie przejawiała cienia morderczych instynktów. Nigdy, do momentu, kiedy na jej drodze stanął Connor Maguire.

Na szczęście przez następną godzinę niewiele się odzywał. Odrzucał gruz i śmieci, przepatrując systematycznie wszystkie zakamarki krypty. Dawno temu Pompasse, wielki smakosz, trzymał tu wino, ale teraz po jego piwniczce nie pozostał choćby ślad. Podobnie jak po obrazach.

- Tu ich nie ma - stwierdziła w końcu Charlie.

- Pewnie nigdy ich nie było.

- A tam co jest? - Maguire wskazał na stertę drewna i kamieni.

- Z pewnością nic. Odkąd sięgam pamięcią, ta przyzma piętrzyła się jak teraz. Nie sposób dostać się za nią. Obrazy muszą być gdzie indziej.

- To po diabła od godziny morduję się,

odwalając ten cholerny gruz? - mruknął Maguire zrzędlwym głosem.

- Żeby się upewnić. To duże płótna. Nie mogły zniknąć niezauważone. Gdyby przyjechała po nie ciężarówka, ktoś musiałby ją widzieć. Jeśli nie zostały wywiezione, tylko wyniesione, kościółek sam się nasuwał jako miejsce przechowania.

- Gdzie teraz będziemy szukać? Ja stawiałbym na madame Antonellę. Przy jej sfiksowaniu nie zauważyłaby nic, nawet gdyby ktoś ustawił obrazy koło jej łóżka. Kto wie, może nawet sama wyniosła je z willi.

- To stara kobieta, Maguire. Ma prawie osiemdziesiąt lat.

- Ale jest silna jak wół, a przynajmniej na taką wygląda. Jak się domyślam, Pompasse lubił duże, mocne kobiety, prawda?

- Owszem. - Charlie tym razem zignorowała zaczepkę. - Idziemy - zakomenderowała. - Zajrzę po drodze do madame Antonelli, i tak zamierzałam ją odwiedzić.

- Pójdę z tobą.

- Nie. Wyglądasz, jakbyś wytarzał się w mące,

a madame Antonella jest osobą wymagającą i bardzo zasadniczą. Tak utyłtany dżentelmen nie powinien jej składać wizyty.

- Cholera, powinna się cieszyć, że w ogóle jakiś mężczyzna chce ją odwiedzić. Poza tym,

umiłowanie ty moje, wcale nie jestem dżentelmenem. Chyba zdążyłaś już to zauważyć.

- Owszem - powiedziała sucho.

Znowu znaleźli się w zalanej słońcem nawie.

Maguire wyglądał doprawdy paradnie, białe włosy, białe ubranie, jak młynarz po dniu ciężkiej pracy. Charlie zerknęła na własne ubranie. Musiała prezentować się niewiele lepiej.

- Idziesz? - zapytał, kiedy stanął już po drugiej stronie kładki.

Spojrzała na ogromną, mroczną wyrwę w posadzce i wzięła głęboki oddech.

- Daj mi chwilę czasu.

- Im dłużej będziesz się zastanawiała, tym trudniej będzie ci przejść. - Maguire wrócił na kładkę i wyciągnął rękę. - No, śmiało.

Nie wiedziała, czego bardziej powinna się lękać: czeluści otwierającej się pod stopami czy wyciągniętej ręki Maguire'a.

- Musi być jakieś inne przejście... - zaczęła.

- Przestań jęczeć i rusz się wreszcie, albo cię przeniosę.

Groźba poskutkowała. Niemal przeskoczyła przez kładkę. I wpadła w ramiona Maguire'a.

Tym razem nie wypuścił jej z objęć.

Pocałował ją. A ona wiedziała, że tak się właśnie stanie.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Nigdy by nie przypuszczała, że pocałunek może mieć taki piorunujący efekt. Ale też nigdy nie pozwoliłaby komuś takiemu jak Maguire pocałować się, gdyby mogła tego uniknąć. Nie mogła.

Objął ją wpół, przygarnął do siebie, drugą rękę położył jej na karku i całował.

Stała jak sparaliżowana, pochwycona w potrzask, niezdolna wykonać najmniejszego ruchu.

Miała wrażenie, że nadal ma pod stopami czarną czeluść, która zaraz ją pochłonie.

Maguire nie spieszył się, całował długo, sumiennie, niczym beznamiętny badacz dziewiczych terytoriów. Kiedy wreszcie uwolnił Charlie ze swoich objęć, trudno było się dopatrzeć na jego twarzy śladu jakichkolwiek emocji.

- Wielkiego doświadczenia, jeśli idzie o facetów, to ty nie masz - zawyrokował.

Natarła na niego niczym gracz w rugby i uderzyła z całych sił w żołądek. Jęknął zaskoczony nagłym atakiem, zachwiał się, potem jak długi rozciągnął na posadzce. Przeskoczyła nad nim i wybiegła z kościoła.

Biegając, tarła usta, ale nie mogła zetrzeć smaku tamtego pocałunku. Dlaczego, u licha, ją pocałował? Przecież nawet jej nie lubił. Gardziła nim. Dlaczego przyciągnął ją do siebie i... Biegła, nie przystając, nie zatrzymując się, do domku madame Antonelli, byle dalej, gdzie bezpieczne schronienie. Na tarasie opadła na metalowe krzesło.

Jest śmieszna. Zachowuje się jak rozhisteryzowana dziewczica, tylko dlatego, że Maguire'owi w chwili umysłowego zamroczenia strzeliło do głowy ją pocałować. A przecież tysiące razy całowało ją tysiące mężczyzn...

No, niezupełnie. Zanim poznała Pompasse'a, było kilku chłopców, jakieś niezdarne, nieudane próby. Pompasse nigdy nie pocałował jej w usta, nawet w dniu ślubu. Uważał, że to niehigieniczne i nie potrafił zrozumieć, co ludzie widzą w pocałunkach. Henry lubił ją przytulać, całował z zamkniętymi ustami i jego pocałunki były serdeczne, krótkie. W niczym nie przypominały zwierzęcej chuci, którą zademonstrował Maguire. Nie, poprawiła się w myślach. Jaka zwierzęca

chuć? Co jej chodzi po głowie? Po prostu pocałunek. Nie ma nad czym desperować. Jeszcze jeden zamierzony krok, żeby wyprowadzić ją z równowagi. Nie mogła zrozumieć, dlaczego tak zależało mu na tym, żeby bezustannie ją irytować. Dynamika trzecioklasisty, tak to dziwacznie określił. Na czym polega „dynamika trzecioklasisty”, który macza warkocze koleżanki w kałamarnicy? Czyżby chodziło o pierwsze, szczeniackie zaloty? Czyżby chodziło o flirt? Jeśli tak Maguire rozumiał flirt, to należało mu szczerze współczuć.

Tylko że tu nie chodziło o flirt. Niemożliwe. Nie dopuściłaby do tego. Zawsze chłodna i uprzejma, ukryta w swoim pancerzu, doskonale opanowana i wyniosła, potrafiła trzymać niepożądanych mężczyzn na dystans.

Prawdę mówiąc, wszyscy byli niepożądani. Kobiety, niestety, też.

Wychowana... no tak, mogła tak powiedzieć, że została w swoisty sposób wychowana w niekonwencjonalnym domu Pompasse'a, dlatego też nie miała żadnych uprzedzeń dla różnych preferencji seksualnych. Wcale nie uważała, że tak

zwany normalny człowiek koniecznie powinien być heteroseksualny. O ile prostsze byłoby jej życie, gdyby potrafiła zakochać się w kobiecie. Ludzie zaakceptowałyby jej wybór i dali święty spokój.

Zwykle zostawiali ją w spokoju. Ale nie Maguire. Był niczym paskudna, swędząca, dokuczliwa wysypka. Ciągle nie mogła pojąć, dlaczego wciąż się jej czepiał.

- Co tu robisz?

Charlie podniosła głowę i zobaczyła imponującą sylwetkę madame Antonelli. Wysoka, mocno zbudowana, pomimo zaawansowanego wieku trzymała się prosto i poruszała bardzo żwawo. Tylko stetryczały umysł odmawiał posłuszeństwa.

- Dzień dobry, madame - powiedziała Charlie uprzejmie, próbując podnieść się z fotela. Madame Antonella oczekiwała od innych kurtuazji należnej jej wiekowi i pozycji, a Pompasse z bezwzględną surowością wymagał, by domownicy odnosili się do starej damy z szacunkiem. Charlie zawsze respektowała jego polecenia.

Tym razem nie udało się, bo Antonella pchnęła ją z powrotem na fotel z taką siłą, że metalowe nogi zazgrzytały po płytach tarasu.

- Dziwka - przywitała gościa niewybrednym epitetem. - Zdaje ci się, że możesz rozkładać nogi dla każdego i że ujdzie ci to płazem, kiedy nawet nie... - Rzuciła obelgi w gardłowej francuszczyźnie, tak że Charlie ledwie mogła ją zrozumieć.

- Antonella...? Madame... - wymamrotała Charlie. - Czym panią obraziłam...?

Pchnięty z ogromną siłą metalowy fotel znalazł

się tuż przy niskim murku okalającym taras.

Zaraz za nim była stroma skarpa. Dopiero teraz Charlie zdała sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie mogło jej grozić.

Jeszcze jedno takie pchnięcie sfiksowanej Antonelli i razem z fotelem wyląduje na skałach poniżej tarasu.

- Szmata! Wywłoka! - Antonella z całych sił zacisnęła palce na ramionach Charlie.

- Madame! - z ogrodu, niczym wybawienie, doszło wołanie Lauretty. Antonella stropiła się niczym dziecko przyłapanie na zabawie zapałkami. Opuściła dłonie i obejrzała się.

- Trzeba ją ukarać - oznajmiła płaczącym głosem, jakby tłumaczyła się przed Laurettą.

- Przecież Charlie nie zrobiła nic złego i nie ma potrzeby jej karać, madame - powiedziała Lauretta stanowczo.

- Charlie? - zdziwiła się Antonella i odwróciła

gwałtownie. – To jest Charlie?

Charlie była tak zaszokowana, że dopiero po dłuższej chwili wstała z fotela i przezornie usunęła się poza zasięg starej damy, machinalnie rozcierając obolałe ramiona. Antonella wystraszyła ją nie na żarty.

– Tak, madame, Charlie to ja. Mam nadzieję, że mnie pani pamięta.

Antonella wpatrywała się w nią przez chwilę z za grubych szkieł, wreszcie skinęła głową.

– Ożenił się z tobą – stwierdziła takim tonem, jakby nie wierzyła do końca we własne słowa.

– Nigdy już nie ożenił się z żadną inną.

– On umarł, madame – powiedziała Laretta łagodnie. – Wieczne odpoczywanie racz mu dać, Panie, a światłość...

– A co z nami? – W głosie Antonelli zabrzmiała gorycz. Przechyliwszy głowę, przyglądała się Charlie. – Więc ty jesteś Charlie? Jakie to dziwne. Myślałam, że nie żyjesz... – Nie dokończyła zdania.

Charlie lekko zakręciło się głowie.

– Myślała pani, że nie żyję? – powtórzyła.

Madame Antonella nie odpowiedziała, tylko odwróciła się i weszła do domu, nucąc coś fałszywie pod nosem.

– Przepraszam, Charlie – powiedziała Laretta.

– Nic ci nie jest? Jak Antonella coś sobie ubrda w swojej biednej głowie, to nijak nie można przemówić jej do rozumu. Wciąż trzeba na nią uważać. Widać pomyślała, że chcesz zrobić jej krzywdę. Wzięła cię za kogoś innego.

– Może – zgodziła się Charlie, nie przestając rozcierać ramion. Prawdę mówiąc, najchętniej ucałowałaby starą wariatkę, bo atak Antonelli pozwolił jej zapomnieć o dotyku Maguire'a.

Przynajmniej na jakiś czas.

Spojrzała na niski murek tarasu.

– Czy to dla niej bezpieczne miejsce? Nie

zdawałam sobie sprawy, że tutaj jest tak stromo.

Nie byłoby lepiej, żeby przeniosła się do willi?

– Nigdy się nie przeniesie. Pompasse próbował, to się zabarykadowała w swoim domku i powiedziała, że nie wyjdzie. Aż musiał zagrozić, że odda ją do przytułku, jak się nie uspokoi.

– I uspokoiła się?

Laretta wzruszyła ramionami.

– A bo to ona była kiedy spokojna? Z każdym rokiem coraz gorsza. Pompasse wreszcie machnął ręką. Powiedział, że jak stara chce spaść i się zabić, niech się zabija, nam nic do tego. Jej życie, jej śmierć, kiedy się uparła. Kiedy czuje się za

słaba, żeby usiąść do stołu w willi, przynoszę tu jedzenie. Pomagam się jej kąpać, kiedy mi pozwoli. Jak trzeba, to wozimy ją z Tomaszem do kościoła i do lekarza, no i tak sobie żyje w swoim domku, co w nim już tyle lat przemieszkała. Charlie raz jeszcze spojrzała na stromiznę.

- Dreszcz mnie przechodzi, kiedy sobie pomyślę, że mogłaby tam leżeć połamana, bezradna...
- Zaglądamy do niej każdego dnia po kilka razy, więc nie leżałaby długo bez pomocy. A jakby ją miała spotkać nagła śmierć od nieszczęśliwego upadku, to widać tak już zostało zapisane. To stara kobieta. Jest czas na życie i czas na umieranie. Jedno z drugim idzie. Wy, Amerykanie, nie potraficie tego zrozumieć.

W głosie Lauretty nie było przygany, a jednak jej słowa zaskoczyły Charlie. Nie przywykła myśleć o sobie jako o Amerykance, chociaż tam się urodziła i spędziła ostatnich pięć lat. Olivia nie przekazała jej poczucia zakorzenienia, Pompassse z kolei uważał się za obywatela świata i ponadczasowego artystę, dlatego nie utożsamiał się z żadnym krajem czy narodem, a nawet z epoką. Widocznie Charlie podświadomie przejęła sporo z postawy matki i męża.

A jednak ukochała ten skrawek toskańskiej ziemi bardziej niż jakiegokolwiek miejsce w ogromnej Ameryce, przytulnego nowojorskiego mieszkania i restauracji nie wyłączając.

Pomimo wszystko, inaczej niż przed laty, nie czuła się tu jak u siebie.

Ścieżką w kierunku domku szedł Maguire. Nie miała ochoty znowu się z nim kłócić.

Niestety na ucieczkę było za późno. Gdyby próbowała teraz odejść, dogoniłby ją. Niech i tak będzie. Im prędzej spojrzy mu w twarz, tym lepiej. Pokaże mu, że jego pocałunek ani trochę jej nie poruszył. Obecność Lauretty gwarantowała bezpieczeństwo, chociaż Charlie nie potrafiła zrozumieć, dlaczego gospodyni uśmiecha się tak promiennie do Maguire'a.

Usiadła na powrót w metalowym fotelu, odsunawszy go najpierw od murku, i czekała na tego

eksperta od ubezpieczeń i pocałunków. Nie spieszył się, szedł powoli, spacerowym krokiem.

- Teraz już wszystko rozumiem - powitała go Lauretta w dość zagadkowy sposób.

- Co mianowicie, *bella?* - zapytał, wchodząc na taras. Nie spojrzał nawet na Charlie. Jeszcze jedna gierka Maguire'a, pomyślała z irytacją. Był tak samo świadom jej obecności jak ona jego.

Boże, niechby już wyjechał z La Colombali!

- Dlaczego signora Charlie przyszła tu cała w kurzu. Oboje wyglądacie, jakbyście się turlali w gipsie. Byliście w starym kościele?

- Szukaliśmy zaginionych obrazów, ale nic nie znaleźliśmy, nawet najmniejszego śladu - powiedział Maguire z uśmiechem. - Na pewno nie wiesz, co Pompasse z nimi zrobił, Lauretto?

- Toż powtarzam panu, signore Maguire, że nie mam pojęcia, gdzie się podziały. Aristide Pompasse przed nikim się nie opowiadał ze swoich postępów, a ja go nie wypytywałam.

Spojrzał wreszcie na Charlie ze zwodniczo ugodowym wyrazem twarzy.

- A ty może już rozejrzałaś się po domu starej czarownicy?

Odwzajemniła mu się najbardziej niewzruszoną miną, na jaką było ją stać. Jeśli chciał udawać, że nic się nie stało, że nie pocałował jej w starym kościele, bardzo proszę, ona też może przejść nad tym do porządku i uznać dziwny incydent za

niebyły. No i postara się, żeby podobna sytuacja więcej się nie powtórzyła.

Jeśliby chciał powtórki, ma się rozumieć. Ale czy tak było? Nie mogła go zrozumieć, ale miała ważniejsze sprawy na głowie niż śledzenie meandrów myślowych australijskiego dzikusa.

- Myślicie, że znajdziecie obrazy u madame?

- zapytała Lauretta. - Widać żeście u niej nigdy nie byli. Pokoje to ma tak pozastawiane, że ruszyć się nie ma jak. Wiadomo, jacy są starzy ludzie.

Nie zdołałaby wetknąć obrazów między te swoje graciska, choćby nie wiem jak chciała.

- Lauretta ma rację - przyświadczyła Charlie.

- Już zapomniałam, jak Antonella lubi chomikować stare, nikomu niepotrzebne rzeczy.

- To znaczy, że nie złożymy jej wizyty?

- mruknął wyraźnie rozczarowany Maguire.

- Przed chwilą omal nie zepchnęła mnie z tarasu.

Wzięła mnie za kogoś innego - powiedziała Charlie skwaszonym tonem. - Idź do niej, szukaj, jeśli ci życie nie miłe. Ja mam dość emocji na dzisiaj. - Potarła obolałe ramię.

- Miałaś ciężki dzień, skarbie? Coś cię może zdenerwowało? - zapytał Maguire niewinnie.

Spojrzała na niego i jakaś klapka otworzyła się jej w głowie. Nie pocałował jej dlatego, że miał na to ochotę. Nie powodowała nim żądza ani namiętność, czy choćby zauroczenie. Chciał jej znowu

dokuczyć i uznał, że pocałunek będzie najskuteczniejszym sposobem.

- Szczur w kościele - poinformowała go

i zwróciła się do Lauretty: – Pan Maguire dzisiaj wyjeżdża. Gdyby potrzebował pomocy przy pakowaniu...

– Nie sądzę, kochanie – przerwał jej w pół słowa.

– Nie będę dłużej znosić twoich...

– Owszem, będziesz.

– Jeśli madame usłyszy, że się kłócicie, znowu wpadnie w złość, a ja będę musiała ją uspokajać.

Idźcie gdzie indziej prowadzić sprzeczki

– rzuciła Lauretta stanowczym głosem.

– Nigdzie z nim nie pójdę. – Brakowało tylko, żeby Charlie tupnęła nogą.

– Ja natomiast zamierzam sprawdzić, czy stara nie ma u siebie zaginionych obrazów.

– Wróćcie razem do willi i wyjaśnicie sobie, jakie tam macie do siebie pretensje. Nie pozbędziesz się go tak szybko, Charlie. Niech skończy,

co zaczął, niech wyceni majątek i będzie

koniec. A pan, signore Maguire, niech zostawi

Charlie w spokoju. Dopiero co straciła męża.

Trzeba mieć trochę współczucia dla...

– Rzuciła Pompasse'a dawno temu, chociaż

zapomniała się z nim rozwieść – przerwał Laurettcie Maguire. – Jakoś nie wydaje mi się, żeby

specjalnie rozpaczała z powodu jego śmierci.

– Dość tego! – oznajmiła Lauretta z wyniosłością, na którą nie zdobyłaby się sama madame Antonella. – Wracajcie do willi i przestańcie skakać sobie do oczu. Zachowujcie się jak dorośli ludzie.

Charlie otworzyła usta, żeby zaprotestować, i zaraz je zamknęła. Zaczerwieniła się. Lauretta miała rację, zachowywała się jak kilkunastoletnia smarkuła: dąsy, fochy, przycinki. Mogła winić Maguire'a o różne rzeczy, ale za swoje reakcje sama ponosiła odpowiedzialność. Od tej chwili nie da się sprowokować.

– Masz rację, mamó Lauretto. – Zwróciła się do niej tak, jak kiedyś, przed laty, to robiła. – Już nie będę, ale pan Maguire musi przenieść się do innego pokoju. Oczekujemy gości.

– Proszę się nie martwić, pani Pompasse – powiedział z kpina w głosie. Miała ochotę porządnie

go trzepnąć. – Jestem już spakowany. Ulokuję się w pracowni. Tomaso znalazł jakieś stare łóżko.

Będzie mi wygodnie.

– Nie – rzuciła krótko.

– Tak. Nie pozbędziesz się mnie, dziecinko.

Wyjadę, kiedy skończę swoją robotę, nie wcześniej.

Charlie spojrzała na Laurettę, szukając u niej pomocy, ale gospodyni nie zamierzała włączać

się w sprzeczkę. Może Henry znajdzie sposób na pozbycie się natręta, ale nie miała pojęcia, kiedy

narzeczony się pojawi. Na pewno przed sobotnią ceremonią, ale kiedy dokładnie, tego nikt nie wiedział.

- Świetnie - warknęła. - Tymczasem nie wchodź mi w drogę. Nie chcę cię widzieć na oczy.

- Signora Pompasse! - zawołała Lauretta zaszokowana manierami Charlie.

Ona sama też była zaszokowana. Chyba nigdy w swym życiu nie zachowała się wobec nikogo równie nieprzyjemnie, ale też nikt nie budził w niej takiej wrogości. Niestety Maguire zdawał się posiadać wyjątkowy dar wytrącania ludzi z równowagi. No cóż, pomyślała z rezygnacją, w końcu ja też jestem tylko człowiekiem.

- Postaram się, skarbie. Jeśli tylko znajdę obrazy, natychmiast zniknę ci z oczu. Mówiłem już, że ci nie ufam. Jeśli znajdziesz je sama, kto wie, czy nie zapomnisz powiedzieć mi o tym. To stary, dobry sposób na uniknięcie płacenia podatku fiskusowi.

- A ja mówiłam, Maguire, że uwolnienie się od twojej osoby więcej dla mnie znaczy niż kilka milionów dolarów, które mogłabym dostać za obrazy - powiedziała zmęczonym głosem.

- Pochlebcy. To jak, wędzemy się siłą do domku madame Antonelli, czy też poczekamy na lepszą okazję?

- Lepiej poczekajcie - poradziła Lauretta.

- Jutro madame idzie do spowiedzi i wtedy

spokojnie wejdziecie do domku. Chyba że sami zechcecie oczyścić swoje dusze z grzechów.

- Musiałbym spowiadać się kilka godzin, żeby wyznać wszystkie swoje występki dobremu Bogu, *bella*. Wolę już pozostać w stanie grzechu. Natomiast jeśli chodzi o Charlie, to wątpię, czy miałaby co księdzu wyszeptać do ucha.

- Nie doceniasz myśli, jakie ogarniają mnie na twój widok, Maguire - zauważyła chłodno.

- Aż tak cię kręcę? Panuj nad sobą, dziecinko. Mamy ważniejsze sprawy na głowie niż problemy z naszym libido.

Zdumiewająca bezczelność. Nic sobie nie robił ani z niej, ani z obecności Lauretty.

- Zaraz coś ci zrobię - zagroziła.

- Nic mi nie zrobisz. Wracajmy do domu i...

- Nigdzie z tobą nie pójdę.

- Będę trzymał ręce przy sobie. Obiecuję.

- Uniósł dłonie w geście poddania. Te same dłonie, które jej dotykały.

- Idź, Charlie - zachęciła ją Lauretta, kompletnie nieświadoma, jak niebezpieczny potrafi być Maguire. - Signore przypilnuje, żebyś się nie potknęła. Pan tylko tak gada, prawda, signore? Ze

wszystkimi flirtuje, ale nie ma nic złego na myśli.

Nie zwracaj na niego uwagi.

- Staram się - mruknęła.

Maguire, ten urodzony dżentelmen, ruszył już ścieżką, nie oglądając się nawet, czy Charlie idzie

za nim. Zamierzała zostać na tarasie i poczekać, aż Maguire zniknie z pola widzenia, ale madame Antonella tłukła się po domku, pomstując pod nosem w jakiejś przedziwnej mieszance włoskiego i francuskiego. Lada chwila mogła znowu wtargnąć na taras i Bóg jeden wie, za kogo tym razem wzięłaby Charlie.

- Idź za nim - ponaglała ją Lauretta. - Ja

zajmę się madame, ale idź już, proszę.

Nie miała wyboru. Ruszyła za Maguire'em wąską ścieżką.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Jedno jest pewne, myślał Maguire, schodząc w dół ku willi. Charlie Thomas zdecydowanie nie lubi się całować.

A może wyjaśnienie jej zachowania było znacznie prostsze, niż sądził, bardziej prozaiczne?

Może po prostu nie lubiła jego? Nawet jeśli nie lubiła, specjalnie się tym nie przejął.

Wszystko jedno.

Jasne, że go nie lubi. To pewne. Zrobił wszystko, żeby zaleźć jej za skórę, ciągle usiłował wyprowadzić ją z równowagi. Nie znał skuteczniejszego sposobu wydobycia informacji z kogoś, kto tak bardzo ma się na baczności jak Charlie. Delikatna gra, prawdziwa ekwilibrystyka. Być na tyle impertynentem, żeby zmusić tę chłodną kobietę do żywej reakcji, ale nie przesadzić, bo wtedy wyrzuci go z domu. Powinien uważać, czasami ugryźć się w język, bo

balansował na linie. Dzisiaj przeszarżował i o mały włos nie spadł.

Szła za nim, słyszał chrzęst żwiru pod jej stopami. Nie zamierzał zwalniać, a ona nie próbowała go dogonić. Posuwali się, jedno za drugim, z boczem wzgórza w stronę willi. Miał ochotę nagle się odwrócić, i wtedy Charlie musiałaby wpaść na niego, ale szybko zrezygnował z głupiego psikusa. Miała już dosyć na dzisiaj.

Nie, nie lubiła go, i nie przepadała za pocałunkami.

A jednak bardzo ją zaintrygował. Maguire nie miał w sobie fałszywej skromności i potrafił dojrzeć tę fascynację, choć nie wiedział, skąd się ona brała. Nie chodziło o zwykły pociąg seksualny, zresztą wątpli, czy Charlie w ogóle wiedziała,

co to takiego. Nawet jeśli skosztowała już tego owocu, zamierzała spożywać go tylko ze swoim narzeczonym.

A może przejrzała Maguire'a?

Może domyślała się, że ma do czynienia z kłamcą i oszustem, i że żaden z niego urzędnik od ubezpieczeń. Nie zadawała pytań, przyjmowała jego wyjaśnienia za dobrą monetę. Jeśli miała jakieś wątpliwości co do jego osoby, wystarczyło, żeby wykonała kilka telefonów, po czym mogłaby go najspokojniej w świecie wykopać z La Colombali. Komedia nie mogła trwać w nieskończoność. Dość, żeby obudził swoim postępowaniem cień podejrzania i jego tajna misja skończy

się z hukiem. O ile wiedział, nie próbowała go sprawdzać. Na razie.

Rano rozmawiał z Gregorym. Szef zapewniał, że pies z kulawą nogą dotąd nie zainteresował się, gdzie się podziewa niejaki Connor Maguire. Może powinien być pojawić się w willi pod fałszywym nazwiskiem? Być może byłoby to bezpieczniejsze rozwiązanie, ale chciał ograniczyć swoje kłamstwa do koniecznego minimum. Gdyby jednak Charlie zainteresowała się bliżej dziwnym konsultantem, nazwisko Maguire'a, jedno z wielu nazwisk cudzoziemców pracujących we Włoszech, zamiast do wielkiej i nudnej korporacji ubezpieczeniowej, zaprowadziłoby ją prosto do redakcji „Starlight”.

Poza ustawicznymi naleganiami Gregory'ego nic nie wskazywało na to, że powinien się spieszyć. Miał jeszcze kilka dni czasu. Pomimo że szef domagał się informacji, Maguire nic mu nie przekazywał. Dawno już zrozumiał, że ten, kto ma informacje, ma władzę, i że nikomu nie można ufać. Gregory dowie się wszystkiego we właściwym czasie, ani o minutę wcześniej.

Dopiero teraz zaczynał dochodzić do wniosku, że jednak nie powinien był całować Charlie, choć miał na to ochotę od momentu, gdy zobaczył ją po raz pierwszy. Niech to, miał ochotę na znacznie więcej niż pocałunek. Zobaczył, jak obsypana pyłem drży w panice, i nie mógł się oprzeć.

Przeszarżował. Stała w jego objęciach zimna niczym Królowa Śniegu. Wiedział doskonale, że Charlie tak właśnie zareaguje. Kiedy dotknął wargami jej ust, usłyszał, jak strwożone serce zaczyna tłuc się w piersi dwa razy szybciej. Powinien był wtedy zostawić ją w spokoju, ale pokusa okazała się silniejsza. Co prawda dość mgliście, niemniej zdawał sobie sprawę, że jest zbyt przerażona, by wykonać najmniejszy choćby

ruch. Stała tak, zagubiona i nieszczęśliwa, niczym człowiek porażony nagłym paraliżem.

Był świadomy jej reakcji, doskonale je wyczuwał, ale zupełnie ich nie rozumiał.

Czego się bała, na litość boską? Była przecież żoną notorycznego uwodziciela. Stary satyr mógł mieć, i miał, najpiękniejsze kobiety na świecie.

Zdobywał każdą, jeśli taki miał akurat kaprys, łącznie z Charlie. A ona miała narzeczonego.

Musiała przecież z nim sypiać.

Może Maguire był dla niej zbyt grubo ciosany.

W niczym nie przypominał Pompasse'a, bo stary miał w sobie staroświecką elegancję lowelasa, zaś on...

Jeśli zdołał choć trochę poznać Charlie, narzeczonego też musiał być wysoce wyrafinowanym dżentelmenem, a tu nagle rzuca się na nią jakiś australijski prostak, który...

Który co?

Który miał zamiar wydostać na światło dzienne

wszystkie brudy dotyczące jej małżeństwa, jej zmarłego męża, wreszcie jej samej, jeśli to miałyby sprawić, że książka będzie się lepiej sprzedawać.

Który chciał się z nią przespać, który gotów był przespać się z każdą kobietą w willi, byle tylko zdobyć potrzebne informacje. Który gotów był bez żadnych skrupułów wydać ją w ręce włoskiej policji, gdyby tylko się okazało, że to właśnie ona zabiła Pompasse'a.

Nie wyobrażał sobie Charlie w roli czarnego anioła śmierci. Za bardzo się pilnowała, za bardzo na każdym kroku kontrolowała siebie. W takich ludziach nie odzywa się instynkt mordercy. Była ostatnią osobą, którą skłonny był podejrzewać. Kiedy Pompasse zginął, ona zapewne wraz z szefem kuchni przygotowywała w swojej nowojorskiej restauracji menu na następny dzień. Gdyby nawet na chwilę przyleciała do Florencji, żeby wykończyć starego, zostałby jakiś ślad jej przyjazdu do Włoch. Takie rzeczy łatwo sprawdzić.

Jeden telefon i Maguire miałby w ręku niezbitą dowód. Nie, to byłoby zbyt wielkie ryzyko dla osoby planującej zbrodnię. Poza tym, o ile wiedział, a trochę wiedział z zebranych dotąd materiałów, Charlie nie miała żadnych motywów.

Kto zatem zabił Pompasse'a?

To, że policja nie znalazła nic podejrzanego, nie miało większego znaczenia. Właśnie z takich historii rodzą się bestsellery. Jeśli uprze się, by

przedstawić śmierć starego jako morderstwo, Gregory będzie się domagał, by Maguire wskazał mu głównego podejrzanego, czy też raczej główną

podejrzaną. To zrozumiałe. Tymczasem on ciągle nie potrafił się zdecydować, kogo najchętniej wyznaczyłby do tej roli.

Charlie była najbardziej interesującą kandydatką, ale z łatwością mogła dowieść swojej niewinności.

Powinien zachować resztki tak zwanej etyki dziennikarskiej. Gdyby oskarżył ją, nie dysponując żadnymi dowodami, przestałby być wiarygodny. Oczywiście nie musiałby wskazywać na nią wprost, wystarczyłyby aluzje, insynuacje, żeby wprawić w podniecenie czytelników tandetnej niby-literatury z pseudoambicjami.

Bez trudu mógłby zniszczyć jej życie.

Obejrzał się. Szła ze spuszczoną głową, spoglądając w skupieniu pod nogi. Musiała poczuć jego spojrzenie na sobie, bo zatrzymała się i podniosła wzrok.

Nie, najwyraźniej nie była zadowolona z jego towarzystwa. Jeśli jej oczy już wcześniej wydawały mu się chłodne, teraz przypominały dwie grudki lodu.

- To był tylko pocałunek, skarbie - powiedział, swoim zwyczajem przeciągając słowa
- tymczasem ty zachowujesz się tak, jakbym rzucił się z młotem na Pietę.

- Nie będę rozmawiała na ten temat.

- Nie próbuję, broń Boże, porównywać cię z rzeźbą Michała Anioła. Owszem, można uznać, że jesteś ładna i tak dalej, ale nie jesteś dziełem sztuki, tylko kobietą. A właśnie, jakie to uczucie mieć portret wart milion dolarów? Nie kręci ci się od tego w głowie?

Posłała mu zimne spojrzenie.

- Nie bądź idiotą, Maguire. Wartość obrazu nie jest moją zasługą, bo wszystko zawdzięcza mistrzostwu Pompassé'a. Może nie był najmilszym z ludzi, ale na pewno był jednym z największych współczesnych artystów.

- Pewnie tak. Dlaczego jednak obrazy, do których pozowałaś, są cenniejsze od pozostałych? I dlaczego właśnie one zniknęły? Aż tak go inspirowałaś? To, co namalował po twoim odejściu, to kupa gówna, dobrze o tym wiesz. Nie czujesz wyrzutów sumienia?

Bingo.

Dotknął czułego miejsca. Z jakichś niezrozumiałych powodów talent Pompassé'a usprawiedliwiał w jej oczach najdziksze brewerie starego.

Kiedy go stracił, pozostał samolubny, zdegenerowany starzec.

- Jakoś nie - powiedziała po chwili. - Przestał malować na kilka lat przed moim odejściem.

- Jeśli nie liczyć ostatniego obrazu. Tak zwanego

arcydzieła wśród innych jego dzieł.

Zaśmiała się głucho.

- Masz na myśli „Po odejściu Charlie”? Pompassé jak nikt potrafił manipulować mediami.

Tak, to był ostatni mój portret, ale został namalowany dwa lata przed naszym rozstaniem. Akurat wtedy pojawiła się Gia. Pierwotny tytuł brzmiał „Charlie zagniewana”, a nowy pojawił się później, dla publiki. Nie, nie czuję wyrzutów sumienia. Miał ochotę pocałować ją za tę smakowitą informację, ale czuł, że dużo mądrzej będzie zachować dystans.

- Odeszłaś, bo byłaś zazdrosna? Bo ktoś inny zajął twoje miejsce?

- Odeszłam, bo nie byłam mu już potrzebna.

- Jesteś taka łatwa? Wystarczy, żeby ktoś cię potrzebował, i już należysz do niego, a kiedy się tobą znudzi, odchodzisz? - Maguire nie krył zdumienia.

- Kochałam.

Milczał przez chwilę. Kochać? Egzotyczne pojęcie. Nie wiedział, co to miłość. Pożądanie, czułość, owszem, ale nie taka miłość, którą miała na myśli Charlie. Miłość wymagająca poświęcenia.

- A więc kochałaś go?

- Wyszłam za niego, prawda?

- Skarbie, ludzie pobierają się z najróżniejszych powodów, ale wątpię, by miłość była jednym

z nich. Miałaś osiemnaście lat i głowę nabitą romantycznymi marzeniami. Chcesz mi powiedzieć, że stary był twoim ideałem?

- Kiedy miałam osiemnaście lat, od roku byłam już żoną Pompassé'a. Nie chciałam nikogo innego.

- Surogat ojca, tak? Co się stało z tatusem?

- Ojciec zginął w katastrofie lotniczej. Byłam jeszcze dzieckiem, kiedy się to stało, i nie miałam żadnych traumatycznych przeżyć, jeśli to właśnie próbujesz sugerować. Widziałam go wszystkiego kilka razy w życiu. Olivia dość często zmieniała mężczyzn.

- To była twoja matka?

- Nadal jest. - W głosie Charlie nie było słyhać szczególnego entuzjazmu. - Będiesz miał okazję ją poznać. Moglibyśmy wrócić do domu? Nie wiem, dlaczego tak cię interesuje moje życie. Co to ma wspólnego ze spuścizną po Pompassé? Szukasz jego obrazów, zapomniałeś?

- Na których jesteś ty - odparował.

- Pompassé często mnie malował, natomiast zniknęły tylko trzy portrety. Żeby je odnaleźć, nie musisz wypytywać o moje dzieciństwo. Zbyt

ciebie to interesuje, dziękuję bardzo. Przyhamuj, jeśli łaska. Ruszysz się, czy mam cię obejść? Ścieżka była wąska i mijając go, Charlie musiałyby się o niego otrzeć. Nęcąca myśl, Maguire postanowił jednak okazać wielkoduszność.

- Oczywiście, że się ruszę, skarbie. Kto pierwszy będzie w domu, ten pierwszy wskakuje pod prysznic.

- Nie mamy już wspólnej łazienki. Jeśli upierasz się, żeby spać w pracowni, pokażę ci, gdzie jest prysznic. Pompasse często malował nago, a potem brał natrysk.

- Nie zależało mi na tej wiadomości.

- Dlaczego? Przecież chciwie zbierasz wszelkie informacje na temat jego życia. Masz wrażliwość rodem z brukowców, Maguire. Wcale bym się nie dziwiła, że to z nich czerpiesz całą swoją wiedzę o świecie.

Nawet nie wiedziała, jak niebezpiecznie bliska była prawdy.

- Nie czytam gazet, kochanie, tym bardziej brukowców. Nie mam na to czasu.

- Przestań tak się do mnie zwracać! - zjeżyła się. - Jakoś masz czas, żeby tkwić w La Colombali i grać mi na nerwach.

- To kwestia priorytetów - stwierdził, szczerząc zęby w uśmiechu.

Zabije go, zżymała się Charlie, zostawiwszy Maguire'a w pustej pracowni. Tomaso przytargał skądś wielkie łóżko, złożył je i ustawił na środku pomieszczenia. Okna były szeroko otwarte, kurz zniknął, pojawił się nawet bukiet polnych kwiatów ustawiony na stoliku przy łóżku. Taki sam,

jak w jej pokoju. Lauretta przyniosła zniszczoną torbę podróżną Maguire'a, a w maleńkiej łazience powiesiła czyste ręczniki. Charlie przezornie uciekła, zanim ten dziwny facet zdążył do końca wyprowadzić ją z równowagi.

Nie powinna być zdziwiona jego obrzydliwym wścibstwem. Cały świat fascynował się Pompasse'em, a on z pietyzmem kultywował swoją reputację oryginała. Kiedy Charlie zamieszkała już w Nowym Jorku, nie było miesiąca, żeby nie natrafiła w prasie na jakiś artykuł na temat Wielkiego Artysty i równie wielkiego ekscentryka.

Ludzie, dowiadując się, z kim rozmawiają, zasypywali ją gradem pytań. Jak to jest być żoną wybitnego człowieka? Jak znosiła jego legendarne podboje miłosne? I najgorsze pytanie ze wszystkich: dlaczego właściwie wyszła za niego za mąż? Akurat na to ostatnie nigdy nie potrafiła odpowiedzieć, bo sama nie była pewna, dlaczego...

Szybko nauczyła się nie ujawniać swojej przeszłości. Chciała, by widziano w niej wyłącznie niejaką Charlie Thomas, właścicielkę „La Chance”. Tak było prościej i łatwiej.

Jak się rzekło, chorobliwa ciekawość Maguire’a nie powinna jej dziwić. Temu grubo ociosanemu Australijczykowi nie przychodziło do głowy, że są po prostu pytania, których się nie zadaje, tematy, których się nie porusza. Był natrętny,

prostacki, ale w jego wścibstwie nie było nic niezwykłego czy podejrzanego.

A jednak Charlie czuła, że coś jest nie tak. Koniecznie musiała wziąć prysznic, przedtem zajrzała jednak do gabinetu. Laptop Maguire’a stał ciągle na biurku. Usiadła w fotelu i podniosła wieko z monitorem.

Na ekranie harcowały nadal postacie z kreskówek. Zwariowany, absurdalny wygaszacz zupełnie nie w stylu Maguire’a. Charlie zrestartowała komputer w nadziei, że to coś pomoże, ale, jak poprzednio, pojawiło się żądanie hasła. Jęknęła zawiedziona.

Wystukała „Maguire”. Oczywiście zbyt proste.

Jak on miał na imię? Connor, tak? Próbowała różnych możliwości, wymyślała rozmaite słowa, ale w okienku dialogowym ciągle wyświetlał się komunikat: „wpisane hasło nie jest poprawne”. Szkoda, że zamiast uczyć się obsługi komputera, poprzestawała na układaniu pasjansów, pomyślała smętnie. Może była jakaś sztuczka pozwalająca ominąć hasło? Nie wiedziała. Musiała jednak znaleźć jakiś sposób, by dotrzeć do tajemnicy ukrytej w laptopie pana Connora Maguire’a.

Dzisiaj się jej nie uda, to pewne. Była brudna, zmęczona i potwornie głodna. Wykąpie się teraz i naje. Może za następnym podejściem będzie miała więcej szczęścia, a może uda się jej podejrzeć Maguire’a przy pracy? Ktoś mógłby go

wywołać z gabinetu, wtedy miałyby okazję spojrzeć na ekran. Tylko kogo poprosić o pomoc?

Nie mogła zaufać nikomu z mieszkańców willi.

Z rozkoszą weszła pod prysznic. Jej pokój był wreszcie pusty. Maguire nie będzie już plątał się po łazience, pomyślała z ulgą. Zużyje tyle gorącej wody, ile będzie chciała.

Pomimo różnych udogodnień, które wprowadził Pompasse, z ciepłą wodą zawsze były kłopoty.

Nikomu nie wolno było się kąpać, kiedy

Lauretta robiła pranie albo myła naczynia. Dzisiaj Charlie mogła wykorzystać cały zapas. Nie zamierzała zostawiać choćby kropli dla Maguire’a.

Szyby w łazience pokryły się parą. Kiedy

wyszła z marmurowego brodzika, szeroko otworzyła okna. Nie było jednak już tak ciepło jak dzień, dwa dni wcześniej. W powietrzu czuło się pierwszy jesienny chłód, zapach jesieni. Charlie przeszedł nieprzyjemny dreszcz. Owinęła się ręcznikiem, otworzyła drzwi do dawnej sypialni Pompasse'a... i zobaczyła Gię. Siedziała po turecku na łóżku, zajęta przeszukiwaniem torebki Charlie. Podniosła wzrok, ale nie przerwała swoich eksploracji. Całe łóżko zastane było rzeczami należącymi do Charlie: bielizna, kosmetyczka, nawet biżuteria, wszystko to leżało na białej kapie.

- Co ty wyprawiasz? - Charlie mogła być dumna ze swojego opanowania, bowiem w jej głosie nie sposób było doszukać się choćby śladu rozsadzającej ją wściekłości.

Gia wzruszyła ramionami.

- Potwornie się nudziłam. Chciałam zobaczyć, jaka obowiązuje teraz moda w Ameryce, ale nie znalazłam nic ciekawego. Ty zawsze nosisz to samo. Pompasse miał rację, nie lubisz ubierać się dla mężczyzn, prawda?

Charlie usiłowała się uspokoić. Ostrożnie wciągnęła powietrze. Musiała uważać, żeby ręcznik nie zsunął się na ziemię. Tego tylko brakowało, żeby stanęła przed Gią naga.

Zapomniała już, jak nieprawdopodobnie bezczelna potrafi być ta dziewczyna. W czasach kiedy jeszcze obydwie mieszkały w La Colombali, Gia pożyczła sobie bez pytania jej suknie, biżuterię, używała jej perfum i uśmiechała się wyzywająco, jakby zachęcała Charlie do awantury. Ta jednak nigdy nie odpowiadała na zaczepki Gii. Zbyt dobrze wiedziała, że Pompasse tylko na to czekał. Uwielbiał być świadkiem awantur wszczynanych przez jego kobiety.

Lecz Pompasse już nie żył, a Gia miała na palcu jej pierścionek z żółtym brylantem. Proszę, niech się nim nacieszy, pomyślała Charlie. Niech nosi nawet ten z perłą, prezent od Henry'ego.

Ale nie prostą srebrną obrączkę, która należała kiedyś do ojca Charlie.

Przytrzymując ręcznik na piersi, podeszła do łóżka, wyszarpnęła torebkę z dłoni Gii i odrzuciła ją w kąt pokoju. Wyciągnęła rękę.

- Oddaj to.

Jej głos brzmiał spokojnie. Głupia kobieta nie zdawałaby sobie pewnie sprawy, że Charlie trzęsie się z wściekłości, ale Gia nie należała do głupich. Popatrzyła na przeciwniczkę z namysłem,

jakby zastanawiała się, czy nie wdać się w bijatykę. Charlie, wyższa od niej i silniejsza, była co prawda owinięta utrudniającym ruchy ręcznikiem, ale tak wściekła, że w każdej mogła go odrzucić.

Gia wzruszyła leniwie ramionami, zdjęła pierścionki i położyła je na otwartej dłoni Charlie.

- Nigdy ci nie przeszkadzało, że noszę twoje rzeczy - mruknęła.

- Przeszkadzało, ale nic nie mówiłam. Wyjdź stąd, z łaski swojej. Chciałabym się ubrać.

Gia oparła głowę o spiętrzone poduszki.

- Jesteśmy same. Od kiedy stałaś się taka pruderyjna? Pół świata widziało twoje nagie ciało, ja też. Pompasse lubił, kiedy pływałyśmy nago w basenie, zapomniałaś już? Nie pozwalał nam nakładać kostiumów. Mnie nie musisz się wstydić.

- Stanowilibyście świetną parę z Maguire'em

- sarknęła Charlie. Podeszła do komody, rzuciła ręcznik i z szuflady wyjęła bawełniane figi.

- Dlaczego tak mówisz? - zapytała Gia rozleniwionym głosem. - Prawda, jest trochę szorstki, ale to może być nawet... miłe, jeśli człowiek jest w odpowiednim nastroju.

- W takim razie zajmij się nim. Masz moje błogosławieństwo - powiedziała Charlie, wkładając czyste dżinsy.

- Kiedy zaczęłaś nosić majtki? Pompasse...

- Wiem. Pompasse nie chciał, żebym nosiła majtki, pływała w kostiumie kąpielowym, spała w koszuli nocnej, chociaż ciągle kupował mi bieliznę. Pompasse nie chciał, żebym oddychała i odzywała się bez jego zgody. Zostawiłam go. Nic już mi nie mógł dyktować.

Gia miała taką minę, jakby dostała w twarz.

- Nie dość go kochałaś...

- Chciałam być wolna. Ty nie?

- Nigdy. - Najwyraźniej przerażała ją sama myśl o wolności.

- I twoje życzenie się spełniło - powiedziała Charlie, sięgając po sweter.

- Utyłaś - stwierdziła Gia.

Charlie wzruszyła ramionami.

- Może według kryteriów Pompasse'a, ale mnie one już nie obowiązują.

Gia z rozpaczliwą desperacją szukała odpowiednio ciętej riposty.

- Maguire też uważa, że jesteś gruba - powiedziała w końcu.

Charlie popełniła błąd, parsknęła bowiem ironicznym śmiechem.

- Nie obchodzi mnie, co uważa Maguire.

Powiedziałam ci, możesz się nim zająć.

- Nie możesz mi go dawać czy nie dawać. On nie chce ciebie, chce mnie...

- Wspaniale. Może wreszcie zostawi mnie w spokoju. - Ledwie to powiedziała, zdała sobie sprawę, że popełniła kolejny błąd.

Gia rzucała się na wszystko, co w jakiś sposób wiązało się z Charlie. Chciała mieć jej Pompasse'a, chciała nosić jej ubrania, jej biżuterię, zająć jej sypialnię. I ściągać na siebie uwagę każdego mężczyzny, który pojawiał się na horyzoncie.

Informacja, że Maguire zainteresował się, co prawda na swój szczególny sposób, Charlie, oznaczała, że jego los został przypieczętowany.

Co ją to obchodzi, że Gia uczepli się Maguire'a? Powinna ją jeszcze do tego zachęcać. Jedno było warte drugiego. Stanowiliby dobraną parę, a ona miałaby wreszcie święty spokój.

Gia przeciągnęła się i z kocim wdziękiem podniosła się z łóżka.

- To miło, że się zgadzasz. Pójdę go poszukać.

- Cieszę się, że nie popadasz w przesadną żalobę! - zawołała za nią, gdy wychodziła.

Tani, wulgarny przycinek, ale Charlie, zwykle

tak opanowana, straciła zimną krew. Zbyt wiele się zdarzyło jak na jeden dzień i musiała się na kimś wyładować.

Na nieszczęście zrobiła to aż nazbyt skutecznie.

Gia znieruchomiła w progu, zbladła, a w wielkich, migdałowych oczach pojawiły się łzy.

- Nie chciałam tego powiedzieć... - zmieszała się Charlie. Postąpiła krok w stronę dziewczyny, ale Gia odwróciła się na pięcie i wybiegła.

Charlie sama miała ochotę się rozplakać.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Maguire nie był szczególnie zachwycony, kiedy po wyjściu spod prysznic zobaczył w swoim pokoju Gię Schiavone ubraną w kuse szorty i równie kusy top.

Była śliczna ową nieco surową śródziemnomorską urodą, i pewnie w innej sytuacji nie oparłby się pokusie, ale teraz, nie wiedzieć czemu, całą jego uwagę pochłaniała Charlie.

Gia odgarnęła gęste, lśniące włosy i posłała mu promienny uśmiech.

- Cześć - zamruczała przymilnie.

Bąknął coś w odpowiedzi. W pierwszej chwili chciał ją wyprosić, ale powstrzymał się. Od momentu kiedy pojawił się w willi, Gia ostentacyjnie go omijała, czym specjalnie się nie przejmował.

Teraz dopiero przyszło mu do głowy, że dziewczyna musi wiedzieć znacznie więcej o ostatnich miesiącach życia Pompasse'a niż Charlie. Byłby

skończonym głupcem, gdyby nie skorzystał z okazji i nie spróbował wyciągnąć cennych informacji.

Uśmiechnął się do siebie, usiadł na łóżku i sięgnął po buty.

- Czemu zawdzięczam ten zaszczyt? - zapytał z przekąsem.

- Pomyślałam, że powinniśmy się lepiej poznać

- odpowiedziała Gia. - Byłam dla ciebie trochę niemiła, ale to dla mnie smutny czas.

Straciłam miłość swojego życia.

- Masz na myśli Pompasse'a? - Maguire jakoś nie mógł uwierzyć w smutek Gii.

- Oczywiście, że Pompasse'a - prychnęła dziewczyna poirytowanym tonem. - Uwielbiałam go, podziwiałam, ofiarowałam mu swoją młodość...

- Skarbie, ile ty masz lat? Dziewiętnaście?

Dwadzieścia? Młodość jeszcze nie przeminęła, możesz mi wierzyć.

- Dwadzieścia cztery.

- Ciągłe jesteś dzieciakiem - orzekł Maguire.

- Nie przejmuj się, jeśli byłaś trochę niemiła, jak twierdzisz, ale nie zauważyłem tego. Mam tu ważną robotę do wykonania, zapomniałaś? Niezbyt dobry początek, powiedzieć dziewczynie, że jej nie zauważała. Gia uśmiechnęła się z przymusem, ale nie zamierzała się wycofywać ani tym bardziej okazywać urazy.

- Jak ci się pracuje? Masz jakieś przypuszczenia, gdzie mogą być obrazy?

- Nie natrafiłem na żaden ślad. A ty domyślasz się, gdzie mogły się podziać?

- Ja? Niby skąd mogłabym wiedzieć? - Zrobiła przesadnie niewinną minę.

- Byłaś tutaj, kiedy zniknęły. W przeciwieństwie do reszty domowników nie jesteś ani zgrzybiałą staruchą, jak madame Antonella, ani nie musisz pracować całymi dniami na swoje utrzymanie, jak Lauretta i Tomaso. W każdym razie podług powszechnie przyjętych kryteriów to, co robisz, czy też raczej robiłaś, trudno raczej uznać za pracę.

Znowu źle, pomyślał Maguire, klnąc w duchu swój niewyparzony język, ale do Gii albo nie dotarł przytyk, albo wolała go puścić mimo uszu.

- O czymś nie wiesz. Studiuję na uniwersytecie

- oświadczyła z godnością. - Piszę pracę magisterską, przygotowuję się do obrony dyplomu.

- Co studiujesz? Smak artystyczny?
- Historię sztuki.
- Bardzo interesujące - mruknął Maguire.
- Rozumiem, że spędzasz wiele czasu we Florencji.
Staremu pewnie bardzo cię brakowało.
- To prawda - przytaknęła skwapliwie.
- Wzeszłym roku nawet wzięłam urlop dziekański,
bo Pompasse mnie potrzebował.
Jasne, pomyślał Maguire z drwiną.

- Musi być przyjemnie mieszkać tak blisko
Florencji. Z jednej strony wiejska sielanka, z drugiej
uroki wielkiego miasta.

- Mam dość mieszkania na wsi - powiedziała
Gia, patrząc Maguire'owi w oczy. - Mam dość
Włoch. Chcę podróżować.

- Być może twoje życzenia wkrótce się spełnią,
oczywiście pod warunkiem, że stary pomyślał
o tobie i zapisał ci przyzwoitą sumę. Życzę ci
ładnego spadku. Podróże kosztują.

- Jeśli podróżuje się z kimś, to niekoniecznie.

- Podeszła powoli do łóżka. Dopiero teraz zauważył,
że jest boso.

Miała kształtne stopy. Niestety ładne stopy nie
działały na Maguire'a. Ani one, ani obrotne
pannice, gorączkowo kombinujące, jak by tu się
wyrwać w szeroki świat.

Zaczął się śmiać.

- Skarbie, mnie na ciebie nie stać.

Gia zatrzymała się i zrobiła urażoną minę.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Doskonale wiesz, co chcę powiedzieć. Pompasse
kopnął w kalendarz i szukasz nowego
tatusia, a pech chce, że jestem jedynym facetem
w zasięgu ręki. Możesz trafić lepiej. Ja jestem dla
ciebie za biedny i za stary.

- Lubię starszych mężczyzn. Pompasse był
dwa razy starszy od ciebie. - Usiadła na łóżku
obok Maguire'a, wciąż próbując go oczarować.

- Znajdź sobie kogoś, kogo oślepi twoja uroda
i młodość. Ja jestem zbyt wielkim cynikiem.
Czytam w twojej sprytniej główce jak w książce.
Uwodzicielska poza zniknęła jak za naciśnięciem
guzika. Gia wydeła usta niczym obrażone
dziecko, ale w tym naburmuszeniu, choć infantylna,
była przynajmniej bardziej szczerą.

- Muszę mieć kogoś, kto będzie się mną
opiekował.

- Dlaczego nie wrócisz do swojej rodziny?

- Wolałabym umrzeć - stwierdziła krótko.

- Nie lubisz mnie? Nie podobam ci się? Nie
chcesz iść ze mną do łóżka?

- Ależ lubię cię. Jesteś zachwycająca. Nie,

nie chcę iść z tobą do łóżka. – Maguire zastanawiał się, czy jest szlachetny, głupi, wybredny, czy też cierpi na wszystkie trzy przypadłości naraz. Niecodziennie zdarzało się, żeby piękne kobiety proponowały seks poranionemu na frontach całego świata, zgorzkniałemu weteranowi. Zwariował chyba, skoro odrzucał taką propozycję, zważywszy, ile ciekawych rzeczy mogłaby mu opowiedzieć Gia, gdyby umiejętnie ją podprowadził. Sęk w tym, że nie miał ochoty. Nie na nią.

– Coś ci powiem – dodał z czystej złośliwości.
– Lada dzień pojawi się tu narzeczony Charlie. Jest bogatym prawnikiem i mieszka w Nowym Jorku. Spróbuj, może z nim będziesz miała więcej

szczęścia. W końcu Pompassse lubił was obie. Może się okazać, że facet ma podobny gust. Poza tym odnoszę wrażenie, że chętnie wsadziłabyś szpilę Charlie. Nie myłę się, prawda?

Nie mylił się. Gii zabłyśły oczy.

– Już mi powiedziała, że mogę sobie wziąć ciebie. Z jej błogosławieństwem.

– Tak? Mnie nie można „sobie wziąć”. Poza tym to żadna satysfakcja, jeśli jest jej wszystko jedno, ale bogaty narzeczony to zupełnie coś innego. Zastanowi się dwa razy, zanim ci go odda. Ja nie śmierdę groszem, skarbie, a tobie potrzebny jest ktoś, kto zapewni ci styl. Założę się, że narzeczony Charlie to facet w sam raz dla ciebie.

Gia wstała uszczęśliwiona jak dziecko.

– Nieźle główkujesz, Maguire – powiedziała z aprobatą. – Nie doceniałam cię.

– A ja ciebie tak, kochanie.

Gia już tego nie słyszała. Wyszła, zostawiając za sobą otwarte drzwi.

Maguire wyciągnął się na skotłowanym przez Gię łóżku, oparł mokrą jeszcze głowę na poduszce i zaczął nucić pod nosem. Straszny był z niego sukinsyn, ale nie czuł z tego powodu wyrzutów sumienia. Jeśli Charlie Thomas znalazła prawdziwą miłość w ramionach swojego prawnika, mała poszukiwaczka złota nie będzie miała u niego najmniejszej szansy.

Jeśli natomiast w raję źle się dzieje, warto

posłać tam Gię w charakterze węża i trochę namieszać.

A może to on jest wężem, a Gia zakazanym owocem?

Niepotrzebnie traci czas, wynajdując biblijne odniesienia. Błyskotliwe pomysły powinien zachować do książki. Gregory nie będzie czekał w nieskończoność. Już się pieni, że Maguire za

rzadko się do niego odzywa i o niczym nie informuje. Żąda fotografii, domaga się tekstu. Chce mieć to wszystko na wczoraj, lecz Maguire nie miał zamiaru zajmować linii telefonicznej, żeby przesyłać emailem zdjęcia mieszkańców willi. Gregory musi uzbroić się w cierpliwość. Musi przenieść laptop do studia i tu urządzić sobie miejsce pracy. W gabinecie Pompasse'a, gdzie każdy mógł wejść, nie było bezpiecznie. Każde hasło w komputerze można złamać lub obejść i wtedy ktoś mógłby zajrzeć do skandalizujących materiałów. Charlie aż świerzbiło, żeby zobaczyć, co Maguire pisze. Reszta domowników zapewne była równie ciekawska. Codziennie na wszelki wypadek zmieniał hasło. Charlie co prawda nie sprawiała wrażenia osoby, która zna się na komputerach, ale nigdy nic nie wiadomo, bo pozory mogą mylić. Już od progu gabinetu widać było białe odciski palców. Laptop co prawda był zamknięty, ale kobieca dłoń zostawiła na nim wyraźne ślady.

Charlie tak bardzo się spieszyła, by zajrzeć do chronionych hasłem plików, że nawet nie umyła rąk.

Maguire usiadł za biurkiem i otworzył komputer. Wiedział, że Charlie nie zdołała złamać hasła. Gdyby się jej udało, jego już by tu nie było, jeżeli uszedłby żywy.

Dałby sobie głowę uciąć, że Pompasse'a zamordował ktoś z domowników i że morderca, odkrywszy, o czym Maguire pisze, nie zawahałby się zabić raz jeszcze. Powinien więc uważać.

Nie przypuszczał, by groziło mu niebezpieczeństwo ze strony Charlie. Nawet gdyby bardzo chciała usunąć go z tego świata, nie potrafiłaby go dotknąć. Chyba że ma pistolet...

Gia przeciwnie, z całym spokojem zgładziłaby go własnymi rękoma.

Lauretta, wielka i silna, z łatwością mogła skręcić kark staremu. Tomaso? Nie, ten nie miał żadnego powodu, by zabijać. Stara, sklerotyczna dama w ogóle nie wchodziła w rachubę. Diabli wiedzą, kto jeszcze mógł chować w sercu urazy. W każdym razie powinien mieć się na baczności. Nie miał ochoty obudzić się z nożem w plecach i zaraz potem zasnąć snem wiecznym.

Charlie nie zamierzała na krok ruszyć się z pokoju. Doskonale zdawała sobie sprawę, że to najzwyczajniejsze w świecie tchórzostwo, ale ten

jeden raz mogła sobie na to pozwolić. Poza tym dawna sypialnia Pompasse'a była jedynym miejscem w całej La Colombali, które tak bardzo się

zmieniło, że nie budziło żadnych wspomnień: białe ściany, wąskie łóżko przykryte białą narzutą. Jedyny kolorowy akcent stanowił widok rozpościerający się za oknami.

Wyciągnęła się na łóżku. Na zmianę drzemała i marzyła na jawie, usiłując za wszelką cenę nie dopuszczać do świadomości myśli, które mogłyby zburzyć jej spokój. W wyobraźni przygotowywała nowe dania, układała przepisy, mieszała coś drewnianą łyżką w wielkim miedzianym garnku, dodawała przyprawy i niemal czuła zapach przyrządzanego jedzenia. Potem zabrała się do nakrywania stołu. Długo wybierała serwetę i zastawę, wreszcie, zadowolona i odprężona, usiadła za stołem ustawionym w zalanym słońcem ogrodzie. Wtedy naprzeciwko zasiadł Maguire.

Poderwała się, klnąc pod nosem. Idylliczna wizja prysła, pozostały tylko najzupełniej realne zapachy. To Laretta podawała lunch na tarasie. Burczenie w żołądku uświadomiło Charlie, że od rana, poza kawą, nie miała nic ustach.

Podeszła do okna. Na tarasie nie było nikogo, zostały tylko na wpół opróżnione półmiski. Gdyby teraz zeszła, mogłaby coś zjeść, nie narażając się na spotkanie z Gią, madame Antonellą, ciekawską Larettą, no i z Maguire'em.

Zbiegła na pusty taras. Nałożyła sobie trochę bruschetty, trochę pasty, napełniła kieliszek winem z ledwo napoczętej butelki. Chianti okazało się wyjątkowo szlachetne w smaku. Wmawiała sobie, że wypije je z przyjemnością, niemniej zabiłaby za puszkę coli light.

Kilka łyków wina trochę rozluźniło napięte nerwy równie skutecznie jak kubek herbaty ziołowej. Rozsiadła się w fotelu, rozkoszowała rozległym widokiem doliny, wsłuchiwała w szelest poruszanych lekkim wiatrem liści w gaju oliwnym. Powinna zainteresować się, gdzie podziła się reszta domowników, ale nie chciała zaprzętać sobie tym głowy. Woląa cieszyć się spokojem. Nie pozwolił jej.

Kiedy stanął za jej plecami, nie odwróciła się, chociaż dobrze czuła jego obecność, ciepło ciała, zapach mydła. Miała nadzieję, że pójdzie sobie, nie doczekawszy się żadnej reakcji. Siedziała bez ruchu, modląc się, żeby zniknął.

- Przez ostatnich pięć lat widok chyba niewiele się zmienił - zagadnął Maguire. Mówił niskim, lekko ochrypłym od papierosów głosem. Ciągle się nie odwracała, ale nie mogła go już zignorować.

- Pewnie nie zmienił się przez ostatnich pięćset lat - wycedziła. - Woląabym podziwiać go w samotności. Zabieraj się stąd, Maguire.

Zamiast odejść, przysunął sobie krzesło i usiadł na nim okrakiem.

- Nie znudziło ci się ciągle mnie przeganiać?

- A tobie nie znudziło się pojawiać tam, gdzie nikt na ciebie nie czeka? - odpowiedziała pytaniem, nie patrząc na Maguire'a.

- Chyba chcesz załatwić sprawy związane ze spadkiem, prawda?

- Tak.

- Więc przynajmniej przez kilka najbliższych dni będziesz musiała znosić moją obecność. Co by to pomogło, gdybym zaczął cię przeproszać? Gdybym wyznał, że ogarnięty namiętnością, poruszony twoją rzadką urodą, straciłem na moment panowanie nad sobą i pocałowałem cię?

Charlie skupiła całą uwagę na zbliżającym się do La Colombali samochodzie. Wciąż nie zaszczyciła Maguire'a choćby jednym spojrzeniem.

- Może nie będziesz już wracał do tego tematu

- powiedziała sucho.

- Żebyś mogła udawać, że nic się nie stało. Co może być złego w niewinnym pocałunku, Charlie? Wreszcie odwróciła głowę.

- Mnóstwo. Po pierwsze nie lubię cię. Po drugie jestem zaręczona. Po trzecie nie lubię cię. Po czwarte przyjechałeś tu pracować, a nie flirtować. Po piąte nie lubię cię. Po szóste jestem w żałobie. Po siódme...

- Wiem, nie lubisz mnie - dokończył rozleniwionym

głosem. - Za wszelką cenę usiłujesz mi to udowodnić.

Bawiła się kieliszkiem, usiłując ukryć zdenerwowanie. Kręciła nim tak energicznie, że odrobina wina wylała się i na obrusie rozkwitły czerwone plamy, niczym krople wsiąkającej w biały atłas krwi.

- Nie lubię cię - powtórzyła. Miała serdecznie dość tej rozmowy. - Nie możesz tego pojąć swoim ograniczonym umysłem? Nie lubię cię. Drażni mnie w tobie wszystko. Nie lubię, kiedy ktoś się mnie czepia, kpi ze mnie, usiłuje, pożałuj się Boże, flirtować. Nie lubię cię.

Ciągle miał jeszcze wilgotne włosy. Po prysznicu przebrał się w spodnie khaki i dżinsową koszulę, strój zbyt swobodny jak na gust Charlie.

Nie ogolił się, a ciemny zarost wyglądał, jej zdaniem, bardzo pretensjonalnie. Wpatrywał się w nią chłodnym wzrokiem, taksował, oceniał.

Zadowolony z siebie, nonszalancki, nie myślał o tym, że Charlie może czuć się nieswojo. Miała ochotę dać mu w twarz.

- Przekonaj mnie - zachęcił.

Zbierało się jej na płacz ze złości. Jej, która nie uroniła jednej łzy od chwili, kiedy dowiedziała się o śmierci Pompasse'a.

Chciała wstać od stołu, ale chwycił ją za nadgarstek, nie pozwalając odejść. Był bardzo silny.

- Trzymaj ręce przy sobie - powiedziała lodowatym tonem.

- Najpierw powiedz mi, dlaczego tak cię interesuje mój laptop. Rano zostawiłaś na nim całą kolekcję swoich odcisków palców.

- Chciałam zobaczyć, co napisałeś na temat dochodzenia.

- Mogłaś zapytać.

- Nie ufam ci. Puścisz mnie wreszcie?

- Nie, Charlie. - Ospały głos Maguire'a przyprawił ją o dreszcz. Pocierał kciukiem jej nadgarstek, musiał czuć pod palcami przyspieszone tętno. - Puszczę cię, jeśli powiesz mi prawdę.

- To boli - syknęła, mimo że nie czuła bólu, tylko ciepły dotyk na lodowatej skórze. Po prostu przytrzymał jej rękę, to wszystko.

- Przepraszam.

Zanim zorientowała się, co zamierza, podniósł jej dłoń do ust i wycisnął na niej pocałunek.

Było to jak wstrząs elektryczny docierający prosto do serca. Oszołomiona, nawet się nie poruszyła. Spojrzał jej prosto w oczy.

- Wiem już, jak smakujesz - mruknął. - Może teraz ty spróbujesz, jaki smak ma moja skóra? Jak przez mgłę słyszała jakiś szum. Jak przez mgłę pomyślała, że to pewnie szumi jej w głowie. Czuła, jak bezwolnie, hipnotyzowana spojrzeniem zielonych oczu, nachyla się ku Maguire'owi.

- Boże, jak ja się stęskniłam za tym miejscem! Nie ma to jak Toskania. - Olivia zatrzymała się w drzwiach tarasu, dając siedzącym przy stole czas na chwilę podziwu, jak gdyby byli do podziwu zdolni i skłonni.

Charlie wyrwała dłoń z uścisku Maguire'a.

Mogła tylko dziękować Bogu, że całkowicie pochłonięta sobą matka nic nie zauważyła.

- Przyjechałaś wcześniej, niż myślałam - wykrztusiła.

- Nie cieszysz się, kochanie? Ucałuj matkę i przedstaw mi twojego zachwycającego młodzieńca

- zażądała Olivia protekcyjnym tonem.

- Nie jest mój - sprostowała Charlie, odsuwając się na wszelki wypadek od Maguire'a. Nie bardzo potrafiła powiedzieć, dlaczego tak się zachowuje. To, że pocałował ją dwa razy, nie oznaczało przecież, że rzuci się na nią przy świadku niczym owładnięty dziką żądzą potwór.

Kiedy podeszła do matki, uderzył ją w nozdrza zapach Joy ¹. Zawsze się dziwiła, dlaczego Olivia tak bardzo lubiła akurat te perfumy, skoro zupełnie do niej nie pasowały. Nigdy nie potrafiła się cieszyć życiem, wiecznie szukała jakiejś nieuchwytnej radości, której oczywiście nie znajdowała.

¹Joy (ang.) – radość, uciecha (przyp. tłum.)

Zanim Charlie zdążyła się cofnąć, Olivia chwyciła ją za rękę.

– Co ci się stało, kochanie? – wykrzyknęła, wpatrując się w nadgarstek córki spod przymrużonych powiek. – Sparzyłaś się?

Na nadgarstku widniał czerwony ślad, wilgotny jeszcze od warg Maguire'a. Charlie, nie myśląc, co robi, rzuciła mu wściekłe spojrzenie, lecz on spokojnie siedział okrakiem na krześle bardzo z siebie zadowolony.

Spojrzenie córki nie uszło uwagi Olivii.

– Ach tak... – westchnęła. – Powinnaś wiedzieć, że Henry też przyjechał. Chcesz się przywitać z narzeczoną?

Uciec jak najprędzej, pomyślała Charlie z rozpaczą.

– Oczywiście – przytaknęła i w jednej sekundzie zniknęła w głębi domu.

Zdążyła jeszcze usłyszeć chłodny głos Olivii.

– A teraz powiedz mi, młody człowieku, kim jesteś i co zrobiłeś mojej oziębłej córce?

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Maguire nadal siedział okrakiem na krześle. Stojąca przed nim kobieta była prawdziwą pięknoscią: twarz bez jednej zmarszczki, gęste, doskonale ułożone włosy, idealna figura. Swój wygląd trzydziestokilkulatki zawdzięczała z pewnością mistrzowskiej robocie chirurga.

– Pani naprawdę jest matką Charlie? – rzucił niby od niechcenia. – A ja byłem święcie przekonany, że siostrą.

Pochlebstwo okazało się skuteczne.

– Nie pieprz, synu – zbeształa go wprawdzie Olivia, ale nie potrafiła ukryć pełnego satysfakcji uśmiechu. – Mam czterdzieści trzy lata i bardzo mi z tym dobrze. Nigdy nie ukrywałam swojego wieku, tym bardziej teraz.

Charlie miała trzydzieści lat, co oznaczałoby, że ta pieczołowicie zakonserwowana kobieta nadzwyczaj młodo została matką, ale nie chciało

196
mu się wytykać rażącego błędu arytmetycznego.

Podniósł się i wyciągnął rękę.

– Connor Maguire. Konsultant ubezpieczeniowy. Wyceniam spuściznę po zmarłym, a dokładniej

mówiąc, usiłuję sporządzić listę jego dzieł.

Podniosła na niego wzrok. Znacznie niższa od córki, zachowywała się jak mała, bezbronna kobietka.

Maguire'owi ta maniera wydawała się wyjątkowo irytująca. Świetnie wyczuwał, że ma do czynienia z osobą twardą jak stal. Była przeciwieństwem córki, która pod maską chłodnej pewności ukrywała autentyczną kruchość.

- Olivia Thomas. - Wsunęła wypielegnowaną dłoń do jego wielkiej łapy.

O ręce też zadbała, pomyślał z podziwem.

Potrafił niemal bezbłędnie określić wiek kobiety po szyi i dłoniach. Olivia na szyi miała jedwabną apaszkę, a gładkie, zadbane dłonie nic nie mówiły o dacie urodzenia.

- Thomas ? - zdziwił się Maguire. - Charlie mówiła, że miała pani tuzin mężów.

- Siedmiu. - W jej głosie zabrzmiał twardy ton, który zdawał się potwierdzać pierwsze wrażenie Maguire'a. - Łatwiej posługiwać mi się własnym nazwiskiem. Poza tym w tej chwili akurat nie mam męża. Jestem do wzięcia. Nadal trzymała jego dłoń. Miał ochotę parsknąć

śmiechem. Już druga kobieta tego dnia czyniła mu awanse i obie robiły to w przekonaniu, że interesuje się nim Charlie. Tymczasem Charlie najchętniej utopiłaby go w głębokiej studni. Najchętniej poinformowałaby o tym Olivie, ale szybko zrezygnował. Musiał myśleć o zadaniu, które sprowadziło go do Willi. Jeśli Gia i Olivia chciały z nim flirtować, proszę bardzo, wykorzysta ich zapał do własnych celów. Nie rozumiał, dlaczego się zawahał. I dlaczego ostudził zapały Gii.

- Co wyprawiasz z moją córką? - siadając w fotelu, Olivia wróciła do nurtującej ją kwestii. - Poza tym, że zrobiłeś jej znak na rękę. Bardzo wątpię, by biedaczce przydarzyło się kiedykolwiek coś podobnego.

- Aha. - Maguire wprowadził przytaknął, ale bez specjalnego przekonania.

- Myślisz, że żartuję? To znaczy, że nie znasz Charlie. Jest zimna jak lód. Diagnoza brzmi: poważne zaburzenie popędu seksualnego, a właściwie całkowita dysfunkcja seksualna, tak to się chyba nazywa, nie pamiętam dokładnie. Ma lekarza w Nowym Jorku, który próbuje ją z tego wyleczyć, na razie bez skutku. Osobiście uważam, że po prostu nie znalazła odpowiedniego mężczyzny, ale nie pytała mnie nigdy o opinię. Nie chce w ogóle rozmawiać na ten temat. Maguire słuchał zafascynowany.

- Nie dziwię się jej.

- Nie poznałeś jeszcze Henry'ego, młodzieńcze. Ja też się jej nie dziwię. Jest atrakcyjny, ale nie należy do tych, którzy potrafią rozpalić dziewczynę do białości. Ty przeciwnie, jesteś bardzo obiecującym samcem.

- Miałem na myśli coś innego. Nie dziwię się, że Charlie nie ma ochoty rozmawiać z panią na ten temat. Ma pani zwyczaj opowiadać każdej napotkanej przypadkiem osobie o życiu seksualnym swojej córki?

Olivia zaśmiała się.

- A ty masz mi to za złe! Jakie to rozkoszne.

Nie, nie opowiadam wszystkim dookoła o tym, że Charlie nie wie, co to jest libido. Tylko mężczyznom, którzy patrzą na nią takim wzrokiem jak ty.

Jak udało ci się zrobić jej znak na ręku? Wiem, że z nią nie spałeś, bo miałyby o wiele bardziej skruszoną minę.

- Gdybym przespał się z pani córką, z całą pewnością nie miałyby powodów do skruchy.

- Arogant, co? Całkiem nieźle. Podobają mi się aroganccy mężczyźni. - Położyła mu dłoń na ramieniu, a miała dłonie, które sprawiały wrażenie, że dużo potrafią. W przeciwieństwie do przerażonej Charlie Maguire nie peszył jej ani trochę. - Lubię skandalizować i lubię mówić wprost, co myślę. Trzymaj się z daleka od Charlie, panie Maguire. Moje dziecko uważa mnie za wiedźmę, ale jest mi bardzo drogie. Ma w tej

chwili dość problemów, więc nie komplikuj jej życia.

- Już taki ze mnie facet, że ciągle komplikuję innym życie. - Maguire cały czas mówił tym samym, rozleniwionym tonem.

- Zostaw Charlie w spokoju. Henry to idealny materiał na męża. Cierpliwy, kochający, oddany, do tego zamożny. Można na niego liczyć. Ona kogoś takiego potrzebuje. Potrafi się nią zaopiekować, nie stawia żadnych żądań. A ty co masz jej do zaoferowania?

- Błędzisz, paniusiu - prychnął Maguire.

- Przyjechałem tu, żeby odwalić swoją robotę i tyle. Nie interesuje mnie pani córka.

- Dlaczego w takim razie zrobiłeś jej znak na nadgarstku? - zapytała Olivia takim tonem, jakby miała do czynienia z kilkunastoletnim smarkaczem, chociaż następne słowa temu przeczyły.

- Jestem tylko trochę starsza od ciebie, ale znam życie. Nie ufam ci.

- Dobrze, powiem ci szczerze, chciałbym przelecieć twoją córkę. - Gdy Olivia przyjęła tę informację bez mrugnięcia okiem, ciągnął dalej: - To

całkiem naturalna reakcja, i pewnie wiesz o tym. Kiedy normalny, zdrowy facet spotyka Królową Śniegu, traktuje to jako poważne wyzwanie.

- Charlie jest dla ciebie wyzwaniem? Tylko tyle? I uważasz, że to wystarczający powód, żeby spieprzyć komuś życie?

- Nie zamierzam spieprzyć jej życia, droga pani. Nie sypiam z nią, tylko... trochę flirtuję. Nie robię nikomu krzywdy.

- Możesz. Możesz zrobić krzywdę Charlie.

- Co więc pani proponuje? Może mam się przespać z panią?

Olivia zaśmiała się.

- Nie, słoneczko. Jesteś dla mnie za stary. W przeciwieństwie do Charlie wolę młodych i bezmózgich.

- Henry ma mózg i swoje lata?

Olivia pokręciła głową.

- Chodź ze mną, poznam was. Zachowaj należną rewerencję, bo to człek godny.

„Rewerencja”, „człek godny”... Na Boga, kto tak mówi? Ale dobrze zrozumiał, co chciała mu przekazać. Niby podkpiwała z Henry’ego, niby mówiła, że to staromodny jegomość, ale zarazem ostrzegała. Maguire po prostu miał nie podskakiwać i tyle. Pani Thomas coraz bardziej go fascynowała. To dobrze zakonserwowane babsko miało wyjątkową słabość do swojej córki. Chyba że rozgrywała jakąś subtelną i skomplikowaną grę. Podniósł się z krzesła. Maniera słabej kobiety była tak samo zwodnicza jak niewzruszony spokój Charlie. Olivia miała siłę byka. Charlie była lepszą aktorką od matki, ale niewzruszony spokój znała co najwyżej z haseł różnych grup terapeutycznych.

Ruszył za Olivią do salonu, nie bardzo wiedząc, czego się spodziewać. Jednego tylko był pewny, a mianowicie tego, że nie spodoba mu się widok Charlie przytulonej do narzeczonego.

W ogóle przytulonej do kogokolwiek.

Niepotrzebnie się zżymał. Bardzo przyzwoicie siedzieli obok siebie na kanapie, tak zatopieni w cichej rozmowie, że nie zauważyli wejścia Olivii i Maguire’a.

- Proszę mi powiedzieć, że to nie Henry

- mruknął. - Wygląda jak jej dziadek.

- Czego się spodziewałaś? - odszepnęła Olivia.

- Ona chce bezpieczeństwa, nie seksu.

Charlie podniosła głowę. Widząc wlepiony w siebie wzrok Maguire’a, ostentacyjnie wzięła Henry’ego za rękę. Tyle w tym było naturalności co w gestach marionetki.

- Henry, mój drogi, pozwól, że przedstawię ci pana Maguire'a - powiedziała Olivia. - Pracuje w ubezpieczeniach. Przyjechał wycenić spuściznę Pompasse'a. A raczej to, co z niej zostało. Henry wstał. W istocie godny był z niego człek. Szczupły, prawie chudy, szlachetne rysy, ciemne włosy, doskonale skrojony garnitur, nienaganne maniery. Był wyższy od Maguire'a, co tego ostatniego nie wiedzieć czemu natychmiast zirytowało.

- Miło cię poznać, Maguire. Nie sądziłem, że Honore już kogoś przysłał. Mówił mi, że

najwcześniej za tydzień będą mogli zająć się wyceną.

Maguire nawet nie mrugnął.

- Chodzi o spuściznę po Pompasie. To zbyt ważna sprawa. Nie chcieliśmy zwlekać. - Kim u diabła jest Honore?

- To dobrze - powiedział Henry jakby w roztargnieniu, ale w jego oczach pojawiła się czujność.

- Jak się więc sprawy mają? Tyle mieliśmy sobie do powiedzenia, że nie zdążyłem jeszcze zapytać o to Charlie.

Ona też podniosła się z kanapy i stała teraz tuż obok narzeczonego. Henry objął ją czułym gestem i przyciągnął do siebie. Nie opierała się, chociaż Maguire dostrzegł w jej postawie sztywność, która umknęłaby zapewne uwagi kogoś innego.

- Posuwam się pomału do przodu - mruknął.

- Ciągle brakuje kilku obrazów, przepadły też notatki Pompasse'a.

- Brakuje kilku obrazów? - Henry zmarszczył czoło. - Jak to możliwe? Myślałem, że do tej pory już je odnaleźliście. Co na to Honore? Sądzi pan, że ktoś je ukradł?

- Nie skończyłem jeszcze poszukiwań.

- Należało zawiadomić policję. Ile te obrazy mogą być warte, pana zadaniem? Dwa miliony? Trzy? To byłaby ogromna strata.

- Nie wolno mi rozmawiać na ten temat.

- To śmieszne. Jestem narzeczoną Charlie i jej adwokatem. Reprezentuję jej interesy... Maguire spojrzał na znieruchomiałą Charlie. Olivia miała rację, znak na nadgarstku bił w oczy. I dziwnie podniecał Maguire'a.

- Nie mówmy teraz o interesach, Henry - odezwała się Charlie, odrywając wzrok od Maguire'a.

- Przyjechaliście przed chwilą i musicie być skonani. Odpocznijcie trochę, rozgośćcie się. Porozmawiamy później.

Henry miał taką minę, jakby zamierzał wdać

się w sprzeczkę, ale w końcu obdarzył Charlie ojcowskim uśmiechem. Brakowało tylko, żeby poklepał ją po głowie i powiedział: „grzeczna dziewczynka”.

- Masz rację, moja droga.

- Charlie ma zawsze rację - wtrąciła Olivia.

Stała w drzwiach oparta o framugę i uważnie obserwowała całą scenę. - Który pokój mi dałaś, kochanie? Ten, co zawsze? Chyba że zajmuje go któraś z ostatnich faworyt Pompasse'a...

- Twój pokój jest już przygotowany, Olivio.

Gia przeniosła się do mniejszej sypialni.

- Niepotrzebny zamęt, moja najdroższa dziewczyno.

Ja mogę spać razem z tobą. W końcu jesteśmy zaręczeni.

„Moja najdroższa dziewczyno...” Maguire’a omal nie skręciło ze śmiechu. Charlie miała taki wyraz twarzy, jakby wolała spać z wężem. Nie

rozumiał, dlaczego chce wyjść za tego człowieka, skoro sama myśl o jego dotyku wywołuje w niej żywiołowy wstręt.

- Nie ma takiej potrzeby. Wszystko zostało przygotowane na wasz przyjazd. Gia się przeniosła, Maguire śpi w pracowni, a ty zajmiesz moją dawną sypialnię.

Henry był na tyle dobrze wychowany, że udało mu się ukryć naburmuszenie.

- Jak sobie życzysz, kochanie. - Potem zwrócił się do Maguire: - Miło było pana poznać

- rzucił lekceważącym tonem.

- Wzajemnie - przeciągnął przez zęby Maguire i odprowadził wzrokiem narzeczonych.

Miał wrażenie, że Charlie robi wszystko, żeby uniknąć choćby przypadkowego kontaktu fizycznego z Henrym.

- Co za rozkoszna para, prawda? - zagruchała Olivia.

Maguire wzruszył ramionami.

- Tak, rozkoszna. Jeśli Charlie jest z nim szczęśliwa, nic mi do tego.

- Dziwne, bo wyglądasz na faceta, który nałogowo interesuje się cudzymi sprawami. I wcale nie uważasz, że są ze sobą szczęśliwi, czy tak?

- O co chodzi? Ma pani ochotę na Henry’ego?

Zdaje się, że Gia ostrzy już sobie pazurki, ale niech pani próbuje szczęścia.

- Gia i Henry? Bardzo intrygujące. Ciekawe,

skąd się zrodził podobny koncept w tej pustej główce? Nie, nie muszę nawet pytać. Jesteś niezwykle pomysłowy, młodzieńcze.

- Jestem tylko prostym Maguire’em - odpowiedział z wrodzoną skromnością.

Olivia uśmiechnęła się leniwie.

- Może się zrobić całkiem ciekawie. Oczekuję dobrej zabawy. Pochowajmy tylko starego capa.

- Nie lubiła pani Pompasse'a?

- Nie znosiłam go.

- Prawda, byłbym zapomniat. Jest pani przecież kochającą matką i nie znosiła starego za to, jak obszedł się z pani córką.

- Jesteś sukinsynem, Maguire - stwierdziła spokojnie. - Miałam aż nadto powodów, żeby życzyć Pompasse'owi śmierci, ale nie zamierzam opowiadać o nich komuś takiemu jak ty. Nie zdziw się, jeśli zatańczę na jego grobie.

Jako rasowy reporter chętnie by obejrzał takie widowisko. Niechby wszystkie były kobiety starego wzięły się za ręce i odtańczyły triumfalny taniec wokół grobu.

Przywiózł ze sobą aparat. Nawet kilka. Kupił je kiedyś w Kongo od znajomego pracującego dla CIA i towarzyszyły mu od lat.

Szczególnie lubił ten ukryty w zapalniczce, ale Charlie nie tolerowała palenia w swoim towarzystwie, nie mógł go więc użyć. Drugi miał formę pióra. Był poręczny, wygodny i bardzo efektywny.

Miał już trzy dyskiety pełne zdjęć zrobionych w La Colombali.

Podczas pogrzebu sfotografuje zboląłą wdowę i zażąda od Gregory'ego podwójnej stawki.

Byle Henry nie wtykał swojego wąskiego, arystokratycznego nosa, gdzie nie powinien. Ledwie spojrzał na Maguire'a, uznał go za plebejusza, natręta i intruza. Problem, kiedy skontaktuje się z tajemniczym Honore'em, żeby zasięgnąć informacji? Jeśli po pogrzebie, to wszystko w porządku.

Wcześniejszy wyjazd z La Colombali byłby z punktu widzenia Maguire'a katastrofą, bo nie dokończył jeszcze tutaj swoich spraw.

Głównie tych związanych z Charlie Thomas.

- Masz wyjątkowo interesujący wyraz twarzy, panie Maguire - zauważyła Olivia. - O czym myślisz?

- O narzeczonym pani córki - odparł zgodnie z prawdą.

- Nie załamuj się. Właśnie przemyślałam wszystko i postawiłam na ciebie.

- Ale ja jej nie chcę.

- Nie? - zapytała Olivia słodkim tonem. - Już wcześniej zauważyłam, że z ciebie kłamca.

- Ten człowiek nie budzi zaufania - powiedział Henry, kiedy wchodzili na piętro.

- Cii - szepnęła Charlie. - Usłyszysz cię.

- Niech usłyszysz, co mnie to obchodzi.

- Henry podniósł głos. - Coś mi się w nim nie podoba.

Charlie nie przypominała sobie, by Henry kiedykolwiek powiedział, że ktoś mu się nie podoba.

- Maguire chyba też cię nie polubił - stwierdziła, otwierając drzwi sypialni. - Umieściłam cię w moim pokoju.

- Mówiłaś, że nie chcesz, żebyśmy spali razem? Miał tak pełną nadziei, a przy tym żalowaną twarz, że Charlie zdjęły dobrze jej znane wyrzuty sumienia, tym większe, że ciągle czuła palący dotyk ust Maguire'a.

- Ty będziesz spał w mojej sypialni, a ja w sypialni Pompasse'a - powiedziała, starając się przybrać jak najłagodniejszy ton.

- Oczywiście - zgodził się, jak na dżentelmena przystało. - Wiesz przecież, że nigdy nie wywierałem na ciebie najmniejszego nacisku.

- Henry, nie wiem, czy coś z tego wyjdzie...

- zaczęła, ale przerwał jej, chwycił za rękę, wciągnął do pokoju i zamknął drzwi.

Charlie natychmiast ogarnęła znajoma panika. Podniosła wzrok.

- Oczywiście, że wyjdzie, kochana dziewczyno. Jestem cierpliwy i na tyle dojrzały, by umieć czekać. Prędzej czy później i ty dojrzejesz do

kolejnej próby. Sama mówiłaś, że zdaniem doktora Rogersona terapia zaczyna dawać rezultaty.

- Nie chcę o tym rozmawiać, Henry - powiedziała z nutą desperacji w głosie. - Nie chcę. Nie teraz i nie tutaj.

- Naturalnie, kochanie. Nie w chwili, kiedy w salonie na dole siedzi ten neandertalczyk. Nie dziwię się, że jesteś wyprowadzona z równowagi jego obecnością. To musiało być niemiłe, wrócić tu po latach i natknąć się jakiegoś grubianina. Swoją drogą bardzo się dziwię, że Honore przysłał do La Colombali podobnego typu, wiedząc, jak ta cała sytuacja jest delikatna i skomplikowana.

- Podobnego typu? - powtórzyła.

- Wiesz przecież, co mam na myśli. On nie jest z naszej sfery. Nie sądzisz, że to prostak? Brakuje mu ogłady, wyrobienia. Ot, plebejusz.

- Może masz rację - mruknęła Charlie niepewnie.

- Pozwól, że rozpakuję się i chwilę odpocznę, zanim poznam resztę menażerii Pompasse'a. Doba spędzona w towarzystwie twojej matki wykończyła mnie. Nie wiem, jak sobie radziłaś.

- Ona nie jest taka straszna. - Charlie nie bardzo rozumiała, dlaczego właściwie staje w obronie Olivii, ale z jakichś powodów, inaczej niż zwykle, wszystko, co mówił Henry, drażniło

ją. Nie lubiła sprzeczek, wolała przechodzić nad

nieporozumieniami do porządku dziennego, teraz jednak zapragnęła się przeciwstawić.

- Nie bądź śmieszna, Charlie, twoja matka to potwór. - Henry'emu udało się to powiedzieć w miarę powściągliwym tonem. - Przysięgam, po ślubie koniec, nie pozwolę, żeby dłużej wtrącała się do naszego życia.

- A teraz się wtrąca? Niby w jaki sposób?

- zdumiała się Charlie.

- Nieważne, kochanie. Pomówimy o tym później. Niemal zawsze ją zbywał, kiedy zadawała niewygodne pytania. Należał do tych ludzi, którzy w każdej sytuacji i wbrew wszystkiemu grają nieporuszonych. To właśnie zbliżyło Charlie do niego.

A teraz wprawiało w irytację.

- W porządku, porozmawiamy później - zgodziła się chłodno. - Tymczasem prosiłabym cię, żebyś postarał się być uprzejmy dla Maguire'a. Może nie należy do twojej sfery, ale przyjechał tutaj, bo ma robotę do wykonania. Im wcześniej się z nią upora, tym wcześniej się go pozbędziemy. Jeśli będziesz mu przygryzał, wtrącał się, przedłuży to tylko procedurę.

- Nie mam zamiaru wtrącać się do niczego, najdroższa, niemniej kiedy już odpocznę, przeprowadzę małe dochodzenie. Chyba nie masz nic przeciwko temu?

Nie zaprotestowała, ale znowu się zirytowała. Nie chciała, żeby Henry zaczął wydzwaniać do swoich znajomych i wypytywał o Maguire'a. Śmieszne. Gdyby Henry dowiedział się czegoś, co podważałoby wiarygodność tak bardzo niechcianego gościa, mogłaby wreszcie się go pozbyć, a o to przecież jej chodziło.

- Nie, skądże. Zrób to wszystko, co uznasz za stosowne - powiedziała znużonym głosem.

- A teraz odpocznij, Henry.

- A gdzie całus? - W głosie Henry'ego zabrzmiała prośba.

No tak, była przecież narzeczoną...

Podeszła do niego i cmoknęła zdawkowo w gładki policzek. Henry był jedynym mężczyzną, jakiego znała, który po odbyciu podróży przez pół świata wciąż miał gładko ogolone policzki. W przeciwieństwie do Maguire'a z jego niechlujnym zarostem. Podrapał ją, kiedy całował w kościele. I potem... Czuła jeszcze ten zarost na skórze. Zerknęła na czerwony znak na nadgarstku. Henry, na szczęście, niczego nie zauważył, ale nie należał do zbyt spostrzegawczych ludzi.

Widział tylko to, co chciał wiedzieć.

- Śpij dobrze, Henry - powiedziała, zamykając drzwi.

W korytarzu oparła czoło o ścianę i wzięła głęboki oddech. Dlaczego wszystko tak się komplikowało? Przecież chciała przyjazdu Henry'ego,

potrzebowała jego wsparcia, jego pomocy przy załatwianiu spraw spuścizny.

A teraz, kiedy był na miejscu, czuła dziwne rozdrażnienie z tego powodu. Każde jego słowo, każdy gest, wyprowadzały ją z równowagi.

To wszystko, oczywiście, przez Maguire'a. To on grał jej na nerwach. Dotykał jej, całował i celowo wywoływał niepożądane, nie do końca zrozumiałe emocje.

Ale nie wstręt, nie odrazę.

Raz jeden próbowała kochać się z Henrym i wylądowała w jego wyłożonej czarnymi kafłami łazience, usiłując tłumić odgłosy torsji. Na samą myśl o seksie z przyszłym mężem zimny pot występował jej na czoło.

Maguire nie wywoływał w niej podobnych reakcji. Raczej wściekłość. I pasję. Miała ochotę go zabić. Zasłużył sobie na to. Proste.

Oderwała się od ściany z nieprzyjemnym uczuciem, że ktoś ją obserwuje. Rozejrzała się uważnie najpierw w lewo, potem w prawo. Korytarz był pusty, wszystkie drzwi zamknięte.

Zaczynam mieć zwidy, pomyślała, kręcąc głową.

Żyła ostatnio w zbyt wielkim stresie. Powinna położyć się na chwilę i posłuchać jakiejś kojącej muzyki, czegoś, co by ją uspokoiło, przywróciło chłodne opanowanie, które tak starannie w sobie kultywowała. W każdym razie nie zamierzała schodzić na dół do matki i Maguire'a.

Nacisnęła klamkę u swoich drzwi i natychmiast cofnęła dłoń z obrzydzeniem. Była umazana czymś lepkiem.

Krew.

Bez wahania pchnęła drzwi. Coś upadło na podłogę z głuchym łoskotem.

Spojrzała w dół i wydała cichy krzyk.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Na podłodze leżał jej portret. „Przebudzenie”, pierwszy jej portret, który Pompasse namalował. Jeden z zaginionych obrazów. Rozpoznała go natychmiast, chociaż był rozcięty od góry do dołu i wysmarowany krwią.

Wycofała się na korytarz, drżąc na całym

ciele. Przez moment nie mogła zrozumieć, dlaczego jeszcze nie zbiegli się wszyscy domownicy, i dopiero po chwili uświadomiła sobie, że przecież nikt nie mógł usłyszeć jej zdławionego krzyku.

Zamknęła na powrót drzwi i z przerażeniem spojrzała na krew na klamce oraz na dłoni. Odwróciła się i na oślep rzuciła w stronę schodów, nie bardzo nawet wiedząc, dokąd biegnie. W salonie nie było nikogo. Matka musiała już pójść do swojego pokoju. Dzięki Bogu. Taras też był pusty. Niewiele myśląc, pobiegła do pracowni

i pchnęła drzwi bez pukania, żeby nie pomazać ich krwią.

W szoku nie myślała o tym, że do takich rzeczy można używać równie dobrze lewej dłoni. Maguire zdążył już przenieść tutaj swój laptop i walkmana. Był pochłonięty pracą, usłyszał jednak, że ktoś wchodzi. Podniósł wzrok z lekko poirytowaną miną człowieka, któremu przeszkadzają w jego zajęciach. Poirytowana mina w jednej chwili zniknęła.

Charlie strasznie drżała, zęby jej szczękały. Podeszedł do niej i chwycił za ramiona. Nawet tego nie poczuła, nie zwróciła najmniejszej uwagi.

- Co się stało? - Potrząsnął nią lekko. - Charlie, jesteś ranna?

Potrafi okazać troskę. Dziwne, pomyślała jak przez mgłę. Pokręciła głową.

- Krew... w moim pokoju - wykrztusiła.

Kiedy Maguire ją puścił, przez moment myślała, że upadnie, tak jakby tylko dzięki niemu trzymała się na nogach.

- Zostań tutaj - polecił, ruszając ku drzwiom.

- Nie! - zawołała. - Nie chcę być sama.

Spojrzał na nią dziwnie, ale skinął głową i razem poszli do willi, na górę do sypialni Charlie.

- Na klamce jest krew - tłumaczyła mu po drodze. - Umazałam dłoń.

- Pokaż. - Chwycił ją za nadgarstek, uniósł jej rękę i zbliżył do nosa.

- To nie krew - stwierdził. - Krew pachnie inaczej. To farba.

- Skąd wiesz, jak pachnie krew? - Pytanie było idiotyczne, ale nic mądrzejszego nie przychodziło jej do głowy. Otarła dłoń o bluzkę, znacząc biały materiał czerwonymi smugami.

- Błędy szalonej, złej młodości. - Maguire, dłużej nie zwlekając, nacisnął klamkę. Była niemal czysta, bo to, co się na niej wcześniej znajdowało,

teraz barwiło dłoń Charlie.

Portret leżał nadal na podłodze. Był przecięty i obryzany czerwienią. Chociaż Charlie wiedziała już, że to nie krew, nie czuła się ani trochę lepiej. Maguire wciągnął ją do pokoju, zamknął drzwi i nachylił się nad obrazem.

- Jeden z zaginionych, jak sądzę.

- Tak - przytaknęła Charlie. - To „Przebudzenie”.

- Ciągle jeszcze drżała, ciągle jeszcze miała czerwone ślady na dłoni. Nie mogła się uspokoić. - Mój pierwszy portret namalowany przez Pompasse'a.

- Nieważne - powiedział, prostując się.

- Umyję ci ręce. - Zaprowadził ją do łazienki i odkręcił kran nad umywalką. Charlie bezwolnie poddawała się wszystkiemu. Stała bez ruchu, patrząc w swoje odbicie w lustrze.

Miała wrażenie, że widzi zupełnie obcą kobietę:

włosy w nieładzie, blada, przerażona twarz i ta straszna bluzka ze smugami krwi. Nie, to przecież farba, poprawiła się.

Spróbowała odruchowo odgarnąć włosy do tyłu i jej palce zostawiły czerwony ślad na policzku.

Chciała się odwrócić, ale Maguire stał tuż za nią. Otoczył ją ramionami i zaczął myć jej ręce, jak ojciec, który uczy dziecko, jak ma to robić.

Szorował jej dłonie szczoteczką, dopóki czerwień zupełnie nie zniknęła.

Charlie czuła ciepło jego ciała, przenikające gdzieś głęboko, rozgrzewające, przynoszące siłę i dające poczucie bezpieczeństwa. Miała ochotę zamknąć oczy i wesprzeć się na Maguirze.

Czego, ma się zrozumieć, nie uczyniła. Kiedy tylko skończył myć jej dłonie, odsunął się i poczucie bezpiecznego ciepła, które zawładnęło nią na moment, rozwiało się bez śladu.

- Zdejmij tę bluzkę - powiedział szorstko.

- Słucham?

- Jest cała w farbie. Zdejmij ją. - Kiedy nie zareagowała, bez zbędnych ceregieli sam to zrobił.

Charlie stała teraz przy umywalce w samym staniku, drętwa i ośupiła.

Przynajmniej nie drwił z niej i nie rzucał tych swoich kpiących spojrzeń. Obchodził się z nią, jakby była manekinem.

- Znajdę ci coś innego, a to wrzuc do kosza na brudną bieliznę - komenderował.

Już miał wyjść z łazienki, gdy nagle znieruchomiał w progu, jakby ujrzał coś jeszcze bardziej okropnego niż przed chwilą.

- Co się stało? Jest tam ktoś? - zapytała

Charlie, obejmując się ramionami.

- Nie. - Maguire odsunął się, by mogła przejść do pokoju.

Na wewnętrznej stronie drzwi ktoś tą samą czerwoną farbą wypisał słowo: „Morderczyni”.

- Ja przecież... - próbowała coś powiedzieć.

- Ubierz się - polecił. - Spróbuję to usunąć.

Zanim znalazła w komodzie czystą bluzkę i zapięła drżącymi palcami wszystkie guziki, Maguire zdążył zmyć prawie cały napis, tak że pozostały tylko czerwone smugi. Charlie usiadła w fotelu i przyglądała się jego wysiłkom, niezdolna do żadnego działania.

- Dlaczego? - zapytała w końcu.

Spojrzał na nią przez ramię.

- Też chciałbym wiedzieć.

- Przecież nikt nie ma powodów... Nigdy bym nie przypuszczała...

- Że ktoś może cię podejrzewać? - podsunął.

- Nienawidzić - poprawiła go. - Nienawidzić aż tak bardzo.

- Trudno powiedzieć, żeby Gia darzyła cię szczególną sympatią, a stara dama najwyraźniej uważa cię za bliżej niezidentyfikowanego wroga z przeszłości. Załóżę się, że gdybyśmy zaczęli

szukać dalej, znalazłoby się jeszcze parę osób, które niekoniecznie muszą ci dobrze życzyć.

- Nie rozumiem. Nigdy nikogo nie skrzywdziłam, w każdym razie nigdy z rozmysłem, świadomie. Kto miałby...?

- Gdzie Kochaś?

- Przepraszam?

- Twój narzeczony Henry. Gdzie on teraz jest?

- Śpi w sąsiednim pokoju.

- I nie usłyszał nas do tej pory? - zdziwił się Maguire. - To trochę podejrzane.

- Henry ma twardy sen.

- Skąd wiesz? Twoja matka mówi, że nigdy nie poszłaś z nim do łóżka.

Poderwała głowę. Była tak oburzona, tak bardzo znieważona, że opadły z niej resztki przerażenia.

- Nie opowiadam mojej matce o szczegółach swojego życia seksualnego, Maguire - warknęła.

- A o czym miałybyś opowiadać? Ona twierdzi, że nie masz żadnego życia seksualnego, czemu, poznawszy Henry'ego, wcale się nie dziwię.

Nie sądzisz, że powinnaś zainteresować się kimś trochę młodszym, zamiast zawracać sobie głowę facetem, który jedną nogą stoi w grobie?

- Odczep się ode mnie, Maguire i wyjdź stąd.

Nie jestem w nastroju do takich rozmów.

- To ty po mnie przyszłaś. Ciekawe, dlaczego akurat pomyślałaś o mnie? Przecież o wiele

prościej byłoby obudzić staruszkę Henry'ego i zapewnić sobie jego moralne wsparcie. Zaraz, a może ty nie chciałaś, żeby zobaczył to słowo wypisane na drzwiach?

- Nie widziałam tego słowa, dopiero ty mi na nie zwróciłeś uwagę - powiedziała zmęczonym głosem. - Nie wiem, dlaczego nie obudziłam Henry'ego. Zobaczyłam, że ktoś podrzucił do pokoju jeden z zaginionych obrazów, a przecież to ty ich szukasz. Działałam instynktownie.

- I instynkt kazał ci biec do mnie... - stwierdził Maguire z zadumaną miną. Zanim Charlie zdążyła cokolwiek powiedzieć, zapytał: - Lepiej już? Uspokoiałaś się trochę?

Skinęła głową.

- Już dobrze. Byłam po prostu... zaskoczona.

- Chyba nie użyła najlepszego określenia.

Co nie uszło uwagi Maguire'a.

- Mówiąc ogólnie. Może poszłabyś teraz do Henry'ego? Wślizgniesz się do jego łóżka, a ja mógłbym do końca uporządkować ten cały bajzel. Jeśli zajmiesz się swoim facetem jak należy, nie usłyszysz hałasów zza ściany.

- Nie - odparła krótko.

- Biedny stary Henry nic już dla ciebie nie może zrobić, co? Może viagra by mu pomogła?

- Przestań! - Maguire był mistrzem prowokacji, w każdym razie świetnie wiedział, jak sprowokować Charlie.

- Jeśli nie masz ochoty przytulić się do Henry'ego, zejdź do kuchni, do Lauretty, a ja zrobię tu porządek. Wolałbym to robić bez świadków.

- Chcę, żebyś spalił ten obraz.

- Do diabła, nie. Wykluczone. Jest wart kupę pieniędzy.

- Raczej był.

- Zdziwiłabyś się, jakich cudów potrafią dokonywać konserwatorzy sztuki. No, idź już. Wymyślicie z Laurettą menu na kolację. Nowych gości należałoby godnie powitać... A jak tu wrócisz, pokój będzie w idealnym stanie.

- A jeśli Henry tymczasem się obudzi i cię usłyszysz? Co mu powiesz, kiedy zapyta, dlaczego jesteś w mojej sypialni?

Maguire uśmiechnął się szeroko.

- To już zostawiam tobie, słoneczko.

Nie próbując dłużej dyskutować, Charlie ruszyła do drzwi. Rzeczywiście powinna stąd jak najszybciej wyjść. Nie widzieć zmasakrowanego obrazu, krwawych smug na drzwiach i szerokiego uśmiechu Maguire'a.

Prawie wybiegła z pokoju, ale wcale nie udała się do kuchni, by ustalić z Laurettą zestaw dań na

kolację. Chciała być sama, potrzebowała spokoju, chwili samotności, żeby odzyskać tak ciężko wypracowaną równowagę ducha niszczonej regularnie przez Maguire'a. Ten człowiek jak nikt potrafił doprowadzić ją do szału.

Pobiegła do starego kościółka i wróciła dopiero wtedy, kiedy poczuła, że znowu w pełni panuje nad swoimi nerwami.

Maguire zamknął za nią cicho drzwi i wyjął z kieszeni swój cud aparat.

Zachował się jak idiota, jak głupi Don Kichot, ścierając napis. Stracił przez to szansę na zrobienie zdjęć, ale widok zaszokowanej, roztrzęsionej Charlie obudził w nim jakiś atawistyczny, rycerski odruch w obronie uciśnionej damy. Oczywiście zazwyczaj nie praktykował podobnych zachowań, co więcej, były mu z gruntu obce.

Trochę zrezygnowany sfotografował w końcu pomazane drzwi, zastanawiając się, czy jednak nie odtworzyć napisu. Byłoby to rewelacyjne zdjęcie na okładkę książki.

Nie warto, pomyślał. Zniszczony obraz był równie dramatyczny w wyrazie, a może nawet lepszy.

Toteż się nim zajął. Oparł zmasakrowane dzieło o łóżko i obfotografował je ze wszystkich stron. Zrobił też kilka zdjęć zakrwawionej umywalki i wymazanej tą samą czerwoną farbą bluzki Charlie. Nauczył się od Molly, że nigdy nie wiadomo, jakie zdjęcie zrobi światową karierę w mediach.

Mój Boże, co by powiedziała Molly, gdyby zobaczyła, że z reportera wojennego spadł do

poziomu pętaka, który żeruje na życiu sławnych i bogatych. Wybuchnęłyby śmiechem czy zapłakała? Tego nie wiedział.

Wiedział jedno. Skopałaby mu dupę za jego stosunek do Charlie. Usłyszałby, jakim jest sukinsynem, a on musiałby przyznać jej rację.

Ale Molly nie żyła, jemu zaś było wszystko jedno, co pomyśli o nim cała reszta.

Kiedy skończył, zaczynał zapadać zmierzch. Z tarasu dochodził szmer głosów.

Wyjrzał przez okno. Wszyscy już się zebrali: Olivia, Henry, Gia i prezydująca towarzystwu madame Antonella. Nie widział tylko Charlie, ale to go nie zmartwiło. Na pewno pomagała w kuchni Lauretce, żywo dyskutując na temat ilości czosnku w pesto.

Doskonały moment. Nikt nie zobaczy, jak wynosi zniszczony obraz z willi, żeby ukryć go w jakimś bezpiecznym miejscu.

Wciąż nie mógł zrozumieć, dlaczego Charlie przybiegła właśnie do niego. Nie szukała nikogo innego, Henry'ego, Lauretty, Tomasa czy choćby matki, nie przypadkiem skierowała swoje kroki prosto do pracowni. Twierdziła, że działała instynktownie, że zwróciła się do niego, bo zajmował się poszukiwaniem zaginionych obrazów. Owszem, zadziałał instynkt, ale znacznie bardziej podstawowy, żeby nie powiedzieć – nagi.

Może nie lubiła seksu, pocałunków, mężczyzn, a już jego szczególnie, ale coś ciągnęło ją ku niemu niczym ćmę do ognia. I o to mu chodziło. Przez nikogo nie zauważony zniósł obraz na parter. Nie mógł ukryć go w pracowni, bowiem pawilon znajdował się w ogrodzie i był dobrze widoczny z tarasu, poza tym każdy mógł w każdej chwili tam wejść. Wizyta nieszczęsnej nimfomanki Gii była najlepszym tego przykładem. Gia...

Podsunał jej, żeby zainteresowała się Henrym. Z tego, co widział z okna Charlie, dziewczyna zaczęła już wprowadzać ten pomysł w czyn, co oznaczało, że nie będzie go więcej nachodziła, ale za to może ktoś inny zechce go odwiedzić. Postanowił na razie schować obraz w krzewach tuż przy ścianie willi, a kiedy wszyscy pójdą już spać, zanieść go do starego kościółka i tam umieścić w jakimś suchym, bezpiecznym miejscu.

Pozostawało podstawowe pytanie: kto go podrzucił do pokoju Charlie? Płótno było spore i oprawione w ciężką ramę, więc trudno było je przemieścić z miejsca na miejsce.

Jaki powód miał ten, kto to zrobił? Zniszczenie portretu miało stanowić pogrózkę, natomiast napis na drzwiach był oskarżeniem.

Policja oczywiście znalazłaby szybko sprawcę. Zdjęto by odciski palców, przeprowadzono

dochodzenie, przepytano domowników. Maguire nie miał jednak zamiaru zawiadamiać policji.

Sprawa stałaby się głośna, do La Colombali ściągliby dziennikarze z całej Europy, a on nie chciał żadnej konkurencji. Poza tym, jak sądził, Charlie nie groziło żadne realne niebezpieczeństwo, ktoś chciał ją jedynie wystraszyć.

Zatrzymał się przy wejściu na taras i omiótł wzrokiem całe towarzystwo, zastanawiając się, kto mógł to zrobić. Może Henry, właśnie zatopiony w rozmowie z umizgującą się doń Gią? Trudno sobie wyobrazić, by ktoś w środku dnia, nawet po transatlantyckiej podróży, mógł spać aż tak twardym snem, żeby absolutnie nic nie słyszeć. Poza

tym Henry miał najwięcej do zyskania.

Wstrząśnięta Charlie powinna szukać u niego pomocy, a on otoczyłby ją swoim silnym ramieniem i zyskał jej dozgonną wdzięczność.

Tylko że Charlie nie zwróciła się do Henry'ego, bo to nie on poszukiwał zaginionych obrazów, pomyślał Maguire z przekąsem.

A jednak ciekawe, że zdarzenie miało miejsce zaraz po przyjeździe Olivii i Henry'ego do willi.

Może zatem Olivia? Maguire nie bardzo mógł sobie wyobrazić, dlaczego miałyby to robić, była jednak wystarczająco silna, żeby poradzić sobie z obrazem. Nie, to nie mogła być ona. Ani Henry. Nic nie wskazywało, aby któreś z nich miało coś wspólnego z zaginięciem obrazów.

Madame Antonella była z kolei zbyt stara i kompletnie sfiksowana, choć trzeba przyznać, że sprawca sprawiał wrażenie kogoś, kto działał w zamroczeniu umysłowym. Pomimo wszystko madame Antonella nie byłaby w stanie dokonać czegoś podobnego.

Pozostawała zatem Gia. Gia, która z całego serca nienawidziła Charlie i mogła czerpać rozkosz z jej dręczenia. Maguire był pewien, że gdyby miał możliwość obejrzeć dłonie dziewczyny, znalazłby na nich ślady czerwonej farby.

Tylko dlaczego? Z czystej złośliwości? A może

Gia naprawdę wierzyła, że to Charlie zamordowała starego? Skoro tak, dlaczego nie poszła z tym na policję? Przecież nie z obawy przed skandalem. Zainteresowanie prasy mogłoby ją tylko ucieszyć, ba, byłaby zachwycona. Błyski fleszy, wywiady, zdjęcia w gazetach...

Może chodziło po prostu o wojnę nerwów? Gia na pewno by ją wygrała. To oczywiste, że nie miała żadnych skrupułów i była gotowa wykorzystać każdy sposób, by osiągnąć cel.

Maguire odwrócił się na pięcie i ruszył do kuchni w poszukiwaniu Charlie, ale zastał tu tylko Laurettę i Tomasa.

- Poszła na spacer, signore - poinformował go Tomaso. - Powiedziała, że prędko nie wróci i żeby państwo siadali do kolacji bez niej. Niech się pan nie martwi, Charlie dobrze zna okolicę.

Na pewno się nie zgubi, choćby i po ciemku.

Pochodzi sobie i wróci.

Nie ucieszyła go ta wiadomość, chociaż mógł zakładać, że Charlie jest w miarę bezpieczna, bowiem wszyscy domownicy siedzieli przy stole i popijali likier Pompasse'a, rozkoszując się pięknym tokańskiego wieczoru.

Wszyscy poza nim, oczywiście.

Jego ulubiony gatunek whisky stał na barku, a Gia paliła. Dwie słabości, którym namiętnie się oddawał. A Charlie jest na spacerze i nie będzie zgłaszać pretensji. Korciło go, żeby zapalić, ale nie zamierzał prosić Gii o papierosa. Za to miał z nią do pomówienia.

Podszedł prosto do niej. Musiał przyznać, że spryciara nie marnowała czasu. Trzymała dłoń na ramieniu Henry'ego, wpatrywała się w niego swoimi wielkimi czarnymi oczami i mówiła coś do niego miękkim, niskim głosem przepełnionym absolutną szczerością.

Henry kupował jej awanse bez żadnych zastrzeżeń.

Z rozkoszą chłonał każde słowo i pławił się w jej spojrzeniach, całkiem pewnie zapomniawszy o narzeczonej.

- Muszę z tobą pomówić. - Maguire dość obcesowo przywrócił gruchającą parę do rzeczywistości.

- Jasne, mój stary - rzucił Henry.

Maguire zniósł jakoś to protekcyjne przyzwolenie,

choć sztuczny, nadęty sposób bycia „dobrze urodzonego” Henry'ego budził w nim mordercze instynkty.

- Nie z tobą, Henry, z Gią.

Gia od razu zrozumiała, że nie święci się nic dobrego.

- Może później - zbyła go lekko, nie zdejmując dłoni z ramienia Henry'ego. - Zaraz siadamy do kolacji.

- Może teraz. - Maguire zacisnęła dłoń na nadgarstku Gii.

- Spokojnie, Maguire... - Henry poczuł się w obowiązku stanąć w obronie dziewczyny.

- Nie martw się, zaraz przyprowadzę ci ją z powrotem - obiecał Maguire i gwałtownie pociągnął Gię z fotela.

Ta zaczęła kląć pod nosem po włosku, usiłowała się wyswobodzić, ale nie chciała robić sceny.

Olivia uniosła idealnie wydepilowaną brew, po czym wróciła do rozmowy z madame Antonellą.

Maguire zaprowadził Gię w miejsce, gdzie ukrył obraz, i przycisnął ją do ściany domu.

- Myślałam, że cię nie interesuję, Maguire

- zamruczała jak kotka.

- Bo mnie nie interesujesz. Mów, i to szybko.

Dlaczego to zrobiłaś?

- Co zrobiłam? - Wlepiała w Maguire'a niewinne spojrzenie, tylko że Gia Schiavone już w dniu przyjscia na świat nie była niewinna.

- Tylko nie próbuj zaprzeczać - wycodził.

- Jesteś w całym domu jedyną osobą dość sprytną i podłą, żeby wpaść na podobny pomysł. Co masz

przeciwko Charlie?

Gia przestała dąsać się i udawać.

- Nie podobał się jej mój prezent? Tak się martwiła o zaginione płótna. Kiedy znalazłam jedno z nich, pomyślałam, że powinnam zwrócić je Charlie. Początkowo zamierzałam zrobić to tutaj, na tarasie, ale potem uznałam, że lepiej będzie podzucić je dyskretnie.

- A wszystko przez wzgląd na uczucia drogiej Charlie, prawda? Kiedy znalazłaś to płótno, powiadasz?

- Nie wierzysz mi? Naprawdę je znalazłam, ale do głowy by mi nie przyszło tak je zniszczyć, chociaż nienawidzę tej bladej tyki. Znam wartość obrazów Pompasse'a i mam zdrowy szacunek dla pieniędzy. Portret już był w takim stanie, kiedy go znalazłam, rozcięty i zamazany farbą. Widać jest jeszcze ktoś, kto nienawidzi jej równie mocno jak ja. Niestety nie wiem, kto to taki, ale w pełni się z nim solidaryzuję. - Gia wykrzywiła usta w pełnym satysfakcji uśmiechu.

- Gdzie go znalazłaś?

- Coś strasznie ci na niej zależy. To takie ważne dla ciebie?

- Zależy mi na obrazach. Zapomniałaś, po co tu przyjechałem? Gdzie go znalazłaś?

- Przy starej stodole. Stał oparty o ścianę, jakby ktoś chciał, żebym go zobaczyła, chociaż temu komuś chyba chodziło o Charlie, bo tylko ona chodzi na długie spacer. Ale to ja się na niego natknęłam i zaniosiłam do pokoju Charlie.

- I wysmarowałaś przy okazji drzwi?

- To był dobry pomysł, nie sądzisz? Świetnie wypełniał kompozycję - podkreśliła z wielce zadowoloną miną. Była dumna ze swojego dzieła. Maguire nie znosił takich dziewczyn, pewnych siebie, przebojowych i bezczelnych.

- Uważasz zatem, że Charlie zabiła starego?

- zapytał ze zwodniczym spokojem.

- Wiem, że to zrobiła.

To suche stwierdzenie wprawiło Maguire'a w chwilowe osłupienie.

- Jakim sposobem?

- Takim, że od niego odeszła. Zabrała ze sobą jego serce. Potem nie potrafił już nikogo pokochać.

- Złotko, wątpię, by Pompasse kochał kogokolwiek w całym swoim życiu. Chcesz mi powiedzieć, że uschnął z miłości, czy że Charlie zrzuciła go ze schodów?

- A niby jak miała to zrobić? - zapytała Gia rzeczowym tonem. - Nie było jej przecież wtedy we Włoszech.

- Ale ty byłaś. Może akurat znalazłaś się we Florencji w dniu jego śmierci? Może to ty zepchnęłaś

go ze schodów?

- Nie wygłupiaj się. Kochałam go.
- Ale znalazł sobie inną, prawda? Może poszłaś do niego powiedzieć, że odchodzisz, stary się zdenerwował, zaczęliście się szarpać i zdarzył się nieszczęśliwy wypadek, za który nikt nie ponosi winy. - Maguire snuł hipotezy.
- Zwariowałaś?! - gwałtownie ostudziła go Gia. - Nie było mnie tego dnia we Florencji. Ale zaraz, dopytujesz się, jakbyś był... Co cię to wszystko, do diabła, obchodzi?
- Nie obchodzi. Obchodzą mnie wyłącznie obrazy. Chcę wiedzieć, gdzie one są. Chcę znaleźć obrazy i notatki Pompassé'a.
- Tak, wiem, ale ja ciw tym nie pomogę. - Gia wzruszyła ramionami. - Pomogłabym ci, gdybym potrafiła, ale nie potrafię. Jedno, co można na pewno powiedzieć o Pompassie, to że dbał o swoich. Jeśli zostały po nim jakieś pieniądze, część przypadnie mnie. Im większa będzie wartość spuścizny, tym lepiej, dlatego zależy mi na tym, żebyś znalazł zaginione obrazy.
- Nie wiem. Może sama je ukradłaś, a teraz zdecydowałaś się poświęcić jeden, żeby zemścić się, Bóg wie za co, na Charlie - powiedział Maguire. - I tak pozostałyby ci dwa bezcenne płótna.
- Portrety Charlie. - Ton głosu Gii był pełen autentycznego jadu. - Coś, na co wołałabym nie patrzeć. Wierz mi, jestem zbyt praktyczna. Szukaj

gdzie indziej. Dlaczego nie zapytasz Charlie, gdzie mogą być obrazy? Ona zna tę okolicę lepiej niż ktokolwiek inny.

Maguire zrozumiał, że już nic więcej z niej nie wydobędzie.

- Wracaj urabiać Henry'ego - powiedział zmęczonym głosem. - To mniej kosztowny sposób brania rewanzu niż niszczenie obrazów.

- I bardzo miły, Maguire. Świetnie się bawię. Patrzył, jak odchodzi, kręcąc biodrami, i wściekle zaklął pod nosem. Wiedział dokładnie tyle samo co przedtem.

Kłopot w tym, że wierzył tej małej kłamliwej żmii. Przyznała, że podrzuciła obraz do pokoju Charlie, ale kto go w takim razie zniszczył? Kto aż tak nienawidził Charlie? I dlaczego?

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

W kościółku panował kojący spokój. Charlie wcisnęła się w kąt starej, poobijanej ławki. Zaczynało zmierzchać, ale nie bała się mroku. Tutaj

nie czuła się zagrożona. Tylko tutaj i tylko w samotności czuła się naprawdę bezpieczna.

Jej dłonie pachniały jeszcze mydłem. Dobrze wiedziała, że na klamce nie było krwi, że ubrudziła się farbą, ale serce za nic nie chciało słuchać rozumu. Uspokoila się dopiero wtedy, kiedy Maguire zmył to świństwo.

Dziwne. Maguire wydawał się bardzo niebezpieczny, a jednak w łazience, kiedy stał za nią tak blisko, że jego ciało dotykało jej pleców, nie czuła żadnego zagrożenia. Przeciwnie, w tamtej chwili było jej naprawdę dobrze.

Chyba zupełnie zwariowała, jeśli tak reagowała na tę świnię, a Henry'emu nie pozwoliła zbliżyć się do siebie. Powinna spełnić prośby

Henry'ego, zacisnąć zęby i iść z nim do łóżka. Jeszcze dzisiaj, bo nie należało z tym dłużej zwlekać. Zniesie to. Skoro zносиła Pompasse'a... Czuła do niego coś, co nawet można by nazwać czułością. Co prawda sam akt seksualny napawał ją obrzydzeniem, wydawał się degradujący, ale Pompasse'owi dawał przyjemność i to jej wystarczało. Była mu wdzięczna za to, że przy nim po raz pierwszy w życiu poczuła się bezpieczna, po raz pierwszy miała dom. Coś mu się za to należało.

Kochała Henry'ego, więc dlaczego nie miałyby mu dać tej samej przyjemności, tej samej rozkoszy? Nie oczekiwał od niej wiele, żadnych wyczynów seksualnych, niczego niezwykłego. Chciał tylko, żeby zaakceptowała jego ciało. Od chwili kiedy odeszła od Pompasse'a, nie była w stanie znieść męskiego dotyku. Jej lekarz sugerował, że być może Henry jest nieodpowiednim partnerem i tu leży przyczyna problemów, ale Charlie nie przyjmowała do wiadomości tego tłumaczenia. Henry był pod każdym względem najbardziej odpowiednim, wręcz idealnym partnerem. Winna była jej oziębłość, ale wcześniej czy później Charlie powinna ją przemóc. Musi przemóc. Albo nauczy się znowu udawać. Była zbyt szczerą wobec Henry'ego. Mogła zachować ten sekret dla siebie i sama się z nim borykać. Henry, taki troskliwy i tak bardzo się

pilnujący, by nie żądać zbyt wiele, wystawiony był na stały stres. Przyczyniało jej to dodatkowych wyrzutów sumienia. Zdarzały się momenty, kiedy niemal oczekiwała, że zachowa się inaczej, weźmie ją w ramiona i zacznie całować, na nic nie zważając.

No i zrobił to Maguire, co było okropne.

Nie było?

Oparła głowę o zaplecek starej ławki. Nie miała ochoty wracać do domu, ale niedługo będzie musiała. Henry zacznie się o nią martwić. Olivia pewnie nie zauważyła nawet jej nieobecności, za to Maguire na pewno. Jeszcze kilka minut. Pozbiera się i ruszy stromą ścieżką do willi.

Po paskudnej porannej scenie nie chciała przechodzić koło domku madame Antonelli. Staruszka z każdym dniem stawiała się coraz bardziej niezdolna i nieobliczalna, i nawet Lauretta traciła nad nią panowanie. Czy Pompasse pomyślał o przyszłości swojej byłej muzy? Czy są we Włoszech wygodne pensjonaty dla seniorów, czy też Antonella trafi do jakiegoś ponurego domu starców, gdzie będzie przeklinała wszystkich dookoła? Nie, Pompasse na pewno nie pozwoliłby na coś podobnego. Był bardzo oddany Antonelli, swojej pierwszej wielkiej miłości. Nigdy nie opuścił jej za życia, więc zadbał i po śmierci.

Oczywiście zawsze uważał się za nieśmiertelnego i w pewnym sensie takim się stał. Jego obrazy zapewniały mu wieczne trwanie, chociaż ciało podlegało bezwzględny prawom natury. Pozostały po nim prochy, które za kilka dni miały zostać pogrzebane w winnicy.

Może wtedy Charlie będzie wreszcie wolna. Powinna porozmawiać z Henrym, dowiedzieć się, co z nią zrobił ze swej strony. Miał rozmawiać z prawnikami i doprowadzić jej sprawy do rozwiązania. Wreszcie się wyzwoli, ucieknie jak tchórz. Zawsze była tchórzem.

Kochała Toskanię, kochała całym sercem La Colombalę, ale teraz, kiedy tu wróciła, przekonała się, że już tu nie przynależy. Tamten czas, tak ważny w jej życiu, dawno minął. Musi iść przed siebie. Znaleźć swój własny dom.

A jednak tak starannie i przemyślnie układane plany na przyszłość nagle, nie wiedzieć czemu, zupełnie straciły znaczenie.

Przez pięć lat Nowy Jork był bezpieczną przystanią. Czuła się tam dużo pewniej niż w tych wszystkich innych miastach, w których zdarzyło się jej mieszkać, lecz Charlie marzyła o prawdziwym domu, a nie przystani. Dlatego zaręczyła się z Henrym, lecz teraz nie potrafiła wyobrazić sobie ich wspólnego życia. Wspólnego domu. Gdzie więc podzielała się jej wiara w uporządkowaną, dobrze zorganizowaną przyszłość?

Zamknęła oczy. Była zupełnie wyczerpana. Jeszcze nie przyzwyczaiła się do innej strefy czasowej, napięcie ostatnich dni też zrobiło swoje...

te podejrzenia, że Pompasse nie spadł ze schodów, tylko zepchnęła go z nich karząca ręka. Nie jej. Ona w tym czasie siedziała w swoim mieszkaniu w Nowym Jorku. Poza tym nie miała powodów mordować go. Dawno wydostała się spod jego wpływu, w każdym razie tak sądziła.

„Morderczyni”, mówił napis, a po drzwiach spływały strużki farby, zastygając w krople krwi. Ktoś tak jej nienawidził, że pociął jej portret i zamazał krwistoczerwoną farbą. Miała być to obietnica, że ją spotka to samo?

Jeśli Pompasse naprawdę został zamordowany, czy znaczyło to, że morderca dosięgnie i jej?

Nie potrafiła znaleźć żadnego powodu, dla którego ktoś mógłby chcieć jej śmierci. Czowała chaos w głowie. Było jej zimno, czuła się strasznie sama. Nie miała nikogo, do kogo mogłaby zwrócić się po pociechę, nikogo, kto mógłby ją ogrzać i natchnąć spokojem.

Wróci do domu później, kiedy wszyscy pójdą już spać. Rozbierze się, przejdzie do sąsiedniego pokoju i po cichu wślizgnie do łóżka Henry’ego. Do tego samego łóżka, w którym kochała się z Pompasse’em.

Nie odezwie się ani słowem. Henry pomyśli, że została uleczona, a ona nigdy nie powie mu

prawdy. Będzie wiodła bezpieczne życie, będzie miała dzieci. Nie wyobrażała sobie Henry’ego w roli ojca, ale świetnie wyobrażała sobie samą siebie w otoczeniu gromadki dzieci. Pulchnych, roześmianych dzieci, gdzieś z dala od miasta... Ale przecież zawsze będzie mieszkała w mieście. Musi się przespać, potrzebuje choćby odrobiny snu, zanim podejmie decyzję.

Jutro wszystko będzie znacznie prostsze, jaśniejsze. Jutro obudzi się obok Henry’ego i wątpliwości znikną. Jutro...

Goście Charlie wyjątkowo dobrze bawią się bez niej, pomyślał Maguire z niechęcią. Przyjęli wyjaśnienie Lauretty za dobrą monetę. Kochanemu staremu Henry’emu jakoś nie brakowało narzeczonej. Był zajęty Gią, która robiła wszystko,

żeby go urzec, i Henry był urzeczony. Poszło nadzwyczaj łatwo. Ale jeśli Charlie była naprawdę tak zimna, jak twierdziła jej matka, to biedny facet pewnie już zapomniał, co to znaczy pójść z kimś do łóżka, a Gia była diabelnie atrakcyjna.

Co z tego. Maguire też od dawna z nikim nie spał i awanse Gii nie zrobiły na nim żadnego wrażenia. Odrzucił je bez trudu. Tylko że jego interesowała Charlie... prawdziwe wyzwanie dla prawdziwego faceta, ot co.

To pewnie kwestia przodków jaskiniowców,

rozmyślał, obserwując towarzystwo ze swojego

kąta. Potrzeba zdobywania, dominacji, wszechwładzy...

Dowieść komuś takiemu jak Charlie

Thomas, że wybrała niewłaściwego mężczyznę.

Nie lubiła seksu, tak? Niech no tylko pozwoli mu pokazać, na czym polega seks.

Wiedział, że jest workiem gówna, ale nie mógł przestać o niej myśleć. Myślał, co by z nią robił i jak by na to reagowała. Myślał tak intensywnie, że Olivia i madame Antonella zaczęły patrzeć na niego podejrzliwie. Wiele by dał, żeby mieć teraz jakąś książkę czy gazetę, którą mógłby położyć na udach. Zachowywał się jak napalony gnojek, który nie potrafi panować nad sobą.

Lauretta i Tomaso usiłowali odprowadzić madame Antonellę do domku, ale stara dama wściekle zaprotestowała:

- Chcę zostać! - krzyczała. - Czekam na Pomapasse'a. Obiecał, że przyjedzie. I zawsze się będzie mną opiekował.

- On nie żyje, Antonello - zauważyła Olivia nietaktownie. - Przeżyłaś go, tak na to spójrz.

Maguire przez moment nie był pewien, czy stara dama rzeczywiście przeżyje. Bał się, że zacznie opłakiwać dawnego kochanka, ale o dziwo po chwili zaskrzeczała:

- To prawda. Wszyscy skonacie przede mną.

- O w mordę, akurat - jęknęła Gia, ale Antonella była tak głucha, że na szczęście nie usłyszała. - Nalej mi jeszcze wina, Lauretto

- zadysponowała po pańsku, jakby mówiła do pokojówki. - Wzniesiemy toast za Pompasse'a.

Dla Maguire'a był to znak, że najwyższa pora opuścić towarzystwo. Chciał zanieść obraz do starego kościółka, zaglądając po drodze do domku Antonelli. Lauretta co prawda twierdziła z uporem, że nie ma tam prac Pompasse'a, ale nie dawał wiary jej słowom.

Kiedy już ukryje obraz, wybierze się na spacer. Zamierzał poszukać Charlie. Domownicy co prawda zapewniali, że dobrze znała okolicę i poruszała się po niej równie pewnie jak rodowici mieszkańcy, więc nic jej nie groziło.

Być może. Jeśli jednak Gia miała rację, gdy twierdziła, że nie jest jedyną osobą, która nienawidzi Charlie? Następną niespodzianką mogła okazać się dużo mniej przyjemna niż znalezienie zniszczonego portretu.

Jasny półksiężyc oświetlał drogę, a Maguire zawsze dobrze widział w ciemnościach. Nie chciał brać latarki, bo jej światło, choć niby nie musiał się przed nikim kryć, mogło go zdradzić.

Z tego, co zdołał wywnioskować, brakowało dwóch sporych obrazów i kilkunastu grubych zeszytów z zapiskami. Jeśli ktoś schował je w domku madame Antonelli, ich odnalezienie nie powinno nastęrczać trudności.

Oparł zniszczony obraz o pień drzewa przy ścieżce i wszedł na taras. Przypomniał sobie

twarz Charlie, kiedy zobaczył ją tu rano. Malował się na niej autentyczny strach. Ale Charlie bała się wszystkiego: mężczyzn, seksu, dotyku, starych kobiet, pewnie też węży i pajaków, choć zarazem, z niepojętych powodów, nie bała się spacerować samotnie nocą po okolicy, gdzie mógł czaić się ktoś, kto źle jej życzył. Jednak logiczne myślenie nie wydawało się jej silną stroną. Determinacja i samodzielność były dla niej ważniejsze niż dbałość o własne bezpieczeństwo.

Domek przesiąknięty był zapachem lawendy, naftaliny i moczu, a pokoje tak zagracone, że Maguire z trudem się poruszał. Na stołach i stolikach było mnóstwo bibelotów, a meble swymi rozmiarami nie pasowały do niewielkich pomieszczeń. Antonella nie należała do drobnych kobiet i Maguire nie pojmował, jak mogła żyć w takiej ciasnocie. Bezskutecznie rozglądał się, czy coś nie wisi na ścianach. Jeśli nawet Pompasse podarował starej kochance swoje płótna, już stąd wywędrowały.

Ledwie zdążył wyjść z domku, gdy pojawiła się Lauretta z madame Antonellą. Sprzeczały się o coś, ale nie mógł zrozumieć stłumionych słów. Zresztą spieszno mu było zanieść obraz do kościółka, a potem ruszyć na poszukiwanie Charlie.

Nie miał co się okłamywać, martwił się o nią.

Dobrze jednak wiedział, że nie powinien ulegać żadnym sentymentom. Jeśli pozwoli sobie na czułośćkowość, będzie to oznaczało, że może zapomnieć o swojej książce, a wtedy wpadnie w niezłe szambo. Gregory go zamorduje, a już na pewno wykopie z roboty, on sam też nie byłby z siebie specjalnie zadowolony.

Charlie jest dorosła i doskonale daje sobie radę, czego dowodziły jej losy. Skoro zniosła, choćby tylko do czasu, małżeństwo z taką kreaturą jak Pompasse, skandal warzony przez Maguire'a będzie dla niej dziecinną igraszką.

Chyba że rzeczywiście zabiła starucha.

Maguire nie brał pod uwagę tej możliwości.

Ufał własnemu instynktowi na tyle, by wiedzieć, czy ktoś jest zdolny do morderstwa, a Charlie z pewnością nie była zdolna. Owszem, pod chłodną

powłoką kipiły rozmaite pasje i namiętności,
ale nigdy destrukcyjne.

Chciałby zobaczyć, jak się śmieje. Czy kiedykolwiek
była dzieckiem? Zwykłym, beztroskim
dzieckiem? Zawsze poprawna, nawet wtedy, kiedy
wprost wychodził ze skóry, żeby ją zirytować,
rozjuszyć. Jak by to było, skruszyć tę powłokę
nienaturalnego spokoju i opanowania? Doprowadzić
ją do śmiechu, do płaczu?

Księżyc oświetlał wnętrze pozbawionego dachu
kościółka na tyle jasno, że Maguire bez trudu
zszedł do krypty i w jednej z nisz starannie

schował feralny obraz. Charlie zauważył dopiero,
kiedy wrócił na górę.

Zwinięta na ławce spała w najlepsze. Włosy
rozsypany się luźno wokół twarzy oświetlanej
przez księżyc, ten surrealistyczny reflektor.
Miał ochotę parsknąć śmiechem na ten groteskowo-
romantyczny widok. Chętnie podszedłby
do niej i potrząsnął, obudził i doprowadził do
irytacji, wywołując następną sprzeczkę.

Ani się nie roześmiał, ani jej nie obudził.

Podszedł cicho do ławki i przystanął przed Charlie.

Dostrzegł na jej twarzy zmęczenie podróży
i tym wszystkim, przez co przeszła w ostatnich
dniach, dzisiejszego nie wyłączając.

Kiedy się obudzi, będzie zupełnie zeszywniała.

Powinien jednak potrząsnąć nią i kazać
wracać do willi, ale nie zrobił tego, tylko cicho
usiadł na drugim końcu ławki. Nie mógł oderwać
wzroku od twarzy Charlie.

Ta kobieta była przedziwną kombinacją przeciwieństw.

Silna i zarazem krucha. Zimna, ale
gdzieś w głębi czuło się potężną zmysłowość,
niestety stłumioną i wypartą.

Obserwował, w jaki sposób dotykała kwiatów,
smakowała jedzenia, unosiła twarz na powiew
wiatru. Jej reakcje były tak wyraziste, że
niemal odczuwalne fizyczne, kiedy się na nią
patrzyło.

Potrafiła znieść swoją matkę, wytrzymać

z kimś takim jak Pompasse, a przy tym bała się
mężczyzn. Maguire nic z tego nie rozumiał. Nie
sposób było jej pojąć.

No dobrze, pragnął jej. To w końcu nie przestępstwo
i żadna oznaka słabości. Jest ładna. Tak,
Gia była ładniejsza, ale zarazem...

Może chodziło o wyzwanie?

A może o to, co widział w oczach Charlie, co
czuł, kiedy jej dotykał? O smak jej ust. Jak by
smakowały, gdyby oddała pocałunek?

Spała jeszcze dwie godziny. Kiedy wreszcie

się obudziła, księżyc już zaszedł. Do tego czasu Maguire przyglądał się jej z dziwnym zadowoleniem. Rano znowu zaczną ze sobą walczyć, lecz teraz mógł sobie pozwolić, żeby nad nią czuwać.

Gdy srebrzysta poświata znikła, w kościele zapadła kompletna ciemność, jednak Maguire usłyszał, że Charlie wreszcie się przebudziła. Ziewnęła, przeciągnęła się, na koniec zaczęła rozmasowywać zeszywniałe mięśnie ramion.

- To tylko ja - mruknął, zanim zdążyła wyczuć czyjąś obecność i podnieść krzyk.

- Co tutaj robisz?

- Bawię się w dżentelmena i czuwam nad twoim snem. Schowałem obraz na dole w krypcie. Uznałem, że to najlepsze miejsce. Niech tu stoi, dopóki nie znajdziemy pozostałych.

- Dlaczego?

- Dlaczego, dlaczego... Niby co „dlaczego”?

- zapytał poirytowanym głosem.

- Dlaczego nade mną czuwałeś? - Próbowала na powrót upiąć włosy, ponieważ jednak wciąż się rozsypywały, zrezygnowała.

- Może nie chciałem, żeby morderca Pompasse'a połknął cię na drugie danie? W każdym razie nie przed odnalezieniem obrazów.

Charlie oparła się o zaplecek ławki.

- Dlaczego wszyscy upierają się, że ktoś go zamordował? Nie ma cienia dowodu, żadnego śladu, najmniejszego tropu.

- Może jednak został zamordowany, skoro wszyscy się upierają.

- To dlaczego w willi nie pojawiła się policja?

Dlaczego nikt nie zadawał nam żadnych pytań?

Tylko ty okazujesz dziwne zainteresowanie sprawą...

- Zamilkła, nie kończąc zdania. - Nie jesteś chyba policjantem?

Roześmiał się głośno, autentycznie ubawiony jej pytaniem.

- Nie, nie jestem.

- Kim w takim razie?

- Przecież doskonale wiesz. Specjalistą ubezpieczeniowym, który usiłuje skatalogować spuściznę po twoim mężu.

- Jakoś nie mogę w to uwierzyć - powiedziała Charlie cicho.

Niech to wszyscy diabli.

- Widocznie jesteś z natury podejrzliwa - powiedział z miłym uśmiechem, którego i tak nie mogła dojrzeć w mroku.

Puściła jego uwagę mimo uszu.

- Która godzina?

- Po drugiej. Spałaś jak dziecko.
- Dlaczego mnie nie obudziłeś?
- Wsłuchiwałem się w twoje chrapanie.
- Ja nie chrapię. Muszę wracać do domu.
- Dlaczego?
- Żeby położyć się do łóżka. - Zamilkła na krótką chwilę. - Nie do swojego. Do łóżka mojego narzeczonego - dodała prowokująco. Gdyby nie był tak bardzo zirytowany, pewnie parsknąłby śmiechem.
- Wracam z tobą.
- Znajdę drogę - zapewniła zupełnie bez sensu, jakby przypuszczała, że o tej porze Maguire miał jeszcze do załatwienia jakieś pilne sprawy w okolicy i tylko z wrodzonej rycerskości oferuje jej swoją asystę.
- Ale ja nie znajdę, a nie zamierzam nocować w tym cholernym kościele. Tkwię tu, bo czekałem, aż się obudzisz. Aha, wiem już, kto podrzucił obraz do twojego pokoju. Charlie zatrzymała się w pół kroku.
- Kto?
- A kto mógł to zrobić? Tylko jedna osoba, twoja przyjaciółka Gia. Sęk w tym, że nie ona go

rozcięła. Twierdzi, że znalazła go w takim stanie i pomyślała, że należy ci się drobny prezent.

- Wierzysz jej? - Poczekała, aż Maguire zrówna się z nią, i razem ruszyli ścieżką.
- Prawdę mówiąc, tak. Powiada, że jest zbyt pragmatyczna, żeby niszczyć tak cenne dzieło sztuki, które wchodzi w masę spadkową.
- Owszem, potrafi liczyć - przytaknęła Charlie z namysłem. - Czy to ona go ukradła?
- Nie, twierdzi, że go znalazła.
- Kto więc ukradł te obrazy? Domyśla się, gdzie mogą być pozostałe?
- Ani w ząb, skarbie. Zajrzałem do domku madame Antonelli, lecz tam ich z pewnością nie ma. Lauretta miała rację, w tej graciarni nic już się nie mieści, nawet Antonella.
- Miałaś szczęście, że cię nie przytapała, jak myszkujesz po jej włościach. Zawsze miała wybuchowy temperament. Widziałeś obrazy na ścianach? Pompasse podarował jej sporo swoich prac.
- Nie został ani jeden, za to pełno jest tandetnych bibelotów. Uważaj! - zawołał, kiedy Charlie się potknęła. Odzyskała równowagę, zanim zdążył ją podtrzymać.
- W porządku. Jestem jak kozica.
- Widzę, słoneczko. Wnosząc z tego, jak lubisz brać ludzi na rogi...

- Tylko kiedy mam do czynienia z tobą, Maguire
- odcięła się.
I na to właśnie liczył. Do wszystkich poza nim,
wrogów czy przyjaciół, odnosiła się z anielskim
spokojem, i tylko on potrafił grać jej na nerwach.
Osiągnął w tym całym sporą sprawę. Mógł to
uznać za swoje małe zwycięstwo.
Kiedy wreszcie dotarli do willi, panowała
w niej głucha cisza.

- Nikt się nie zamartwiał twoim zniknięciem
- mruknął na poły do siebie.
- A jednak w oknie Henry'ego nadal pali się
światło, gdybyś jeszcze nie zauważył - zwróciła
mu uwagę. - Czekaj na mnie.
- Może. Pozwól jednak, że wejdę pierwszy
i sprawdzę, czy wszystko jest w porządku.
- Co ty sugerujesz, Maguire?
- Nic. Nie chcesz chyba natknąć się na kolejną
niespodziankę, prawda?
- Idź do diabła - prychnęła ze złością i minąwszy
go, weszła do sieni, po czym w ciemnościach
ruszyła schodami w górę.

Nie starała się iść specjalnie cicho, Maguire też
nie, ale to nie miało żadnego znaczenia. Henry
i Gia robili tyle hałasu, że zagłuszyliby kroki
całego tabunu domowników.
Charlie zatrzymała się pod drzwiami swojej
dawnej sypialni. Maguire nie widział w mroku
wyrazu jej twarzy.

Hałasowała głównie Gia, jakby chciała całemu
domowi obwieścić swoją obecność w łóżku Henry'ego,
który wspierał ją swoimi jękami i pomrukami.
Nawet wielkie, ciężkie i zdawałoby się
stateczne łożo ożyło akustycznie.
Maguire musiał oddać Gii, że była skuteczniejsza,
niż mógłby przypuszczać w najdziwniejszych
fantazjach. Widać Henry dojrzał do zerwania.
Czekał, czy Charlie otworzy z impetem drzwi
i zażąda wyjaśnień. Ale właściwie co tu było do
wyjaśniania? Odwróciła się i zeszła na dół, na
taras, z oczami pełnymi łez.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Księżyc już zaszedł i taras tonął w ciemnościach.
Kiedy Charlie mieszkała jeszcze w La
Colombali, często schodziła tu w nocy, żeby się
ukryć. Teraz już nie miała gdzie się skryć.
Domyślała się, że Maguire szedł za nią, po
chwili stanął obok. Nie widziała jego miny, podobnie
jak on nie mógł dostrzec wyrazu jej twarzy.
Z czego mogła się tylko cieszyć.
- I co? - zapytał w końcu.

- Co, co... Że Gia zaciągnęła Henry'ego do łóżka? Co w tym zaskakującego? Jest piękna, a Henry był ostatnio... sfrustrowany. Nic dziwnego, że uległ. - Podniosła głowę, po raz pierwszy w głosie zabrzmiał ból. - Myślałam, że Gia interesuje się tobą.

- Owszem, złożyła mi taką deklarację, poczynąła sobie nawet całkiem ostro. Zdaje się miała nadzieję, że upieczesz dwie pieczenie przy

jednym ogniu, ale nic z tego. Powiedziałem jej, że nie jestem zainteresowany.

- Dlaczego? Jest młoda i piękna.

- Powiedzmy, że mam więcej smaku niż ten fiut, za którego zamierzasz wyjść.

- Nie zamierzam.

- To pierwsza sensowna rzecz, którą powiedziałeś tej nocy.

- Nie mam prawa go poślubić.

- Rany boskie, nie zachowuj się jak idiotka!

- wybuchnął Maguire. - Ten skurwiel wziął pierwszą dupę, jaka mu się nawinęła. W twoim domu, w twoim łóżku, a ty mówisz tylko, że nie masz prawa? Ocknij się, kobieto. Pozbądź się tego napalonego starucha.

- Nie sypiałam z nim.

- I co z tego? Dorosły facet powinien sobie z tym poradzić, a nie lecieć w pierwszą szparę, jaka się pojawi na horyzoncie.

- Maguire! - Charlie była zaszokowana.

- Nie podoba ci się mój język? Potrafię jeszcze lepiej. Każ mu sływać. Niech odbija, bo zamykamy port. Kopa na drogę i adieu. Potrafisz to zrobić, praktykowałeś na mnie.

- Tak, ale ty mnie wcale nie słuchałeś - powiedziała markotnie.

- Bo ja nie jestem Henrym. Nie porównuj nas.

- W głosie Maguire'a zabrzmiała jakaś dziwna nuta, której nie potrafiła... nie chciała nazwać.

- Przestań. Nie chcę, żebyś się nade mną użalał - zażądała.

- Nie użalam się.

- Pewnie myślisz, że to bardzo zabawne.

- Nieszczerólnie. Posłuchaj, skarbie, jest środek nocy. Ucięłaś sobie co prawda długą drzemkę w kościele, ale powinnaś porządnie odpocząć.

Mnie też to się należy. Mam wyrzucić Gię od Henry'ego, żebyś miała spokój?

- Nie - powiedziała. - Chcę spać u ciebie.

Na moment zapadła cisza.

- Nie sądzisz, że to zbyt drastyczne posunięcie?

Nie żebym miał coś przeciwko temu, ale zważywszy na okoliczności...

- Nie z tobą, ośle! Chcę spać w pracowni, a ty możesz przenieść się gdzie indziej. Śpij w moim pokoju, jeśli chcesz.
- Dziękuję, ale nic z tego. Ja też nie mam ochoty wysłuchiwać starczych sapań i młodocianych jęków. Wolę inne kołysanki.
- Śpię w pracowni.
- Dobrze, dobrze. Mogę się przespać w fotelu. Sypiałem już w gorszych warunkach. Przydałaby się tylko paczka papierosów.
- Nie ma mowy.

Charlie czuła się tak, jakby ktoś wypompował z niej całe powietrze. Wszystko, czego dotąd była pewna, rozwiało się. Zbyt długo czekała. Nie chciała całej winy zrzucać na Henry'ego, w końcu

był tylko człowiekiem. Gia z kolei miała nader swobodne obyczaje, gotowa teź była zrobić wszystko, byle zadać Charlie ból.

- Potrzebujesz czegoś? Chcesz jakiś pled? Poduszkę? - zapytała, idąc do wyjścia.
- Nie kłopotz się mną, śliczny skarbieńku.

Poradzę sobie - uspokoił ją.

- Dobranoc. - Charlie weszła do domu, zostawiając Maguire'a na tarasie.

Rozpłakała się dopiero wtedy, kiedy bezsilnie zwała się na stare, podwójne łóżce z zapadniętym materacem. Pojęcia nie miała, skąd Tomaso je wytrzasnął. Skuliła się w zagłębieniu jak w kołysce i rozsłochała się. A jak już zaczęła, nie mogła przestać.

Nie wiedziała, dlaczego właściwie szlocha.

Oplakiwała Pompasse'a? Bezpieczną przyszłość z Henrym, która odpłynęła w niebyt? Samotne dzieciństwo i obecną pustkę? Wszystko jedno. Wtuliła twarz w poduszkę, próbując stłumić łkania, ale im bardziej z nimi walczyła, tym stawały się silniejsze.

Nie usłyszała, kiedy wszedł. Położył się obok niej i otoczył ją ramionami. Szarpnęła się gwałtownie, spanikowana, ale Maguire przygarnął ją mocniej do siebie.

- Uspokój się, to tylko ja - szepnął.
- Wynoś się! - usiłowała powiedzieć, lecz wśród łkań słowa były prawie niezrozumiałe.

- Nigdzie nie pójde. Są w życiu takie chwile, kiedy trzeba trzymać kobietę w ramionach. To właśnie jedna z nich.

- Nie! - Gwałtownie próbowała się uwolnić, ale Maguire był silniejszy.
- Tak - oznajmił stanowczo. - Ktoś powinien być teraz z tobą, więc niech to będę ja. Śpij. Nawet nie zauważyła, że przestała szlochać.

- Mam spać? - powtórzyła zaskoczona.
- Owszem, masz spać. Myślałaś, że przyszedłem z niecnymi zamiarami, złotko? Straszny ze mnie sukinsyn, ale nawet ja znam pewne granice, a ty nie masz teraz ochoty na seks.
- Nigdy nie mam ochoty na seks.
- Tak się tylko mówi - mruknął. - Tymczasem śpij. Nie wyjdę stąd, dopóki nie zaśniesz.
- Nie usnę przy tobie.
- Uśniesz. Zamknij oczy, weź głęboki oddech i nim się obejrzyysz, zaczniesz chrapać.
Raz jeszcze, z zaskoczenia, próbowała wyswobodzić się z objęć Maguire'a, ale sprawa była beznadziejna. Była uwięziona w jego ramionach niczym w kaftanie bezpieczeństwa i nie miała żadnych szans, by się uwolnić z tych okowów.
- Nienawidzę tego, ciebie nienawidzę - rzuciła w zaperzeniu.
- Oczywiście, skarbie - przytaknął rozleniwionym głosem. - Przestań się ze mną kłócić i śpij.

Nie było wyjścia. Mogła liczyć tylko na to, że Maguire'a zmorzy wreszcie sen, gdy ona będzie leżeć bez ruchu, z zaciśniętymi zębami, udając, że odpłynęła w krainę narzeń.

Dobrze przynajmniej, że położył się w ubraniu. Miał na sobie bawełniany T-shirt, ale nic na nogach i...

- Co to jest? - zapytała ostrym tonem.
- A jak myślisz? Doskonale wiesz co, tylko tego nie lubisz.
- Jesteś obrzydliwy. Wynoś się z mojego łóżka.
- To moje łóżko i nigdzie się nie wyniosę. To absolutnie naturalna reakcja, kiedy leży się obok kobiety, co nie oznacza, że noszę się z jakimiś zamiarami wobec szanownej pani. Śpij już.
- Ja nie chcę...
- Jeśli dalej będziesz tak paplała bez sensu, zmusisz mnie, żebym się zastanowił, jak umilić nam czas pogawędki.
Natychmiast zamilkła. Jakoś to przetrwa. Wszystko przetrwa... Tyle już przetrwała. Tyle zamachów na swój kruchy spokój.
Zamknęła oczy. Starła się myśleć o czymś miłym: padającym śniegu, gajach oliwnych, szumiących falach oceanu. W końcu poczuła, że jej mięśnie się rozluźniają. Bezwiednie, miękko i całkiem niewinnie przytuliła się do Maguire'a.
- Maguire? - szepnęła sennie.

- Hm?
Właściwie nie wiedziała, co chciała powiedzieć,

ale słowa przyszły same.

- Dziękuję.

Cisza, potem nieznaczące poruszenie. Przygarnął ją bliżej, poprawił się, dopasowali się do siebie. Było jej tak wygodnie...

- Cała przyjemność po mojej stronie, skarbie.

Obudziła się szarym świtem. Przez moment nie wiedziała, co się stało. Powoli uświadamiała sobie, gdzie jest, jak i dlaczego tu się znalazła.

W nocy musiała się obrócić i teraz leżała twarzą do Maguire'a z dłońmi wsuniętymi pod jego T-shirt. Nogi oplótła wokół jego nóg, a jego usta znajdowały się zaledwie kilka centymetrów od jej ust. Leżał bez ruchu i przyglądał się jej równie nieruchomym spojrzeniem.

Wiedziała, że Maguire się nie poruszy, że będzie dalej się w nią wpatrywał i czekał, aż ona wykona pierwszy ruch. Bo oczywiście był pewien, że w końcu go wykona.

Okazało się to zaskakująco łatwe, a zarazem najtrudniejsze w świecie. Chciała go pocałować, poczuć jego usta. Rzecz tak prosta i tak skomplikowana, lecz jednak wykonywalna. Zbliżyła głowę i musnęła wargi Maguire'a.

Świat się nie skończył. Jej ciało nie zamieniło

się w słup soli, żołądek się nie przeniecował.

Odsunęła się odrobinę i spojrzała na Maguire'a.

Nie odezwał się słowem, cały czas czujny, niezmiennie cierpliwy. Pocałowała go znowu, lecz tym razem trwało to trochę dłużej.

Przyglądała mu się w szarym świetle brzasku, wypatrując jakiegoś znaku, ale nie doczekała się żadnego.

Maguire po prostu był, niczym idea obecności, był dla niej i pozwalał jej robić, co chciała.

Kolejny pocałunek. Tym razem Maguire odpowiedział długim, gorącym i wilgotnym pocałunkiem.

Poczuła, jak potężny dreszcz wstrząsnął jej ciałem. Przez moment chciała się odsunąć, ale potem wyciągnęła dłonie spod jego T-shirtu i zarzuciła mu na szyję.

Przyciągnęła go do siebie tak blisko, że jego głowa przesłoniła światło, przesłoniła wszystko wokół.

Pieścił ją, wodził dłońmi po jej ciele, a Charlie mu pozwalała. Podniósł się na łokciach, ściągnął T-shirt i zaczął wprawnymi palcami rozpinać bluzkę Charlie.

Otworzyła usta, żeby powiedzieć „tak”, kiedy drzwi od strony tarasu rozwarły się z impetem i pracownię zalało poranne światło. Maguire obrócił się gwałtownie, zasłaniając sobą Charlie

przed wzrokiem intruza.

- W domu jest policja. - Głos Olivii był chłodny, beznamiętny. - Od wczorajszego popołudnia nikt nie widział Charlie. Zaczynam się niepokoić.

- Policja szuka Charlie? - zapytał Maguire, zastaniając ją cały czas.

- Nie. Chodzi o Pompasse'a. Podejrzewają, że to mogło być morderstwo. Wreszcie się obudzili. Rozmawiają teraz z Henrym, ale bardzo ich zainteresowała twoja osoba, więc przygotuj się na miłą pogawędkę. - Olivia podeszła bliżej. - Na pewno nie widziałeś Charlie?

- Na pewno to wiem, że nic złego się jej nie stało. A teraz wyjdź stąd, do diabła. Ubiorę się i zaraz przyjdę do willi porozmawiać z policją. Nie życzę sobie przy tym żadnych świadków.

- Nie wyglądasz na zbyt nieśmiałego chłoptysia, Maguire.

- Do diabła, idź stąd!

- Idę. Byłoby dobrze, gdyby Charlie jednak pojawiła się niebawem w willi. Jeszcze policja wyciągnie fałszywe wnioski.

Ledwie zamknęły się drzwi za Olivią, Charlie wyskoczyła z łóżka tak szybko, że trzasnęła kolanami o kamienną posadzkę. Klęczała przez moment, zastaniając się ramionami.

Maguire usiadł na łóżku.

- Nie patrz tak na mnie - zirytował się. - Nie ja zacząłem.

- Ale miałeś zamiar dokończyć - szepnęła ledwie słyszalnie.

- A ty nie miałabyś nic przeciwko temu - odrzucił piłkę.

- Wynoś się!

- I zaczynamy wszystko od początku. -W jego głosie było tyle znużenia, że gdyby miała coś pod ręką, rzuciłaby w niego bez chwili namysłu. Niestety w pracowni było tylko łóżko. Cholerne łóżko, ciepłe, miękkie, zapraszające.

Charlie zamknęła oczy, jakby chciała odciąć się od wszystkiego, co zaszło. W chwilę później coś poleciało w jej stronę. To Maguire rzucił jej bluzkę i stanik. Sam był już ubrany, zapinał właśnie dzinsową koszulę i miał dość ponurą minę.

Ciągle stała bez ruchu, przyciskając do piersi T-shirt. Maguire otworzył drzwi i pracownię raz jeszcze zalał potok światła. Już chyba południe, pomyślała Charlie żałośnie.

Maguire podszedł do niej, wziął za ramiona i obrócił ku sobie.

- Zapamiętaj sobie jedno - prychnął. - Podobało ci się to. - Swoje słowa poparł długim, głębokim, twardym pocałunkiem. Odsunął się o krok i spojrzał jej w twarz.
- Miło było cię poznać - powiedział i wyszedł. Charlie stała bez ruchu, drżąca, z T-shirtem przyciśniętym do piersi.

Miał zamiar wsiąść do samochodu i odjechać. Wcześniej już wrzucił do bagażnika swoje rzeczy, gotując się do szybkiej ewakuacji. Lecz nic z tego, bo podjazd blokowały trzy wozy policyjne, a na tarasie kręciło się kilku uzbrojonych dżentelmenów. Mógłby spróbować przemknąć się na tyły domu i pójść w stronę kościółka, by tym sposobem wydostać się z opresji, ale jak miał zostawić wszystkie zebrane dotąd materiały i samochód? Tak czy inaczej, zabawa się skończyła. Dzięki Bogu nie złamał prawa, więc po prostu wykopią go z willi, dodając miłe epitety. Za wcześnie jak na jego zamiary, ale trudno. W głębi duszy był nawet zadowolony z takiego obrotu sprawy. Powinien uciec od Charlie, zanim zbytnio się zaangażuje. Miała na niego cholernie zły wpływ. Przy niej zamieniał się w sentymentalnego mięczaka, a on nie mógł sobie pozwolić, żeby sentymenty stawały mu na drodze. Jakie szczęście, że ta suka Olivia im przeszkodziła. Dał Charlie przedsmak tego, czym może być seks. Teraz, kiedy już dowiedziała się, jak smakuje rozkosz, niech poszuka kogoś, z kim będzie mogła jej zaznać. Pod warunkiem, że facet nie będzie dupkiem pokroju Henry'ego. Ciągle nie mógł uwierzyć w to, co się stało. Zagotowała się, kiedy ją całował. Wystarczył

pocałunek... Czuł, jak jej ciałem wstrząsał dreszcz.

Zbyt długo wypierała swoją seksualność, hamowała ją, i teraz była gotowa eksplodować przy pierwszym dotknięciu. Potrzebowała tylko kogoś, kto wiedziałby, jak się z nią obchodzić.

Ale to na pewno nie będzie on.

Za chwilę Charlie dowie się, jakie z niego straszne gówno, i nigdy już na niego nie spojrzy, a tym bardziej nie dotknie.

No i bardzo dobrze. Tylko tego brakowało, żeby zakochała się w nim nadwrażliwa kobieta-dziecko, jaką była Charlie. A zakochałaby się po pierwszym wielkim, kosmicznym orgazmie. On zaś on lubił swoje samotnicze życie i nie chciał z nikim się wiązać. To była ostatnia rzecz, o której mógłby pomyśleć, natomiast Charlie

niczego tak nie potrzebowała, jak trwałych więzów i solidnego oparcia. Nie byli więc dla siebie stworzeni, delikatnie mówiąc.

Na tarasie zebrały się kobiety Pompasse'a. Lauretta jak zwykle usiłowała uspokoić kłótniawą Antonellę, Gia paliła papierosa, a Olivia wpatrywała się w przestrzeń.

- Dobrą miałeś noc, Maguire? - powitała go

Gia wyzywająco. - Bo ja tak.

- Domyślam się - odpowiedział chłodno.

- Wiem. Słyszałam, jak wchodzicie na górę.

Mam nadzieję, że biedna Charlie nie była zbyt przybita.

- Przeżyła.

Fanfaronada Gii jakby trochę przygasła, satysfakcja przestała być oczywista.

- Nie próbuj mi powiedzieć, że się z nią przespałeś. Za dobrze ją znam.

- Nie wątpię, Gia.

- Za pozwoleniem - wtrąciła Olivia. - Mówicie o mojej córce.

Maguire rozejrzał się, oceniając sytuację. Jego zdezelowanego fiata blokowały wozy policyjne, ale przy odrobinie szczęścia mógłby wylawirować z podjazdu.

Prędzej czy później będzie musiał odpowiedzieć na pytania policji, lecz teraz myślał tylko o tym, żeby wydostać się z La Colombali, zanim ktokolwiek zorientuje się, kim jest naprawdę.

Zanim Charlie zdąży się dowiedzieć, jaki z niego parszywy kłamca.

Nalał sobie mocnej, przygotowanej przez Laurettę kawy. Charlie robiła znacznie lepszą. Trudno oprzeć się kobiecie, która potrafi parzyć naprawdę dobrą kawę.

Niech to wszyscy diabli, w Charlie było wiele rzeczy, którym trudno się oprzeć. Powinien jak najprędzej o niej zapomnieć.

- Co robi policja?

- Rozmawiają z Henrym - rzuciła Olivia.

262

- Najwyraźniej narzeczony mojej córki ma im wiele do powiedzenia.

- O Pompassie? Wydawało mi się, że szanowny pan Richmond nie znał starego capa.

- Ależ nie, Maguire, nie o Pompassie. - Olivia spojrzała mu prosto w oczy. - Myślę, że rozmawiają o tobie.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

- Skoro tak, to przejdę się trochę - powiedział Maguire leniwym głosem i akurat w tej samej

chwili na tarasie pojawiła się Charlie.

Drżącymi rękami nałożyła ubranie, po czym przemknęła do domu od tyłu. Miała iść na górę, gdy zza zamkniętych drzwi jadalni doszedł ją głęboki, starannie modulowany głos Henry'ego i włoskie słowa wyrzucane przez tłumacza z szybkością karabinu maszynowego.

Usłyszała nazwisko Maguire'a i dalej już nie miała ochoty słuchać. Chciała się odwrócić i uciec, lecz niestety dojrzała ją Gia. Na jej ustach pojawił się koci uśmiech.

- Pan tu zostanie, signora. - Jeden z policjantów zablokował drogę Maguire'owi. - Zaraz będą z panem rozmawiać.

Charlie poczuła na sobie jego spojrzenie, ale nie podniosła wzroku. Nie była w stanie spojrzeć

w ciemne, nieprzeniknione oczy, nie chciała wspominać tego, co zaszło... co prawie zaszło między nimi dwójkiem.

- Do diabła, gdzieś ty się podziewała, Charlie?

- napadła na nią matka. - Henry umierał z niepokoju.

- Zapewne - ucięła ostro i podeszła do stołu, żeby nalać sobie kawy.

- Masz na sobie te same rzeczy co wczoraj

- zauważyła Gia złośliwie. - Gdzie spędziłaś noc?

Wszyscy nastawili uszu, czekając na odpowiedź, nawet policjanci wydawali się zainteresowani tym, co zaraz mieli usłyszeć. Jeśli nie odpowie zaraz, Maguire gotów ogłosić wszem i wobec prawdę o nocnych wypadkach.

- Spędziłam noc w kościółku. Lubię tam chodzić i pobyć sama. W domu jest teraz tyle osób.

- Uśmiechnęła się z przymusem. - No i z tego wszystkiego zasnąłam na ławce. - Przynajmniej to jedno nie było kłamstwem.

- Tam nie jest bezpiecznie, signora Charlie.

Powinnaś o tym wiedzieć - odezwała się Lauretta.

- Cały czas osypuje się gruz. Przytrafiłoby się nieszczęście i nikt nie wiedziałaby, gdzie cię szukać.

- To nieprawda - wtrąciła Gia. - Teraz już wszyscy będziemy wiedzieli, gdzie jej szukać, kiedy zniknie.

W głosie Gii zabrzmiała wyraźna pogróżka.

Charlie przeklęła się w duchu. Co prawda nie wierzyła, aby ktoś nastawał na jej życie, ale oto skończyły się samotne wyprawy do kościółka, których cała przyjemność polegała na tym, że nikt nie wiedział, gdzie Charlie się podziewa.

Teraz, jak powiedziała Gia, wiedzieli wszyscy,

choć wątpliwe, by komuś chciało się iść jej tropem.

Maguire co prawda to zrobił, ale akurat on nie zniszczył uroku miejsca. Zerknęła w jego stronę i spochmurniała. Chyłkiem przesunął się ku zejściu z tarasu. Była pewna, że zamierza uciec.

- Signore Maguire.

Policjanci, którzy rozmawiali z Henrym, wyszli z jadalni, a wraz nimi Henry z wielce zadowoloną miną. Zważywszy, jak spędził ostatnią noc, miał ku temu wszelkie powody, pomyślała Charlie z przekąsem, chociaż prawdę mówiąc, u przyzwoitego człowieka skrucha byłaby bardziej na miejscu. Ale gdyby Henry był przyzwoitym człowiekiem, nie miałby powodów do skruchy.

Maguire zamarł niczym dziki jeleń pochwycony przez reflektory samochodowe.

- Tak?

- Pan Richmond mówi, że nie jest pan tym, za kogo się podaje - przemówił *poliziotto* o surowej 266

twarzy i w nieco operetkowym mundurze, najwyraźniej najważniejszy wśród przybyłych.

- Twierdził pan, że pracuje dla firmy ubezpieczeniowej, tymczasem jest pan paparazzi.

- Jestem reporterem - sprostował Maguire urażonym tonem.

- Najbardziej plugawego brukowca na międzynarodowym rynku wydawniczym - dodał

Henry. - Nadużył pan zaufania mojej narzeczonej, wkradł się tutaj tylko po to, żeby opisać życie seksualne Pompassé'a. Policja poinformowała mnie, że nie mogę pozwać pana do sądu, potrafię jednak inaczej panu zaszkodzić. Wykończę pana.

Maguire podszedł do niego tak energicznie, że Henry cofnął się nerwowo o krok.

- Ty i kto jeszcze, kolego?

- Och, powinnam była od razu się domyślić, że nie jest pan urzędnikiem! - zawołała zafascynowana Olivia.

- Powinien pan stąd jak najszybciej wyjechać, signore Maguire - oznajmił policjant z uroczystą powagą. - Najpierw jednak chcielibyśmy chwilę z panem porozmawiać. Musimy skonfiskować pana notatki i zdjęcia.

- Zdjęcia? - powtórzyła Charlie słabo i to były pierwsze słowa, które zdołała wymówić.

- Nic nie skonfiskujecie - zachnął się Maguire.

- Nie ma nic do skonfiskowania. Nie robiłem żadnych notatek.

- Laptop - powiedziała Charlie. - Sprawdźcie,

co ma w laptopie.

- Nie mogą tego zrobić bez nakazu prokuratora.

- Maguire odwrócił się i spojrzał na nią.

W jego wzroku nie dostrzegła prośby o wybaczenie.

- A żadna inna gazeta nie ma tak dobrych prawników jak „Starlight”.

- „Starlight”? - Charlie nie brała brukowców do ręki, ale „Starlight” cieszył się tak złą sławą, był tak głośny i popularny, że nawet ona o nim słyszała. Oczywiście wszystko co najgorsze.

- Nie zapominaj, Maguire, że właśnie masz przed sobą bardzo dobrego prawnika.

- Proszę opuścić ten dom. Proszę. - Charlie mówiła spokojnym, opanowanym głosem. Znowu otoczyła się tym spokojem i opanowaniem niczym opończą, przez którą nic nie jest w stanie przeniknąć. Nic i nikt.

Maguire odwrócił się bez słowa, zszedł z tarasu, dotarł do swojego zardzewiałego fiata, zatrzymał się, przez długą chwilę patrzył jeszcze na Charlie, po czym wsiadł do samochodu i odjechał.

- Marco, Adolfo, dopilnujcie, żeby signore Maguire jak najszybciej opuścił granice posiadłości

- polecił policjant o surowej twarzy. - Signora Pompasse, pozwoli pani z łaski swojej, ale mamy do pani kilka pytań.

Charlie spojrzała po raz ostatni za odjeżdżającym

fiatem. Pędzi, jakby go diabeł gonił, pomyślała.

Gotów się rozbić, zanim jeszcze dotrze do drogi. I oby tak się stało.

Odwróciła się do policjanta z uśmiechem.

- Oczywiście.

Maguire zdołał zgubić policyjną eskortę, zanim dojechał do Geppi. Nie musiał tego robić, ale fakt, że udało mu się odbić od wozu policyjnego i uciec skrótami, sprawił mu przyjemność.

Chciał jak najszybciej dotrzeć do swojego mieszkania we Florencji i przesłać wszystkie zebrane materiały e-mailem do redakcji, a dla siebie zrobić kopie zapasowe, na wypadek gdyby włoski wymiar sprawiedliwości okazał się bardziej energiczny w działaniu niż zwykle.

Niezależnie od e-maila chciał też zadzwonić do Gregory’ego i powiedzieć mu, co się stało. Źle się stało, to jasne. Cofał się, zamiast posuwać do przodu. Może powinien skasować wszystko, co miał na dysku, i powiedzieć Gregory’emu, że nie będzie ociekającego seksem hitu o babach Pompasse’a, nie będzie książki, nic nie będzie.

I co dalej? Gregory wiedział, ile materiału Maguire zgromadził. Byli w stałym kontakcie, Maguire informował go na bieżąco o swojej pracy. Zaginione obrazy, były kochanki mieszkające

w La Colombali, tajemnicza śmierć malarza, to były tematy zbyt nęcące, żeby teraz z nich zrezygnować. Jeśli Maguire się wycofa, Gregory

wynajmie kogoś innego, kto skleci serię artykułów z istniejącego materiału.

Było przynajmniej kilkunastu reporterów, którzy interesowali się śmiercią Pompasse'a i wszelka donkiszoteria nie miała najmniejszego sensu.

Poza tym akurat rycerskość nie wchodziła w skład zestawu cech Maguire'a.

Charlie zamierzała wyjść za starego capa, wreszcie przejrzała na oczy, co jest wymierną korzyścią, prawda? Ludzie dokonują w życiu różnych wyborów i płacą za nie określoną cenę. Co z tego, że cena, jaką przyszło zapłacić Charlie, była trochę wygórowana? Co z tego, że on sam wszedł do gry i podbił stawkę? Teraz to już nie jego problem.

Nie spodziewał się zobaczyć jej nigdy więcej i mógł uważać to za błogosławieństwo. Drażniła go, zachodziła mu za skórę, sprawiała, że zaczynał myśleć o sprawach, na które nie było miejsca w jego samowystarczalnym świecie.

Nie, jeśli chciał być szczery, nie mógł całej winy składać na karb Charlie. Od dawna był wypalony, gotów cisnąć wszystko w diabły i wracać do Australii. Liczył na materiał o Pompasse dla „Starlight” i na książkę, która zapewniłaby mu dostatnie życie na wiele lat.

Lecz nie potrzebował pieniędzy na powrót do Australii. Praca czekała, mógł wybierać i każdy wydawca chętnie opłaciłby bilet. Mógł nadal

uprawiać dziennikarstwo albo przenieść się na farmę, której był współwłaścicielem razem z bratem.

Mógł zostać ranczerem, hodować bydło i pieprzyć wszystko. W tej chwili to ostatnie rozwiązanie wydawało się najlepsze. I najłatwiejsze.

Dość tych wszystkich cholernych komplikacji.

Przedtem jednak musi zakończyć cały ten bałagan z Pompasse'em. Zbyt się w to wszystko zaangażował, zbyt wiele namotał. Nie zostawi sprawy, dopóki nie znajdzie odpowiedzi na dwa pytania: gdzie są obrazy i kto zabił starego? I co, u diabła, robi, jeśli nigdy nie zobaczy już Charlie?

Na razie powinien jak najszybciej wrócić do swojego mieszkania i zadzwonić do Gregory'ego. Dlaczego więc do cholery jeździł w kółko, ukrywał swojego rozklekotanego fiata w jakimś zaułku, a teraz siedzi w kawiarni i gapi się na drogę do La Colombali?

Charlie robiła to, co zawsze robiła w chwilach

głębokiego stresu. Kiedy policjanci skończyli wreszcie krótkie i pełne szacunku przepytanie, poszła prosto do kuchni.

Olivia zastała ją przy wielkim stole, jak w wielkim zapamiętaniu zagniała ciasto chlebowe.

Całą twarz miała umorusaną mąką. Ubranie prezentowało się niewiele lepiej, a w kuchni panował przeraźliwy, wręcz totalny chaos.

- Charlie, a niech to, zawsze byłaś straszną bałaganiarą - zauważyła - Powinnaś być posłać cię do Cordon Bleu², tam przynajmniej nauczyliby cię sprzątać po sobie.

Charlie nie podniosła nawet głowy.

- W Cordon Bleu są ludzie, którzy robią za ciebie brudną robotę i sprzątają. Poza tym kiedy już miałam tyle lat, że mogliby mnie przyjąć, byłam żoną Pompasse'a.

- Niestety - westchnęła Olivia, sadwiąc się na blacie kuchennym, którego kawałek jakimś cudem pozostał wolny. Najwyraźniej gotowała się do pogawędki z córką. - Pamiętam, jak mieszkaliśmy w tym strasznym domu na przedmieściu, w Greenwich czy coś takiego. Byłam wtedy żoną... no, jak mu tam? Nieważne. Miałaś wtedy siedem lat. Kupiłam ci kuchenkę dla dzieci, zresztą wyjątkowo paskudną. Spędzałaś przy niej każdą wolną chwilę, wypiekałaś ciasteczka, które miały smak wiórów, i kazałaś mi je zjadać.

- A ty byłaś wtedy na diecie i wszystko cię denerwowało - przypomniała Charlie.

- A ty, z powodu byle głupstwa, szukasz pociechy w jedzeniu. Powinnaś się cieszyć, że masz zdrowy układ pokarmowy.

- Nie nazwałabym tej sytuacji byle głupstwem.

² Cordon Bleu - międzynarodowa sieć ekskluzywnych, elitarnych szkół kulinarnych, którym początek dała pierwsza założona w Paryżu w 1895 r. (przyp. tłum.)

Poza tym nie jem, tylko przygotowuję jedzenie. A tak naprawdę uciekłam do kuchni, żeby być sama - oznajmiła Charlie chłodnym tonem, nie przerywając zagniatania ciasta.

- Wiem, ale nie chcę, żebyś była sama. Jak zamierzasz postąpić z Henrym?

- Co masz na myśli?

- Doskonale wiesz, co mam na myśli. Wszyscy w domu wiedzą. Masz zamiar mu wybaczyć, czy zerwiesz zaręczyny?

Charlie zerknęła na matkę.

- Jestem pewna, że wyrobiłaś już sobie zdanie w tej materii i teraz nie możesz się doczekać, żeby się nim ze mną podzielić.

Olivia wzruszyła ramionami.

- Chcę tylko twojego dobra.

- Nie wątpię.
- Wyobraź sobie, że tak. Nigdy nie potrafiłyśmy się porozumieć. Chyba byłam zbyt samolubna, żeby być dobrą matką, ale to nie znaczy, że mi na tobie nie zależy. Martwię się o ciebie, kochanie. Nie chcę, żebyś popełniła kolejny błąd. Charlie dobrze znała matkę i nawet nie próbowała ukryć niedowierzania.
- Tylko nie mów, że sama masz ochotę wyjść za Henry'ego. Jak na twój gust jest za stary.
- Ciągle jesteś przekonana, że chciałam Pompasse'a dla siebie? - Teraz w głosie Olivii zabrzmiało niedowierzanie.

- A z jakiego innego powodu tu przyjechałyśmy? No i dlaczego dostałaś ataku hysterii, krzyczałaś, wściekałaś się, kiedy ci powiedziałam, że za niego wychodzę?

Olivia pokręciła głową.

- Wy, młodzi, macie na wszystko gotową odpowiedź. Oczywiście, że miałam ochotę na romans z nim. Był sławny, fascynujący, a ja wtedy byłam na etapie uganiania się za sławami, ale nigdy nie zamierzałam wychodzić za niego. I nigdy nie chciałam tego dla ciebie.

- A jednak zostałam jego żoną. Nie mogłaś mnie powstrzymać.

- Wiem, i bardzo tego żałuję.

Charlie poderwała głowę, na chwilę zapominając o cieście.

- Coś ty powiedziała?

- Żałuję, że nie mogłam cię powstrzymać.

Ten człowiek miał obsesję na twoim punkcie.

Mogłam tylko łudzić się, że skoro już doszło do małżeństwa, będzie cię wielbił jak boginię. Tymczasem zgotował ci paskudny los.

- To nie był paskudny los - powiedziała

Charlie nieobecny głosem, wciąż myśląc o słowach matki. - Nigdy wcześniej za nic nie przeproszałaś.

Olivia zaśmiała się.

- Nie? Cóż, już taka ze mnie arogancka jędza, trudno zaprzeczyć. I żadna matka. Jestem samolubna,

chciwa, zajęta wyłącznie sobą. Chyba nigdy nie zdarzyło mi się, żebym twoje dobro postawiła na pierwszym miejscu, przed swoim.

- Zgadza się.

- To jednak wcale nie znaczy, że cię nie kocham, Charlie.

Spojrzała uważnie na Olivię.

- A jak byś zdefiniowała tę miłość? Kochać kogoś to dbać o niego, poświęcać się, przedkładać szczęście drugiej osoby nad swoje, czy nie tak?

Tobie nic takiego nigdy się nie zdarzyło.

- Nie zdarzyło się - przyznała Olivia. - Pomimo wszystko kocham cię.
Charlie wyprostowała się.
- Jestem wzruszona.
- Mam tylko ciebie, Charlie.
- Czyja to wina?
- Moja, oczywiście że moja. - Olivia zręcznie zsunęła się z blatu. - Pomyślałam, że powinnam ci to powiedzieć. Może ta informacja przyda ci się kiedyś w życiu. Może trudno w to uwierzyć, ale twoja wredna matka cię kocha.
- Wspaniale.
- Ot, nie ma to jak czułość. Wzruszająca chwila pogodzenia matki z córką - powiedziała Olivia lekko. - Jaki Maguire jest w łóżku?
- Sama sprawdź - odpaliła Charlie.
- Pomijając fakt, że nie wiem, gdzie go szukać, nie jestem zainteresowana. Znasz mnie, lubię

bezmózgich mięśniaków. Maguire mógłby ująć jako mięśniak, ale dla mnie jest zbyt skomplikowany. Ale ty mogłabyś sobie z nim poradzić.

Charlie długą chwilę wpatrywała się w matkę ze zdumioną miną.

- Czyś ty zwariowała? To reporter z brukowca! Okłamał nas, wykorzystał, żeby opublikować małe sekrety Pompasse'a w jakimś obleśnym piśmie. Pewnie zrobił ci zdjęcia pod prysznicem.

- A tobie w łóżku. Zgoda, to łobuz i powinien ponieść karę, ale nigdy nie widziałam, żeby ktoś patrzył na ciebie tak jak on, oczywiście kiedy myślał, że nikt nie widzi.

- Nie chcę tego słuchać.

- Jasne, że nie, skarbie - przytaknęła Olivia.

- Ty wszystko wiesz lepiej. Czasami jednak powinnaś brać pod uwagę alternatywne odpowiedzi. Sprawy nie zawsze mają się tak, jak się nam wydaje. - Co rzekłszy, Olivia wyszła z kuchni, zanim Charlie zdążyła odpowiedzieć.

Typowe. Olivia uwielbiała teatralne efekty, zawsze musiała mieć ostatnie słowo i wielkie zejście ze sceny. Prawdopodobnie oczekiwała, że Charlie rzuci się jej na szyję i popłacze ze szczęścia, bo oto pod skorupą patologicznego samouwielbienia tliło się jednak uczucie do córki. Nie do wiary.

Charlie zbyt długo zdana była na siebie, żeby teraz nabrać się na deklaracje matki. Pomyśleć,

w Olivii odezwały się sentymenty wobec jedynej latorośli. Jakieś zaburzenie hormonalne, które minie, kiedy na horyzoncie pojawi się kolejny jurny młodzieniec. Charlie miała w tej chwili zbyt wiele problemów na głowie, żeby zajmować się

przemianami wewnętrznymi swojej matki. Przez kilka minut wyładowywała w samotności swój gniew na cieście, gdy w drzwiach kuchni stanął Tomaso z mocno zafrasowaną miną na ogorzałej od słońca twarzy.

- Nikt tego nie będzie chciał jeść, signora Charlie - zauważył. - Wgniatasz w to ciasto tyle złości, że ludzie się nim potrują, jak mawia Lauretta.

- Szkoda, że Maguire wyjechał, moglibyśmy napaść go tym chlebem - warknęła.

- O tym właśnie chciałem mówić.

Charlie westchnęła.

- Ty też, Tomaso? Ledwie przebrnęłam przez rozmowę z policją, potem z moją matką. Nie chcę nawet myśleć o tym człowieku, a już tym bardziej o nim rozmawiać.

- Nie, nie chodzi o Maguire'a, Charlie, tylko w ogóle. Wszyscy powinni wyjechać z La Colombali, i to szybko.

Charlie wpatrywała się w ciasto. Tomaso miał rację, powinna podać swój chleb Henry'emu i Gii, ale aż tak jej nie obchodzili. Wyrzuciła ciasto do wiadra na kompost i przypomniała

sobie, że tydzień wcześniej zachowała się podobnie, kiedy usłyszała o śmierci Pompasse'a. Może powinna zrezygnować z wypiekania chleba? Albo przynajmniej lepiej panować nad emocjami. Ocknęła się z zamyślenia.

- Wyjechać? Dlaczego? Nie pochowaliśmy jeszcze Pompasse'a. Dokąd mielibyśmy pojechać?

- Widzisz, *cara*, z madame Antonellą mamy coraz więcej kłopotów. W ostatnich miesiącach niedomagała, a śmierć pana dołożyła jeszcze swoje. Słyszałaś ją, nic, tylko będzie gadać o morderstwie, dziwkach i takich tam. Nie czuje się bezpieczna, kiedy po domu kręcą się obcy ludzie, a dla niej teraz każdy jest obcy. Kiedy wszyscy wyjadą, wreszcie uspokoi się i będzie taka jak dawniej. No, nie taka rozdrażniona. Boję się, że z tego całego zamieszania zrobi sobie jakąś krzywdę. Charlie westchnęła.

- Nie mogę wyrzucić mojej matki i Henry'ego, Tomaso, nawet gdybym chciała. Jeśli uważasz, że z madame Antonellą jest aż tak źle, może powinniśmy zastanowić się nad umieszczeniem jej w jakimś pensjonacie, gdzie miałyby stałą opiekę. Nie ma jeszcze osiemdziesięciu lat, ale czasami sprawia wrażenie o wiele starszej. Powinna zamieszkać gdzieś, gdzie by się nią zajęto.

- Charlie! - Tomaso był wstrząśnięty. - Niech

cię Bóg broni, żebyś powiedziała coś podobnego przy Lauretce. Pan obiecał madame, że będzie miała do końca życia dach nad głową tutaj, w La Colombali. Przez całe swoje życie był jej bardzo oddany. Nie możesz odesłać madame nie wiadomo gdzie.

- Nie chcę jej nigdzie odsyłać, chcę tylko, żeby miała dobrą opiekę - powiedziała Charlie zmęczonym głosem.

- Ona nigdy... - Zanim Tomaso zdążył skończyć zdanie, do kuchni weszła madame Antonella. Spojrzała obojętnie na Charlie i utkwiała wzrok w Tomasie.

- Gdzie Lauretta? Chcę już wracać do domu

- oznajmiła władczy tonem.

- Lauretta jest właśnie w domku - wyjaśnił Tomaso z szacunkiem. - Odprowadzę panią, madame. Proszę się pożegnać z Charlie.

- Charlie? - Na twarzy starej damy odmalowało się zakłopotanie, była wyraźnie zbita z tropu.

- Kto to jest?

- Żona pana. Pamięta pani Charlie, madame. Mieszkała tu z nami.

Antonella wpatrywała się przez chwilę w Charlie, po czym pokręciła głową.

- Ona nie jest jego żoną - oznajmiła stanowczo.

- Przestań mnie denerwować, tylko odprowadź mnie do domu.

Nie czekając na Tomasa, ruszyła przed siebie krętą żwirową ścieżką.

- Nie słyszała chyba, co mówiłam, jak myślisz?

- szepnęła Charlie zafrasowanym tonem.

Tomaso pokręcił głową.

- Jest przygłucha, a my rozmawialiśmy po angielsku. Poza tym nie bardzo wie, co się dookoła niej dzieje. Zważ, co powiedziałem. Martwimy się o nią z Laurettą, ale nigdzie jej nie oddamy. To wy musicie wyjechać. I to szybko.

Poszedł za Antonellą, wspinającą się wolno zboczem wzgórza.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Zbierało się na deszcz. Kiedy Charlie uprzątnęła wreszcie pobożowisko w kuchni, niebo było ołowiane, ciężkie od chmur.

Dziwne, pomyślała, mieszkała siedem lat w Toskanii i nie pamiętała, żeby kiedyś padało.

A przecież musiało padać, inaczej zbiory nie byłyby tak urodzajne. Ilekroć jednak wracała myślami do Toskanii, widziała tylko czyste błękitne niebo i prześwietlające wszystko słońce.

Willa zdawała się wymarła, ale Charlie wiedziała, że to tylko miłe złudzenie, które zaraz się rozwieje. Laretta i Tomaso byli w domku Antonelli i zapewne usiłowali uspokoić kłótną madame. Olivia zrobiła sobie sjęstę. Nigdy, w żadnej sytuacji i dla żadnej, choćby najbardziej niezwykłej i naglącej przyczyny, nie rezygnowała z popołudniowego odpoczynku. Nie odmówiłaby sobie drzemki ani dla miłości, ani dla pieniędzy. Nawet

dla pieniędzy, które miały dla niej nieporównywalnie większe znaczenie niż tak zwana miłość.

Charlie ciągle nie mogła się otrząsnąć po dziwnej rozmowie z matką. Olivia nigdy dotąd nie powiedziała, że ją kocha, w każdym razie Charlie nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek podobna deklaracja padła z jej ust. Olivia nie należała do osób szczególnie wylewnych, poza tym nigdy nie lubiła dzieci.

Ciągała ze sobą córkę po całej Europie, jakby to był pudelek. Strzegła jej niczym sokolica, czasami się rozczulała... i szybko zostawiała pod opieką innych. Miała takie wypełnione życie. Charlie wreszcie straciła rachubę szkół, do których chodziła, krajów, w których mieszkała, i tatusiów, których fundowała jej Olivia. Mając czternaście lat, wiedziała już, że jeśli chce przetrwać u boku matki, musi liczyć wyłącznie na własne siły.

Żyła w przekonaniu, że tak jest jej dobrze, że tego właśnie chce, ale była coraz bardziej zmęczona bezustannym poleganiem na samej sobie.

Chciałaby choć raz stracić opanowanie, wybuchnąć, dostać porządnego ataku histerii i przestać wreszcie podejmować decyzje na własną rękę.

Było to oczywiście niemożliwe. Za bardzo czuła się odpowiedzialna, za siebie, za ludzi,

którzy dla niej pracowali. Nieważne, że miała teraz ochotę wskoczyć do samochodu, odnaleźć Maguire'a i rzucić mu prosto w twarz, co o nim myśli. Podstępny kłamca. Oszust. Węszący w cudzych domach, pożałuj Boże, reporter. Trupojad, hiena cmentarna! Wykorzystał ją, wykorzystał jej głupotę i Bóg wie jak daleko by się posunął, gdyby Olivia z właściwą sobą delikatnością w odpowiedniej chwili nie wtargnęła do pracowni.

Oddałaby teraz wszystko, żeby dać ujście swojej wściekłości.

Matka uratowała ją w samą porę i już tylko za to Charlie powinna być jej wdzięczna do końca

swoich dni. Cały kłopot w tym, że na razie nie mogła odnaleźć w sobie stosownego uczucia. Myślała tylko o tym, że z ogromną przyjemnością rozbiłaby coś ciężkiego na głowie tego łajdaka Maguire'a.

Nic nie da się zrobić, trzeba żyć dalej, pomyślała z rezygnacją. Maguire uciekł jak niepyszny i bardzo dobrze, ona natomiast powinna skoncentrować całą energię na tym, żeby doprowadzić swoje życie na powrót do porządku i zapomnieć o żalnym pismaku.

Powinna wziąć prysznic i zmienić ubranie, ale nie mogła się zdecydować, dokąd iść. Sypialnia na górze pełna była wspomnień związanych z Pompassé'em i z nocnymi wyczynami byłego już

narzeczonego, natomiast w pracowni straszyły jeszcze bardziej ponure duchy.

Nie miała wyboru. Wszystkie jej ubrania były w pokoju na piętrze. Mogła mieć tylko nadzieję, że Henry i Gia przenieśli gdzie indziej swoją działalność seksualną, jeżeli jeszcze ją kontynuowali.

Nie kontynuowali. Henry siedział w jej sypialni i czekał na nią. Tylko swojej niezwyklej samokontroli Charlie zawdzięczała, że nie odwróciła się na pięcie i nie wyszła. Jakoś to zniesie, powiedziała sobie. Była przecież w stanie znieść wszystko.

- To mój pokój, Henry - powiedziała uprzejmie.

- Nie pamiętam, żebym cię zapraszała.

- Jesteś na mnie zła. - Jak widać, wybrał wyjątkowo łagodne określenie. - Nie winię cię.

Sam jestem przerażony tym, co zrobiłem ostatniej nocy. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie, nie mam też prawa prosić cię o wybaczenie.

Czekała. Wiedziała doskonale, że i tak poprosi.

Nie miała tylko pojęcia, co mu na to odpowie.

Podszedł i ujął jej rękę. Miał wąskie, delikatne dłonie, zawsze ze starannym manikiurem, zawsze zadbane. Dłonie, które nigdy, ale to nigdy nie skalały się żadną pracą.

Pozwoliła mu pociągnąć się w stronę łóżka i posadzić. Miała przy tym dziwne uczucie, że

obserwuje własne reakcje z boku, jakby chodziło o kogoś obcego.

Kolejna dziwna rzecz, bo dotknięcie Henry'ego nie napawało jej wstrętem, nie czuła tego niemiłego dreszczu co zawsze. W ogóle nic już nie czuła. Może Maguire ją wyleczył, a może po prostu tak bardzo była odrętwiała?

Usiadł obok niej na łóżku i zaczął głaskać delikatnie jej dłoń. Nie wzbraniała się, zapatrzona w ciemniejące niebo za oknem, zapowiedź nadchodzącej

ulewy.

- Muszę ci powiedzieć, jak do tego doszło

- zaczął Henry. - Czuję potrzebę wyjaśnienia ci tego, może wtedy sam coś zrozumiesz. Musisz wiedzieć, że byłem bardzo sfrustrowany.

Jestem mężczyzną, Charlie, i mam takie same potrzeby jak każdy mężczyzna. Próbowałem być cierpliwy wobec ciebie, Bóg widzi, że próbowałem, ale wczoraj w nocy najzwyczajniej coś we mnie pękło. Nie panowałem nad swoimi emocjami, nie wiedziałem, co robię. Jakbym był pod wpływem jakiegoś narkotyku.

Może to szok po podróży, zmiana czasu, a może sposób, w jaki ten neandertalczyk patrzył na ciebie? Możliwe też, że to jakiś atak samodestrukcji...

- Neandertalczyk? - przerwała.

- Maguire. -W jego głosie zabrzmiała pogarda całych pokoleń przodków pieczętujących się

dyplomami Ivy League ³. - Ten pismak nie odrywał od ciebie oczu, a tobie to najwyraźniej nie przeszkadzało. Nie mogłem uwierzyć. Ty, która tak się cenisz, nie chciałaś zauważyć, że ten facet ma obsesję na twoim punkcie?

- Obsesję? Nie sądzę, Henry - powiedziała spokojnie. - To twoja wyobraźnia. Nie rozumiem powodów twojej zazdrości, ale oświadczam ci, że Maguire nie był mną ani krztynę zainteresowany, chyba że jako wdową po Pompassie.

- Nie próbuję się usprawiedliwiać - mówił dalej Henry, jakby nie słyszał słów Charlie. - Staram się tylko wyjaśnić sytuację. Przeleciałem pół świata, żeby być przy tobie, a ty przyjęłaś mnie obojętnie. Nie chciałaś albo nie potrzebowałaś mojej pomocy. Ty zniknęłaś, a Gia mówiła do mnie, patrzyła na mnie, jak ty kiedyś, jakbym był pępkiem świata. Ot, połechtala moją próżność. Muszę przyznać, że podobała mi się. Męczyło mnie już poczucie, że jestem odstręczający. Gia patrzyła na mnie jak na mężczyznę, którego pragnie, a nie jak na faceta, który żąda niemożliwego.

- Gia widziała wt obie faceta, którego może mi odebrać - powiedziała Charlie trzeźwo. - Nowa przygoda, a przy okazji szansa na zadanie mi bólu.

³ Ivy League - związek ośmiu elitarnych uniwersytetów amerykańskich (przyp. tłum.)

- Zakochała się we mnie, Charlie.

Charlie spojrzała na Henry'ego z uwagą. Mówił absolutnie poważnie, tak poważnie, że żadna odpowiedź nie przychodziła jej do głowy.

- I co? - zapytał po chwili.

- Mam nadzieję, że będziecie ze sobą bardzo

szczęśliwi.

- Nie chcę, żeby tak to wyglądało! - zawołał.

- Miałem inne plany. Pozwól, niech ci opowiem, jak się w tobie zakochałem.

- Nie opowiadaj. - W głosie Charlie zabrzmiało zmęczenie. Zaczęło padać, krople jesiennego deszczu dzwoniły o szyby. Powinna wstać i zamknąć okno, ale Henry nadal głaskał jej dłoń, jakby wierzył, że tkwi w tym jakaś magiczna siła.

- Pozwól - prosił. - Nigdy ci o tym nie mówiłem. Wiem, że teraz to już nie ma znaczenia, ale nie spotkaliśmy się w „La Chance” przypadkiem. Przyszedłem tam specjalnie dla ciebie.

- Tak?

Usiłowała wykrzesać w sobie iskierkę zainteresowania. Henry jej nie puści, dopóki nie skończy swoich zwierzeń. Przynajmniej tyle była mu winna.

- Bo widzisz, Charlie, to było tak... Zakochałem się w twoim portrecie. W twoim spojrzeniu, w wyrazie twojej twarzy. Zapłaciłem za

ten obraz fortunę. Mówiłem sobie, że to doskonała inwestycja, w końcu kupuję Pompasse’a, ale tak naprawdę chodziło o ciebie. O dziewczynę z obrazu. Chciałem, żebyś patrzyła na mnie tak, jak patrzyłaś na malarza. Chciałem cię mieć w swoim domu, żywą, nie tylko na płótnie.

- Dziwne, bo nigdy nie widziałam żadnego obrazu Pompasse’a w twoim mieszkaniu.

- Nie chciałem, żebyś go zobaczyła. Nie chciałem, żebyś wiedziała o... mojej obsesji. Kiedy cię poznałem, pomyślałem, że rzeczywistość jest doskonalsza niż obraz. Że możesz być moją Charlie. Że będziesz na mnie patrzyła z tą samą tęsknotą i pożądaniem. Ale ty nigdy tak na mnie nie spojrziałaś.

- Który to obraz?

Henry spochmurniał.

- Czy to nie wszystko jedno?

- Nie. Pompasse malował mnie dziesiątki razy, a ja chcę wiedzieć, co to za obraz, w którym zobaczyłeś moją duszę. - Charlie znała już odpowiedź i wzdragając się przed nią, chciała jednak usłyszeć ją z ust Henry’ego.

- „Charlie w szlafroku”.

Zamknęła na chwilę oczy. Dobrze pamiętała ten obraz. Portret pustej, wydrążonej duszy i obnażonej bezradności.

- Zakochałeś się więc w obrazie i postanowiłeś

mnie odszukać – powiedziała cicho. – I ty nazywasz Maguire’a psycholem, mówisz, że ma obsesję na moim punkcie.

Henry obruszył się.

– Nie rozumiesz. Zakochałem się w twojej czystości, dlatego nie przeszkadzało mi, że nie interesuje cię seks. Taką cię chyba wolałem. Nieskalaną, niezbrukaną, niczym dziewicza Diana. Nie zdawałem sobie jednak sprawy, że mam zwykłe ludzkie instynkty.

– Rozumiem.

Puść wreszcie moją dłoń i wynoś się. Nie zniosę tego dłużej, modliła się w duchu.

– Nie chcę rezygnować, Charlie – powiedział rwącym się głosem. – Jesteśmy stworzeni dla siebie. Zawsze o tym wiedziałem. Znowu staniesz się dziewczyną z obrazu, czuję to. Będziemy razem szczęśliwi, najdroższa, wiesz, że tak, i...

– Ani teraz, ani nigdy, Henry. – Charlie wreszcie uwolniła rękę.

Henry spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Nie mówisz tego poważnie.

– Wynoś się, Henry, i to szybko. Idź do diabła i zabierz ze sobą Gię.

– Charlie! – Biedny Henry był zaszokowany. Charlie nie obchodziło już, co myśli i czuje Henry.

– Zabierz Gię do Stanów. Potrzebujesz kogoś,

kto będzie cię adorował, i Gia będzie cię adorować, przynajmniej przez jakiś czas. Zapewnij jej tylko życie na poziomie, do którego jest przyzwyczajona, i wszystko będzie dobrze.

Henry wstał.

– No tak, jesteś zazdrosna – powiedział ze złością w głosie.

– Niespecjalnie.

– Nie o mnie. – Teraz w jego głosie zabrzmiała nieskrywana gorycz. – Nie jestem taki głupi, by myśleć, że byłem dla ciebie kiedykolwiek na tyle ważny. Nie, ty jesteś zazdrosna o Gię. Wiesz, że ona jest prawdziwą kobietą, a ty na zawsze pozostaniesz zimną, pozbawioną życia, niezdolną do rozkoszy suką. Więcej jest życia w twoim portrecie niż w tobie. Znikły ostatnie wyrzuty sumienia.

– Dziękuję, Henry. A teraz wypierdalaj.

Wychodząc, trzasnął drzwiami. Dziwne zachowanie jak na dojrzałego mężczyznę, pomyślała Charlie obojętnie. Ale też Henry był o wiele mniej dojrzały, niż wskazywałby jego wiek. W ciele starzejącego się człowieka mieszkał zepsuty, rozkapryszony chłopiec.

Deszcz padał do pokoju przez otwarte okno. Białą, przemoczoną zasłoną targał wiatr. Pomyślała, że powinna wstać i zamknąć okno, ale nie była w stanie wykonać żadnego ruchu.

Spojrzała na swoje dłonie nieobecny wzrokiem. Pod paznokciami ciągle tkwiła mąka. Lepsze to niż krwistoczerwona farba. Podniosła głowę. Na drzwiach ciągle jeszcze można było dojrzeć jasnorożowe smugi. Powinna wreszcie się ruszyć.

Nawet pracownia stanowiła lepsze schronienie niż ten pokój. Zatrzasnęła okno, potem wzięła czyste ubranie i zbiegła ze schodów z nadzieją, że nie natknie się już na nikogo, kto będzie chciał się wdawać z nią w niepotrzebne, niepożądane i męczące rozmowy.

Przez moment zastanawiała się, czy nie iść do kościółka. Mogłaby usiąść w tej części nawy, nad którą zachował się jeszcze dach chroniący przed deszczem, ale ścieżka musiała zamienić się już w grząskie, trudne do przebycia błoto.

Pozostawiała pracownia. Weźmie prysznic i przebierze się. Może nawet przenocuje tam dzisiaj, jeśli będzie trzeba. Maguire wyjechał, zabierając ze sobą swoje kłamstwa i sztuczki. W pewnym sensie powinna być mu wdzięczna. Dowiódł jej, że nie stłumiła w sobie normalnych odruchów aż tak bardzo, jak przypuszczała. Dotykał jej, całował, a ona reagowała. Jeśli potrafiła reagować na pieszczoty takiej kłamliwej, podstępnej kreatury jak Maguire, to była jeszcze dla niej jakaś nadzieja.

Może powinna wziąć przykład z matki i znaleźć sobie zabawkę? Młodego mięśniaka z amputowanym mózgiem, którego jedyną racją egzystencji jest dostarczanie przyjemności kobiecie i który nauczyłby ją, jak cieszyć się swoim ciałem.

Tak, ale kiedy próbowała go sobie wyobrazić, niebezpiecznie upodabniał się do Maguire'a. Przecież nie ma pośpiechu, napomniała się, stając w drzwiach prowadzących na tonący w deszczu taras. Oto właśnie uwolniła się od jednego mężczyzny i z nadzieją mogła spoglądać w przyszłość. Na razie jednak musi zapomnieć o mężczyznach, o seksie i zająć się rozplątywaniem galimatiasu, który spowodował Pompasse swoim odejściem. Nadal nie wierzyła, że został zamordowany, a niestety policja była wyjątkowo oszczędna w dzieleniu się posiadanymi informacjami. Ostatni tydzień zdawał się niemal koszmarem.

Wiele by dała, żeby obudzić się we własnym łóżku w nowojorskim mieszkaniu i stwierdzić, że wszystko, przez co właśnie przechodziła, to tylko zły sen.

Próżna nadzieja. Od dawna nie wierzyła w cuda i szczęśliwe zakończenia. Nie zanosilo się też na to, że kiedykolwiek przestanie padać. Przyciskając czyste ubranie do piersi, przebiegła w strugach deszczu do pracowni.

Zatrzasnęła za sobą drzwi, jakby raz na zawsze

chciała odgradzić się od ulewy. Ogromne pomieszczenie tonęło w półmroku. Usiłowała przypomnieć sobie, gdzie jest przełącznik światła. Przesuwała dłońią po ścianie, kiedy nagle poczuła, że nie jest sama.

Ktoś się poruszał w półmroku, ktoś ją obserwował. Słyszała czyjś oddech.

- Jest tu ktoś? - zawołała ostro.

Brak odpowiedzi zmroził ją. Zaczęła powoli cofać się ku drzwiom, wypatrując w mroku zarysów postaci, pełna lęku, co zobaczy.

- To ty, Henry? Gia? Wiem, że ktoś tu jest.

Słyszę cię.

Dalej żadnej odpowiedzi, tylko szelest ubrania.

Intruz podszedł bliżej. Nie ma się czego bać, przekonywała samą siebie. Ktoś bawi się z nią w kotka i myszkę, pewnie ta przeklęta Gia. Nikt nie zrobi jej przecież nic złego, nikt jej nie tknie...

Coś runęło na nią z ciemności niczym ogromny nietoperz. Uchyliła się i poczuła, że coś prześlizguje się jej po czubku głowy, a potem wilgoć. Może krew, może farba...

Obraz.

W mroku nie potrafiła rozpoznać, który, ale zdążyła wyczuć, że został rozplątany na całej długości tak jak poprzedni.

Stała już przy drzwiach, miała je tuż za plecami.

Wymacała klamkę. Jakiś wielki cień zbliżał

się do niej, mroczna postać, zaledwie zarys sylwetki.

Coś znowu poleciało w jej stronę.

Udało się jej otworzyć drzwi i wybiegła w deszcz. Usłyszała jeszcze, że to coś, co miało ją trafić, upada z łoskotem na podłogę.

Poślizgnęła się na mokrej posadzce tarasu i upadła, uderzając się boleśnie, ale ogarnięta paniką natychmiast się poderwała i rzuciła biegiem w stronę samochodu. Wskoczyła do środka i zablokowała drzwiczki.

Czekała. Czekała, że za chwilę z deszczu wyłoni się mroczna postać, która będzie chciała ją dostać. Przynajmniej zobaczy wreszcie twarz napastnika

i przekona się, kto przyprawił ją o atak
bezzrozumnego przerażenia.

Nikt się nie pojawił, żadna złowroga postać nie
próbowała jej atakować. Była sama, przemoczona,
drżąca, zamknięta w ciasnej kabinie samochodu.
Wzięła głęboki oddech i odgarnęła mokre
włosy z czoła. Na dłoni zostało coś czerwonego,
krew, farba, nie potrafiła powiedzieć i niewiele ją
to obchodziło.

Miała do wyboru dwie możliwości: wrócić do
domu, licząc na to, że zdąży przebiec bezpiecznie,
albo odjechać.

Kluczyki były w stacyjce.

Dłonie okropnie jej drżały, kilka razy bezskutecznie
próbowała uruchomić silnik. Udało się

dopiero za trzecim razem, a wtedy ruszyła tak
szybko, jak pozwalało grząskie podłoże.
Zacinał ulewny deszcz, wycieraczki nie nadążały
zbierać wody z szyby. Charlie ledwie co
widziała przez płynące strugi. Trzęsa się jeszcze
ze strachu i zimna, łzy spływały jej po policzkach.
Nieważne zimno, nieważny strach i łzy. Teraz
chodziło tylko o to, żeby znaleźć się jak najdalej
od La Colombali.

Po chwili była już na drodze prowadzącej do
Geppi i dalej do Florencji. Ani razu nie obejrzała
się za siebie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Maguire uważał się za racjonalistę i pragmatyka.
Zresztą miał ku temu powody, bowiem
nigdy w życiu nie przytrafiło mu się nic, co
wykraczałoby poza granice normalności.
Tkwienie przy kawiarnianym stoliku pod przeciekającą
markizą było prawdopodobnie najbardziej
irracjonalnym i nienormalnym posunięciem,
na jakie kiedykolwiek sobie pozwolił, a jednak
tkwił tak już czwartą godzinę, pił setną chyba
kawę i wpatrywał się tęsknie w willę na wzgórzu,
niczym brutalnie odtrącony, usychający z miłości
zalotnik z zupełnie innej epoki.

Do diabła, nie, żaden tam zalotnik, tylko rasowy
reporter na tropie gorącego materiału, poprawił
sam siebie. Człowiek może być dobrym
reporterem, ale dopiero wytrwałość czyni go
prawdziwym mistrzem. Taki wgryza się w swoją
historię jak pies w kość, mocno zaciska szczęki

i nie puszcza, dopóki nie wyciśnie wszystkiego,
czego mu potrzeba do napisania sensacyjnego
artykułu.

Kogo on, do cholery, chce oszukać?

Może kiedyś, tak dawno temu, że już zapomniał kiedy, był rzeczywiście wielkim reporterem, lecz teraz jest tylko żalonym, wszawym pismakiem, który żeruje na najgorszych ludzkich instynktach. Tak czy inaczej, lepsze to niż wojny. Kiedy zobaczył małe alfa romeo Charlie, nie mógł uwierzyć własnym oczom. Po bocznych drogach nie jeździło aż tak wiele sportowych wozów. W deszczowe jesienne popołudnie w ogóle nie było samochodów na drodze, żadnego ruchu. Poznał wóz Charlie bez najmniejszego trudu. Przejechała obok kawiarni jak szalona. Zanim rzucił pieniądze na blat i dopadł swojego samochodu, zdążyła zniknąć z pola widzenia. Domyślał się, że pojedzie w kierunku Florencji, chociaż nie miał pojęcia, po co się tam wybierała. Samochód przemknął tak szybko, że Maguire nie potrafił nawet dojrzeć, czy to naprawdę ona siedziała za kierownicą, a jeśli tak, to czy była sama. Cholera, może pogodziła się z Henrym i teraz gnają do Florencji, żeby natychmiast się pobrać? Wszystko jedno. Wskoczył do samochodu, włączył silnik i ruszył

pustymi uliczkami miasteczka ze stanowczym postanowieniem dogonienia alfa romeo. Dogonił na wyjeździe z Geppi. Prawdziwy wyczyn, zważywszy, o ile alfa romeo było szybsze od jego zdezelowanego fiacika. Pędziło pnącą się stromo, krętą drogą, widział, jak niebezpiecznie zarzucało na śliskiej nawierzchni.

- Zwolnij, do cholery - mruknął pod nosem, ale Charlie nie słuchała go. Droga stawała się coraz bardziej stroma, zaś alfa romeo oddalało się z każdą sekundą. Maguire chciał już nacisnąć klakson, zreflektował się jednak w porę. Jeśli Charlie tylko zorientuje się, że on za nią jedzie, jeszcze bardziej przyspieszy, zamiast się zatrzymać. Przycisnął pedał gazu do deski, wydobywając z fiacika całą moc. Niestety te opony ślizgały się na asfalcie, więc niewiele mógł zdziałać. Zniknęła mu w deszczu i mgle. Zaklął siarczyście pod nosem, usiłując zmusić swój rżący resztkami sił samochód do jeszcze jednego wysiłku. Kiedy osiągnął szczyt wzgórza, alfa romeo nie było nigdzie widać.

Mógł się tego spodziewać.

Jechał dalej, w końcu i tak musiał wracać tędy do domu. To próbował uspokajać sam siebie, że Charlie nic się nie stanie, to znowu mówił sobie, że powinien, gdyby tylko mógł, przyspieszyć i jakimś cudem ją dogonić.

Kiedy w końcu udało mu się, omal jej nie minął i nie pojechał dalej. Alfa romeo stało niemal wbite we wzniesienie pobocza, a światła awaryjne bezradnie migwały we mgle.

Ostro nacisnął na hamulce. Rozległ się żalostny pisk opon, fiacik niebezpiecznie zatańczył i zatrzymał się o kilka metrów od wozu Charlie.

Maguire wyskoczył z samochodu bliski paniki. Siedziała za kierownicą, szyba od strony kierowcy była spuszczone, deszcz zacinał do kabiny.

- Wynoś się - powiedziała tym swoim spokojnym, starannie modulowanym głosem.

Puścił jej słowa mimo uszu. Powtarzała, żeby się wynosił, od pierwszej chwili ich znajomości.

Zdażył się już przyzwyczaić i uodpornić.

- Wszystko w porządku? Nic ci się nie stało?

Możesz wysiąść z samochodu? - zasypał ją gradem pytań.

- Wszystko w porządku. Nic mi się nie stało i mogę wysiąść z samochodu, ale nie mam najmniejszej ochoty. Zabieraj się stąd i zostaw mnie w spokoju.

- Nie zachowuj się jak idiotka, Charlie. Poszły ci dwie opony i pewnie uszkodziłaś podwozie.

Nikt cię teraz stąd nie odholuje, nie licz na to. Leje jak jasna cholera, robi się późno. Wsiadaj natychmiast, podwiozę cię, gdzie każesz.

Chcesz tkwić tutaj do rana?

- Idź do diabła, Maguire.

Nie był w nastroju do sprzeczek. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak bardzo był zdenerwowany, ścigając tę szaloną kobietę w ulewnym deszczu, we mgle, po krętej, biegnącej przez wzgórze drodze. Teraz czuł, że lada chwila wybuchnie i zacznie ziać ogniem.

Charlie zablokowała drzwi, ale miała przecież odkręconą szybę. Niewiele myśląc, wsunął dłoń do wnętrza kabiny, zwolnił blokadę i otworzył drzwiczki, gotów siłą wyciągnąć upartą idiotkę z samochodu.

- Będę krzyczała - zagroziła.

- Krzycz. Nikt cię nie usłyszy. - Pociągnął ją jednym gwałtownym ruchem, dużo gwałtowniej, niż zamierzał.

- Daj mi przynajmniej odpiąć pas - prychnęła.

- Zapięłaś pas? Coś podobnego. Wnosząc po tym, jak jechałaś, myślałem, że chcesz się zabić.

- Nie wykonała żadnego gestu, żeby uwolnić się z pasa, więc sam musiał to zrobić i dopiero teraz mógł ją wyciągnąć z wozu. Oparła się o niego bezwładnie i Maguire'a znowu ogarnęła panika.

- Na pewno nic ci się nie stało? - próbował się upewnić. - Nie jesteś ranna?

- Wszystko w porządku - powiedziała, odpychając go. - Nie jechałam szybko, kiedy straciłam kontrolę nad kierownicą. Musiał jej uwierzyć.
- Tam stoi mój fiat.

- Ja nie chcę...

- Wiem, że nie chcesz, skarbie. Nie chcesz mieć w ogóle ze mną do czynienia, ale jesteś na pustej drodze w ulewnym deszczu i robi się ciemno. Nie masz wyboru. Zawiozę cię, gdzie chcesz, a potem rób sobie, co ci się żywnie podoba.

- Zawieź mnie do Florencji.

- Po co?

- Moknę, Maguire. Jestem już przemoczona do suchej nitki, leje mi się za kołnierz. Pada deszcz, nie zauważyłeś? Może będziemy kontynuować tę konwersację w twoim samochodzie, skoro już jestem zdana na ciebie?

Maguire zacisnął zęby. Nie był gwałtownikiem, ale jeśli ktoś miałby doprowadzić go do ataku wściekłości, to właśnie Charlie. Odwrócił się i ruszył w stronę swojego auta, oczekując, że Charlie pójdzie za nim.

Na szczęście poszła. Dopiero kiedy wsiadła, uświadomił sobie, jak mały jest jego fiacik. Laptopa i wszystkie swoje papiery rzucił na tylne siedzenie, odczekał, aż Charlie zamknie drzwiczki, i zapalił silnik.

- Gdzie jest pas bezpieczeństwa? - zapytała.

- Dawno już nie ma. Skoro przeżyłaś własną jazdę, to przeżyjesz kilkadziesiąt kilometrów podróży w fiacie, w którym zabrakło pasów bezpieczeństwa.

- Wiesz, co się dzieje w czasie wypadku, jeśli nie masz zapiętego pasa? Jesteś jak żaba w mikserze i zostaje z ciebie krwawa miazga albo wylatujesz przez przednią szybę. Co na jedno wychodzi - oznajmiła z powagą.

Maguire nie zareagował na tę obrazową informację. Prowadził w milczeniu, wpatrując się z natężeniem w ledwie widoczną drogę. Kiedy dojeżdżali do następnego miasteczka, zerknął na Charlie i zaklął głośno.

- Powiedziałaś, że nie jesteś ranna! - Wprost rozsadzała go furia.

- Nie jestem.

- Masz krew na czole. Musiałaś uderzyć głową o przednią szybę.

- Jechałam w pasie, zapomniałeś? To nie krew, tylko farba. Ktoś pchnął na mnie jeden z obrazów Pompassé'a. Tak samo zniszczony jak poprzedni, jeśli chcesz wiedzieć. Ale przecież to

już nie twoja sprawa, Panie Konsultancie od Ubezpieczeń – dodała zjadliwym tonem. Dotknął lekko jej czoła, a Charlie skrzywiła się. Spojrzał na swoje palce.

– Przykro mi, słoneczko, ale tym razem to jednak najprawdziwsza krew. Nie wiedział, jakiej reakcji powinien się właściwie spodziewać. Łez, przerażenia? Ale Charlie tylko westchnęła.

– Nawet jeśli krwawiło, to już przestało – po-

wiedziała trochę bez sensu, po czym odwróciła głowę i zapatrzyła się w dżdżysty mrok za oknem. Dał jej kilka minut.

– Co się stało? – zapytał wreszcie. Przez chwilę myślał, że nie odpowie.

– To był nieudany dzień – stwierdziła dość eufemistycznie. – Nie chciałam nikogo widzieć ani z nikim rozmawiać, więc poszłam do pracowni. Zamierzałam wziąć prysznic i trochę się zdrzemnąć. Ale tam był ten ktoś.

– Kto?

– Niestety nie widziałam. Światło było zgaszone i deszcz już zaczął padać, więc zrobiło się ciemno. Słyszałam jakieś szuranie, widziałam zarys sylwetki. Ktoś pchnął na mnie obraz, więc oto jestem. Bardzo proste.

– Tak, proste jak drut. Dlaczego nie uciekłaś do willi?

– Bo nie było tam nikogo, do kogo mogłabym się zwrócić.

– A Henry? Nie zdecydowałaś się wybaczyć i zapomnieć? Całus na zgodę i tak dalej?

– Pieprz się, Maguire.

– Raczej nie – powiedział niemal pogodnym głosem. – Nie pobiegłaś do matki? Nie jest taka zła, jak się wydaje.

– Ona też próbuje mnie o tym przekonać. Powiedzmy, że nigdy nie dała mi okazji, żebym mogła jej zaufać. Uznałam, że najlepiej będzie

wyjechać i spędzić noc, może dwie w hotelu we Florencji i zastanowić się, czy wracać do La Colombali, czy też lecieć prosto do Nowego Jorku. Chyba mam już dosyć Toskanii, choć Pompasse powiedziałby, że to niemożliwe.

– Aristide Pompasse był nadzwyczaj mądrym człowiekiem.

– Daruj sobie ironię. W pewnych sprawach miał rację, w innych się mylił. Przez wiele lat Toskania była moim domem, ale już nie jest.

– A Nowy Jork jest?

Charlie zastanawiała się przez moment. W każdym razie udało mu się zająć ją na tyle, że

zapomniała, przynajmniej chwilowo, jak bardzo jest zniesmaczona jego osobą.

- Myślę, że nie mam domu. - Zerknęła na Maguire'a. - Znasz to powiedzenie: dom jest tam, gdzie twoje serce. Mam wszelkie podstawy przypuszczać, że jestem osobą pozbawioną serca. Opieram tę opinię na autorytatywnym źródle.

- Hm. Zamieniłaś kilka słów z Henrym, tak? Ten facet to skończony dupek.

- Dzięki za słowa pociechy, ale obejdę się bez nich - oświadczyła.

Jeśli była tak wyziębiona jak jej głos, groziło jej zapalenie płuc. Maguire chciał uruchomić ogrzewanie, ale jak zwykle dmuchawa zaczęła nawiewać zimne powietrze. We Włoszech ogrze-

wanie nie było mu potrzebne, ale akurat dzisiaj bardzo by się przydało.

- Jesteś zziębnięta - powiedział łagodnie, ignorując jej wrogi ton. Miała wszelkie prawo nienawidzić go i żadne przeproszenie nic by tu nie pomogło, tym bardziej że jakoś niespieszno mu było przeproszać. Musiał skupić się na sprawach praktycznych, a przyszłością zacznie się martwić, kiedy przyjdzie jej czas.

- W torbie jest sweter, wyjmij go i nałóż'.

- Wolę raczej zamarznąć, dziękuję bardzo.

Gdyby to ode mnie zależało, nadal siedziałabym w swoim samochodzie i czekała na pomoc.

- Pomoc się pojawiła, skarbie. W mojej osobie.

Czy ci się to podoba, czy nie, jestem twoim rycerzem na białym koniu.

- Niech Bóg ma mnie w swojej opiece - mruknęła Charlie.

Wieczór był wyjątkowo wstrętny. Nie przestawało padać, wycieraczki ledwie nadążały ścierać wodę. Maguire był przemoczony do suchej nitki, ogrzewanie nie działało, widoczność nie przekraczała trzech metrów, w dodatku obok niego siedziała kobieta, która nim gardziła i pewnie życzyła mu śmierci. Dlaczego więc nagle zdjęła go ochota, żeby gwizdać?

Oczywiście był na tyle roztropny, żeby tego nie robić. Uznał, że Charlie miała dość przeżyć jak na jeden dzień.

- Jeśli nic się nie wydarzy po drodze, za pół godziny będziemy we Florencji. Wiesz, gdzie chcesz się zatrzymać?

- W pierwszym z brzegu hotelu.

- Z tym może być kłopot, bo znowu mają jeden z tych swoich przeklętych festiwali, więc pewnie wszystko zajęte. Zastanawiałem się nawet,

czy nie wynająć swojego mieszkania, skoro nie będzie mi potrzebne.

- I okazało się, że będzie ci bardzo potrzebne
- powiedziała Charlie z fałszywą słodyczą w głosie.
- Jestem jednak pewna, że coś znajdę.
- Miło być pewnym.

Charlie zaczęły wstrząsać dreszcze. Starła się ukryć to przed Maguire'em, on zaś postanowił być miłym facetem i udawał, że niczego nie zauważa, ale dreszcze nasilały się z każdą chwilą, tak że fotel praktycznie wibrował. Nie szczękała zębami tylko dlatego, że zacisnęła je z całych sił. Nie dziwił się, bo sam przemarzł do szpiku kości. Mieszkał we wschodniej części miasta, niedaleko Duomo, w bardzo starym, zniszczonym mieszkaniu, w bardzo starej, zniszczonej kamienicy, która jakimś cudem uniknęła upiększającej renowacji zmieniającej historyczne miasto w żalosną makietę historycznego miasta. Pojechał tam, omijając ruchliwe ulice. Zanim Charlie zorientowała się w jego planach, wjeżdżał już w zaułek za domem, gdzie zwykle parkował.

- Gdzie jesteśmy?

Z podziwem zauważył, że głos drży jej tylko nieznacznie. Ktoś mniej spostrzegawczy nie dostrzegłby, że Charlie zamienia się w sopel lodu.

- Pod moim domem. Pójdiesz ze mną, przebierzesz się w suche rzeczy, rozgrzejesz, a potem pojedziemy szukać hotelu.

- Nie.

- Charlie, trzęsiesz się tak strasznie, że ten biedny samochódomal się nie rozleciał. Wyglądasz jak zmokły szczur. Gdybyś weszła tak do „Excelsioru” czy innego dobrego hotelu, obsługa z miejsca wezwałaby policję.

- Nigdzie z tobą nie pójdę.

Maguire zaparkował, wyłączył światła i zgasił silnik.

- Pójdiesz. Jesteśmy na miejscu. Jest późno i cholernie zimno. Ty się do tego nie przyznasz, ale ja zmarzłem jak pies i nie zamierzam się z tobą kłócić. Wsiadaj z tego cholernego samochodu albo wezmę cię na ręce.

- Chciałabym zobaczyć, jak się do tego zabierasz

- powiedziała i zabrzmiałoby to może efektownie, gdyby nie szczękała zębami.

- Bardzo proszę. - Zatrzasnął drzwiczki od strony kierowcy i obszedł samochód. Charlie zablokowała swoje, naiwnie zakładając, że w rozklekotanym fiaciku działają blokady. Maguire bez kłopotów otworzył drzwiczki i nachylił się.

To wystarczyło.

- Trzymaj ręce przy sobie. Sama wysiądę.

- Dobrze.

Deszcz przeszedł tymczasem w mżawkę, ale ciągle było przeraźliwie zimno jak na tę porę roku. Maguire przyglądał się krytycznym okiem, jak Charlie gramoliła się z samochodu w kiepsko oświetlonym zaułku. Była bardzo zmarznięta, ale poza tym chyba nie ucierpiała, jednak wolał obejrzeć ją w dobrym świetle i upewnić się, że nie zrobiła sobie nic złego, kiedy alfa romeo zjechało na pobocze. Upierała się, że wszystko w porządku, ale nie zdziwiłby się, gdyby go okłamywała.

- Miła dzielnica - oceniła.

- Mądrzy ludzie mówią: nie ironizuj, kiedy ci zęby dzwonią. Pospiesz się.

Nie zniżyła się do odpowiedzi, tylko ruszyła za Maguire'em.

W starej kamieniczce znajdowały się cztery mieszkania, ale Maguire prawie nie widywał sąsiadów, teraz też dom wydawał się wymarły. Nasłuchując, czy Charlie idzie za nim, szedł na górę wąskimi kuchennymi schodami i zastanawiał się, jak uda mu się namówić ją do zdjęcia przemoczonych rzeczy. Jeśli jej to zaproponuje, prawdopodobnie dostanie w głowę.

Nie bez powodu. Chciał, żeby się rozgrzała, ale przede wszystkim myślał o jej nagim ciele. Zziębnięty na kość i targany wyrzutami sumienia,

wciąż był tym samym napalonym sukinsynem.

W każdym razie kiedy szło o Charlie.

Od pierwszej chwili kiedy ją zobaczył, stał się kłębkim frustracji, a dzisiejszy poranek w zapadniętym łóżku doprowadził go do punktu wrzenia.

Tym gorzej dla niego, bo Charlie była w takim stanie, że żaden mężczyzna nie powinien się do niej zbliżać, a już na pewno nie on. Będzie mogła mówić o szczęściu, jeżeli jeszcze kiedyś pozwoli się komuś dotknąć po tym, czego dowiedziała się dzisiaj o jego podstępach i kręactwach.

Ale to przecież nie jego wina, napomniał się, przekręcając klucz w zamku. Otworzył drzwi, zapalił światło, przepuścił Charlie i po raz pierwszy spojrział na swoje nędzne mieszkanie cudzymi oczami. To prawda, było wysokie, miało ogromne okna wychodzące na zaułek, gdzie parkował swój samochód, i ogromną wannę, lecz na tym kończyła się lista zalet. Co kilka tygodni przychodziła tu sprzątaczką, która usiłowała zapanować nad wiecznym bałaganem. Na szczęście musiała być przed kilkoma dniami, inaczej Charlie zobaczyłaby porozrzucane wszędzie brudne ubrania, stare gazety, pełne niedopałków popielniczki, puste butelki, nieumyte naczynia i co tylko

dusza zapragnie. Nadal wyglądało jak żałosna nora, ale była to jego nora i panował w niej w tej chwili względny porządek.

- Ładnie mieszkasz, Maguire - powiedziała
309

Charlie słabym głosem. - Mógłbyś otworzyć okno? Udużę się od smrodu papierosów.

Nawet w świetle gołej żarówki wiszącej w przedpokoju nie wyglądała aż tak blado, by bić na alarm. Rozcięcie na czole przestało krwawić, ale ciągle trzęsa się z zimna.

- Łazienka jest tam. - Maguire wskazał kierunek głową.

- Nie powiedziałam, że chcę iść do łazienki.

- Powinnaś wziąć gorącą kąpiel, rozgrzać się.

Moja bratowa zostawiła tu jakieś swoje rzeczy, kiedy ostatnio mnie odwiedzili. Jest trochę niższa niż ty, ale rozmiar powinien się zgadzać.

- Nie wierzę. Nie możesz mieć brata. Wyląłeś się z jaja pająka.

- Uważaj, co mówisz o mojej matce - ostrzegł ją. - Bardzo kochałem staruszkę.

- Nie wezmę prysznic, nie będę się przebierać.

Wysuszę się tylko ręcznikiem, a potem zadzwonię do hotelu...

- Chcesz, żebym sam cię rozebrał do naga?

Naprawdę mam to zrobić? - Niczego w tej chwili bardziej nie pragnął i Charlie doskonale zdawała sobie z tego sprawę.

Spiorunowała go wzrokiem. Bezustannie posyłała mu takie spojrzenia. Stała się już specjalistką.

- W porządku - ustąpiła w końcu. - Wezmę kąpiel, przebiorę się w rzeczy twojej bratowej,

w której istnienie skądinąd nie wierzę. Kiedy wyjdę z łazienki, chcę usłyszeć, że mam zarezerwowany pokój w hotelu.

- Tak jest, madame. Rzeczy Mary są w szafie po prawej. Nie spiesz się.

- Za to ty się pospiesz, Maguire. - Zabrzmiało to jak pogróżka.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Nie zamierzała przyznawać się Maguire'owi, jak bardzo tęskniła za kąpielą, jak bardzo chciała się rozgrzać. Nie wspominając już o konieczności skorzystania z toalety.

Łazienka z marmurową wanną, a dokładniej przerobiony na łazienkę pokój, okazała się ogromna.

I w miarę czysta. Charlie nie wierzyła, żeby Maguire potrafił zachować wokół siebie porządek, więc ktoś musiał mu sprzątać mieszkanie.

Przeszła z łazienki do sypialni i otworzyła

szafę. Znalazła kilka długich, codziennych sukienek, ale żadnej bielizny. Podeszła do komody, starannie omijając wzrokiem rozestane łóżko. Oczywiście żadnego stanika ani majtek, zresztą nie spodziewała się ich znaleźć. Wzięła jakieś slipy Maguire'a, gdy błysk metalu na dnie szuflady przyciągnął jej uwagę.

Niestety nie był to pistolet, choć bardzo uradowałaby się, gdyby to była broń. Ot, różne plakietki z różnych lat. Prestiżowe nagrody dziennikarskie. Wpatrywała się w nie skonsternowana. Co u diabła spowodowało, że ten człowiek przeobraził się w dziennikarską hienę?

Usłyszała, że kręci się po salonie, więc szybko zamknęła szufladę i wróciła do łazienki. Zamknęła na klucz drzwi łączące łazienkę z sypialnią, i drugie, które prowadziły do holu.

Na podłodze stała dmuchawa elektryczna. Włączyła ją, oczekując, że porazi ją przy tym prąd, ale nie, dmuchawa zarzęziła, zakasłała i popłynął strumień ciepłego powietrza.

Wielka wanna powoli napełniała się gorącą wodą. Charlie zdjęła przemoczone ubranie i spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Maguire miał rację, w takim stanie rzeczywiście nie zameldowałiby jej w żadnym hotelu. Wyglądała jak obłąkana: krew zakrzepła w zmierzwionych włosach, szeroko rozwarte, pełne lęku oczy. Nie miała ze sobą nic, żadnych ubrań, kosmetyków, przyborów toaletowych, nawet...

- Cholera! - zaklęła głośno.

- Co się stało? - zawołał Maguire z salonu.

- Nic! - odkrzyknęła. - Dzwoń do hotelu.

No to kolejny problem, pomyślała, zanurzając się z rozkoszą w parującej wodzie. Uciekając w popłochu z La Colombali, oczywiście nie

wzięła torebki. Nie miała paszportu, pieniędzy ani kart kredytowych.

Miała swoją twarz. Znaną w świecie artystycznym i w całej Toskanii. Twarz ulubionej modelki ukochanego, choć adoptowanego syna tej ziemi. Będzie to wymagało negocjacji, ale hotel z pewnością udzieli jej kredytu, dopóki nie porozumie się telefonicznie...

Z Henrym? Jeśli będzie musiał, zrobi to. Henry zajmie się wszystkim. Dlatego była gotowa wyjść za niego za męża. Chciała być z kimś, kto potrafi o wszystko zadbać, znaleźć wyjście z każdej sytuacji. Henry to potrafił.

Tyle że nie był mężczyzną, z którym chciałyby spędzić życie. Prawdę powiedziawszy, nie była do końca pewna, czy potrzebuje kogoś,

kto by się nią opiekował. Partnera tak, ale nie ojca. A może w ogóle nikogo nie potrzebowała? Gdy zanurzyła głowę pod wodą, rozcięcie na czole mocno zapiekło. Nieważne, byle wreszcie zmyć z siebie ten okropny brud.

Zmieniała się. Czuła to. Zmieniała się jak wąż zrzucający starą skórę, jak poczwarka, która przeistacza się w motyla. Nie była już tą cichą, opanowaną kobietą z Nowego Jorku, była żoną Pompasse'a, która zbudowała sobie spokojną, pozbawioną wymagań egzystencję. Teraz na powrót znalazła się w splątanym gąszczu życia

z jego chaosem i niekonsekwentnymi żądaniami. Wcale się jej to nie podobało. Wręcz rozpaczliwie pragnęła odzyskać błogi spokój.

Podejrzewała jednak, że straciła go na zawsze i winę za to w dużej mierze ponosił ten facet, który czeka na nią w salonie.

Leżała w wannie, aż woda ostygła, a łazienka nagrzała się ciepłym powietrzem z dmuchawy. Ubierała się dłużej niż zwykle, chyba dlatego, że nie miała ochoty wyjść i znów stanąć oko w oko z Maguire'em. Starannie rozczesła splątane włosy, omijając rozcięcie tuż u ich nasady.

Stanik nadawał się do nałożenia, a suknia, choć okazała się trochę za duża, była luźna i wygodna. Pozostał problem majtek.

Wzięła co prawda z komody białe bawełniane majtki Maguire'a, ale nie wiedziała, co okaże się bardziej kłopotliwe: wyjść bez majtek, czy też nałożyć gacie Maguire'a? Tak czy inaczej będzie się czuła nieswojo. W końcu wybrała tę drugą możliwość. No cóż, jednak lepiej mieć na sobie ochronną warstwę bawełny, wszystko jedno do kogo by należała, niż paradować bez niczego.

Maguire rozpałił w kominku. Umył się, kiedy okupowała łazienkę. Nie zdziwiła się zbytnio. W końcu przybory toaletowe przywiózł z La

Colombali, zaś ablucji musiał dokonać w kuchni. Przebrał się w sprane dżinsy i włożył znoszony sweter. Miał jeszcze mokre włosy i wyglądał... wspaniale.

Tak, musiała to przyznać. Pociągał ją.

To przecież żadna zbrodnia, pod warunkiem, że nie będzie próbowała posuwać się dalej. Był niewątpliwie kłamcą, łajdakiem i oszustem, ale miał tę dziwną zdolność, że przy nim ożywała.

Powinna się nad tym zastanowić. Jeśli tak reaguje na niego, jest szansa, że ktoś inny, lepszy i bardziej wartościowy, obudzi w niej podobne reakcje. Ktoś kogo pokocha, komu będzie mogła ufać,

kto będzie dla niej prawdziwym partnerem.

- Na co tak patrzysz? - zainteresował się.

- Zastanawiam się, jakim cudem panuje tu taki porządek. Jakoś nie sprawiasz na mnie wrażenia pedanta.

- Co pewien czas przychodzi sprzątaczką.

Szczęściem dla ciebie była tu już po moim wyjeździe do La Colombali.

- Aha, szczęściem dla mnie - powtórzyła z przekąsem Charlie.

Po rozpaleniu ognia na kominku w pokoju zrobiło się ciepło i przytulnie. Nagle stanął jej przed oczami widok rozestanego łóżka. Zrobiła wszystko, żeby o nim zapomnieć.

- Przyniosę ci kieliszek wina - zaproponował Maguire. - Dobrze ci zrobi.

- Wolę whisky.

- Niestety, skarbie, ale skończyłem z alkoholem.

Mam w domu wino, bo nie sposób mieszkać we Włoszech i nie mieć wina dla gości. Moi włoscy przyjaciele wywieźliby mnie taczkami na najbliższe przejście graniczne.

- Po pierwsze nie wierzę, żebyś miał jakichś przyjaciół, włoskich czy niewłoskich. Po drugie...

- nie dokończyła zdania. - Zapomniałam, co chciałam powiedzieć, a za wino dziękuję. Nie jadłam nic przez cały dzień.

Nie odezwał się. Stał w drugim końcu pokoju, a jednak ciągle był zbyt blisko. W półmroku nie widziała jego oczu, nie potrafiła odgadnąć wyrazu twarzy. Ale też nigdy nie była w stanie nic z jego twarzy wyczytać.

Milczenie przeciągało się, potężniało, aż stało się niemal dotykalne.

- Powinam już iść - wreszcie przerwała je Charlie. - Dzwoniłeś do hotelu?

Skinął głową.

- Zarezerwowałem ci pokój w „Villa Bovaria”.

To niewielki hotel w zachodniej części miasta. Tamtejszy menedżer ma wobec mnie dług wdzięczności. Zamelduje cię bez paszportu i przyjmie moją kartę kredytową.

- Dlaczego uważasz, że nie mam pieniędzy?

- Nie masz przy sobie torebki, skarbie. Nie masz złamanego grosza. Powiedziałem ci: jestem

twoim rycerzem na białym koniu. Powiedz słowo i odwiozę cię do „Villa Bovaria”, ureguluję rachunek i zostawię cię w spokoju. Przecież tego właśnie chcesz, prawda?

- Tego właśnie chcę - powtórzyła. Naprawdę tak myślała.

- Nie napijesz się wina?

- Nie. Muszę stąd wyjść. Dawno temu nauczyłam się wystrzegać wszystkiego, co może prowadzić do samodestrukcji.

Maguire zaczął się śmiać.

- Naprawdę tak myślisz? Wyszłaś za starego, otoczonego kochankami pryka, kiedy miałaś siedemnaście lat, a jeszcze wczoraj zamierzałaś wyjść za następnego starucha, choć nie mogłaś zmusić się, żeby pójść z nim do łóżka. Natomiast dzisiaj rano o mały włos nie przespałaś się ze mną. Uważasz, że to nie jest samodestrukcja?

- Nie twoja sprawa, ale tak na marginesie, nie przyszło ci do głowy, że małżeństwo ze starym prykiem może być lepsze niż nieustanna tułaczka po całej Europie? Dał mi dom i poczucie bezpieczeństwa, no i kochał mnie. Przez długie lata w naszym związku było więcej dobrego niż złego, a myślę, że nie każdy tak może powiedzieć o swoim życiu. Ale generalnie masz rację - dodała, patrząc mu prosto w oczy. - Chyba rzeczywiście wybieram zupełnie niewłaściwych mężczyzn.

- Chyba rzeczywiście - przytaknął bez mrugnięcia okiem.

Znowu zapadło milczenie. Tym razem przerwał je Maguire.

- Jeśli mam cię zawieźć do „Villa Bovaria”, powinnaś włożyć buty. Przyjmą cię bez paszportu i pieniędzy, ale na pewno nie na bosaka.

- Przepraszam. Zaraz wracam.

Pobiegła do łazienki i odnalazła swoje buty. Gdy je wzuwała, jeszcze raz spojrzała na swoje odbicie w lustrze.

Nie zmieniła się. Ciągle była tą samą Charlie: ciemne włosy, czujne oczy, prosty nos, blade usta. Nie przypuszczała, że Maguire pozwoli jej tak po prostu wyjść.

Sprawa była prawdopodobnie znacznie mniej skomplikowana, niż sądziła. Interesował się nią ze względu na materiał, który przygotowywał. Chciał wiedzieć, jaka jest w łóżku wdowa po Pompassie, by później o tym napisać. Teraz, kiedy został zdemaskowany i wiedział już, że nie będzie mógł opublikować swojego materiału, bo odpowie za naruszenie dóbr osobistych, nie miał żadnego powodu, żeby z nią spać.

Pewnie lubił pulchne kobiety. Zdrowe, pełne życia, które potrafiły cieszyć się seksem. Oziębłe neurotyczki nie były w stylu Maguire'a.

Kiedy wyszła, wszystkie światła były zgaszone, a pokój oświetlał tylko blask ognia. Jedynie

w przedpokoju świeciła się samotna żarówka.
- Nie opublikujesz artykułu o Pompassie
- oświadczyła zimno. - Moi prawnicy nie pozwolą, żebyś to...
- Przeceniasz wymiar sprawiedliwości. Poza tym nie zależy mi już na artykule, mam to gdzieś. Niech ktoś inny go napisze.
Nie próbowała z nim dyskutować. Prawdę mówiąc, jej też było absolutnie wszystko jedno, czy artykuł się pojawi, czy nie.
- Dać ci jakąś kurtkę? Ciągle pada, wieczór jest chłodny.
- Dziękuję.
- Gotowa?
- Tak.

Maguire zgasił światło w przedpokoju. Otoczył ich mrok, który rozpraszała tylko słaba poświata idąca od ognia na kominku. Charlie w tej chwili mogła stąd wyjść i pojechać do hotelu, gdzie wreszcie byłaby bezpieczna. Stali bez ruchu przy drzwiach, w końcu Charlie położyła dłoń na mosiężnej klamce. Maguire położył dłoń na jej dłoni.

Nie wiedziała, jak to się stało. Odwróciła się, oparła plecami o drzwi i spojrzała na Maguire'a. Wtedy przywarł do niej całym ciałem i pocałował ją. Smakował deszczem i skrucą, słodkim

grzechem i nocnym powietrzem. Charlie zamknęła oczy, objęła go i przyciągnęła bliżej.

Bez słowa wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni.

- Tak? - zapytał cicho.

Wiedziała, jak powinna brzmieć odpowiedź: wyraźne, stanowcze „nie”. Dość samodestrukcji. Noc z kłamcą to kardynalny błąd. Jednak potrafiła powiedzieć tylko jedno:

- Tak.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Maguire popadł w wyjątkowo paskudny nastrój. Wpatrywał się w ciemności i rozmyślał, a myśli nachodziły go zgoła niewesołe, a w samej rzeczy wręcz ponure.

Marny świat, marne życie.

Charlie spała w jego ramionach niczym bezgranicznie ufne dziecko. Irytowało go to. Czy ta kobieta nie zdawała sobie sprawy, jakim draniem on był? Oszustem, manipulatorem. To naprawdę głupie z jej strony. Mało, że idzie z nim do łóżka, to jeszcze potem zasypia, jakby znalazła się w najbezpieczniejszym miejscu na świecie. Nic dziwnego, że tak sobie zabałaganiała życie. Nic dziwnego, że jego życie jest nie mniej

zabałaganione.

On też miał ochotę usnąć. Zamknąć oczy, przygarnąć Charlie jeszcze bliżej, wdychać jej zapach i spać. I najlepiej nigdy się nie budzić,

tylko pozostać w stanie uśpienia. Przynajmniej nie będą dręczyć go wątpliwości i wyrzuty sumienia. Nie znosił spać z kobietami. Seks, owszem, bardzo proszę. Uwielbiał seks. Ale potem, po finałowych przytulankach i wypowiedzeniu stosownej ilości kłamstw, lubił usnąć sam we własnym łóżku. Dlatego rzadko zapraszał kobiety do siebie. Trudno i dość niezręcznie pozbyć się osoby, która rozkosznie mości się w pościeli i ma swoją milusią poorgazmową sapkę.

Kłopot w tym, że nie miał najmniejszej ochoty pozbywać się Charlie. Przespał z nią już całą poprzednią noc, chociaż się z nią nie kochał. Była nieszczęśliwa, a on po prostu chciał trzymać ją w ramionach i chociaż trochę pocieszyć.

No i zasnął.

Nie zamierzał znów popełnić tego samego błędu, chociaż ciało domagało się czegoś przeciwnego.

Mógł przespać się w fotelu, zdarzało mu się to już wcześniej, albo przepracować całą noc. Przynajmniej by nadrobił zaległości.

Wszystko z wyjątkiem jednego. Za nic nie spędzi kolejnej nocy z Charlie w ramionach. Nie miał na to dość odwagi.

Ostrożnie wysunął się z łóżka. Wyciągnęła rękę, szukając go, mruknęła przez sen, niezadowolona, że go nie znalazła, ale nie obudziła się. Stał chwilę koło łóżka i przyglądał się jej.

Wcześniej wydawała mu się piękna, ale to było nic w porównaniu z tym, jak wyglądała teraz, po kilku godzinach kochania się. Zaspokojona? Usatysfakcjonowana?

Złe określenia. Powinien raczej powiedzieć: dobrze wydymana. Bo też zafundował jej dymanie życia. Będzie teraz spała w nieskończoność, nim odzyska siły. A on powinien pomyśleć o odbudowaniu własnego systemu obronnego.

Zamknął drzwi do sypialni, żeby jej nie przeszkadzać.

Wziął szybki, zimny prysznic. Nie miał innego wyjścia, bo wcześniej Charlie zużyła cały zapas gorącej wody. Potem przyniósł z samochodu komputer i aparat fotograficzny. Do tej pory nie zdążył przerzucić cyfrowych zdjęć na dysk. Chciał zobaczyć, jak wyszły.

Kilka godzin spędził przy komputerze, ładował zdjęcia na dysk, potem kopiował je na CD-rom. Robił to z nawyku, bo lata spędzone w krajach objętych wojnami nauczyły go, że reporter zawsze musiał mieć zapasowe kopie

zebranych materiałów. Złamanie tej żelaznej zasady mogło przynieść niepowetowane straty. Schował zapisany CD-rom do szuflady i wrócił do przeglądania ostatniej partii zdjęć. Jedno z nich nie dawało mu spokoju, ale nie potrafił powiedzieć dlaczego. Była na nim madame Antonella, Lauretta i Tomaso. Dziwna, tajemnicza fotografia, pełna niejasnych

podskórnych emocji. Molly byłaby z niej naprawdę dumna.

Na pozór zdawałoby się zwykła, banalna scenka z życia mieszkańców La Colombali. Zrobił takich zdjęć kilkadziesiąt.

Lauretta jak zwykle usiłowała uspokajać starą damę. Opieka nad żyjącą w swoim świecie, kłótniawą, apodyktyczną madame Antonellą musiała być prawdziwą udręką, a przecież Lauretta miała na głowie cały dom i miała już swoje lata..

Maguire szczerze współczuł gospodyni. Teraz wpatrywał się z natężeniem w ekran laptopa i dostrzegał w wyrazie twarzy Lauretty coś, co go niepokoiło, a czego nie potrafił określić.

To jednak nie wszystko, co mówiło zdjęcie.

Zafascynowała go madame Antonella. Patrzyła na coś, czy też na kogoś, z tak ogromną nienawiścią, że wyglądała wręcz diabolicznie. Było w tej fotografii coś, co mu umykało, ale im dłużej wpatrywał się w ekran komputera, tym bardziej zacierało się pierwsze, a więc najważniejsze odczucie. Bał się wydrukować zdjęcie, bo szum drukarki mógłby obudzić Charlie. Rano zanieśe CD-rom z kopiami do florenckiego biura „Starlight”, gdzie powiększy zagadkowe zdjęcie, a potem je wydrukuje. Może wtedy uda mu się wreszcie dojść, co takiego tkwi w uchwyconej przypadkiem scenie i dlaczego tak go ona nurtuje.

Nie potrafił powiedzieć, czy coś usłyszał, czy odezwał się szósty zmysł, ale wiedział, że Charlie się obudziła.

I właśnie wtedy popełnił wielki błąd, poszedł bowiem zajrzeć do niej, nie przełączywszy komputera w stan oczekiwania, a zabezpieczony hasłem wygaszacz wcześniej wyłączył, bo przeszkadzał mu, kiedy pracował w domu.

Charlie obracała się niespokojnie w pościeli, ale nadal spała. Przyglądał się jej przez chwilę, w końcu jednak stwierdził, że nie ma sensu dłużej walczyć z własnymi uczuciami. Położył się obok niej i wziął ją w ramiona.

Natychmiast się uspokoiła, cicho westchnęła, z gardła wydobył się jeden krótki szloch. Będzie

musiała wyplakać jeszcze wiele łez, pomyślał, gładząc ją delikatnie po miękkich, ciemnych włosach. Błagał tylko Boga, żeby nie musiała płakać nad nim i z jego powodu.

Maguire chrapał. O dziwo, Charlie zupełnie to nie przeszkadzało. Chrapanie nie było znowu takie donośne, a sam odgłos miał w sobie coś kojącego. Uniosta się na łokciu i przyglądała Maguire'owi w szarym świetle przedświt. Spał jak dziecko. Niegolony zarost zaczynał zamieniać się w regularną brodę, a głębokie cienie pod oczami świadczyły o zmęczeniu.

Raptem uświadomiła sobie, że się uśmiecha. Kiedy ostatnio tak uśmiechała się bez powodu?

Miała ochotę obudzić go, już wyciągnęła dłoń, kiedy jej ciało zgłosiło zdecydowany sprzeciw. Zirytowana przygryzła wargę.

Nie zamierzała poddawać się. Kiedy się kochali, Maguire szeptał jej coś do ucha, coś mrocznego, co brzmiało niezwykle podniecająco i seksownie. Chętnie przekonałaby się, co to takiego, ale ciało zdecydowanie mówiło „nie”. Nawet nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo była zmęczona. Po prostu wykończona.

Gorąca kąpiel, pomyślała z determinacją. Poleży pół godziny w ogromnej wannie, potem wróci do łóżka i tym razem to ona zacznie. Będzie silna, bardzo niebezpieczna i zupełnie nieobliczalna. I nienasycona.

Podczas kąpieli wsłuchiwała się w chrapanie Maguire'a. Spał głęboko i nie miał pojęcia, że wymknęła się z łóżka.

Po wyjściu z wanny Charlie owinęła się ręcznikiem kąpielowym i już miała wracać do sypialni po repetę miłosnych igraszek, kiedy zobaczyła dziwną, błękitną poświatę w salonie.

Weszła tam. W pokoju było jeszcze ciepło, mimo że ogień na kominku dawno wygasł.

Przez wysokie okna wychodzące na zaułek wpadało pierwsze światło brzasku. Dopiero po chwili dostrzegła na stole komputer. Był włączony

i otwarty. To od jego ekranu szła delikatna poświata, która przyciągnęła Charlie do salonu.

Tym razem wygaszacz z hasłem nie bronił dostępu do zawartości dysku. Maguire widać wstał w nocy i zabrał się do pracy. Zostawił ją samą i siadł do komputera. Pewnie nie mógł się doczekać, kiedy Charlie wreszcie uśnie...

Poczuła się zdradzona. A gdy jeszcze spojrzała na ekran...

Zobaczyła zdjęcie, na którym byli Antonella, Lauretta i Tomaso. Nie wiedzieli, że Maguire ich

fotografuje, może dlatego zdjęcie było tak dobre. Niemal czuło się wściekłość starej damy, złe emocje emanowały z jej wykrzywionej twarzy z obezwładniającą, przerażającą siłą. Owinąwszy się szczelniej rękawnikiem, Charlie usiadła przy komputerze. Bez specjalnych kłopotów znalazła folder, w którym Maguire umieścił wszystkie zdjęcia z La Colombali. Były wśród nich także takie, na których mogła zobaczyć samą siebie, smutną i zagubioną. Z paska zadań otworzyła tekst, nad którym Maguire musiał pracować. To było proste, bo nawet nie zamknął pliku, tylko go zminimalizował. Przeczytała zaledwie kilka zdań. Mówiły o oziębłej, na zawsze straconej dla mężczyzny żonie Pompasse'a. Charlie wstała zza stołu i zamknęła wieko laptopa. A potem paskudnie zaklęła.

Ubrała się szybko. Jej rzeczy zdążyły już wyschnąć, tylko stanik został gdzieś na podłodze sypialni. Nieważne, nie zamierzała go szukać. I tak z całą pewnością nigdy już by go nie nałożyła. Pewnie w ogóle nigdy już nie nałoży żadnego stanika zapinanego z przodu, bo zbyt nachalnie przypominałby jej o zręcznych dłoniach Maguire'a i o dzisiejszej nocy. Buty też zostały w sypialni, ale nie chciała po nie wchodzić. Maguire nadal chrapał, wołała jednak nie ryzykować, przecież mógł się obudzić. Mieszkając w willi, niemal zawsze chodziła boso, więc boso może wrócić do La Colombali. Otworzyła okno w salonie i wyjrzała. Fiat Maguire'a stał w zaułku, kluczyki leżały na stole obok komputera. Miło z jego strony. Wyłączyła laptop z sieci, podeszła z nim do okna i, niewiele myśląc, spuściła na bruk. Gdy trzask odbił się głośnym echem w uśpionym zaułku, Maguire raptownie przestał chrapać. Nie czekając ani sekundy dłużej, Charlie chwyciła kluczyki. Cicho zamknęła za sobą drzwi i zbiegła szybko po schodach. Kiedy dotarła do samochodu, stopy miała lodowate. Zbyt późno przypomniała sobie, że ogrzewanie nie działa. Trudno, jakoś wytrzyma. Jeśli będzie myślała o marznących stopach, może uda się jej zapomnieć

o innych, bardziej bolesnych sprawach. O własnym sercu, własnej duszy. O dumie. O dziwo, fiat zapalił od pierwszego razu. Wrzuciła bieg i przejechała po szczątkach rozbitego laptopa. Pustymi jeszcze ulicami Florencji wydostała się z miasta na szosę prowadzącą do La Colombali.

Maguire'a obudził z głębokiego snu jakiś dziwny dźwięk. Otworzył oczy i natychmiast oprzytomniał. Był sam w łóżku.

Gdy usiadł, zobaczył buty Charlie na podłodze, ale to go wcale nie uspokoiło. Był pewien, że uciekła niczym Kopciuszek, zostawiając nie jeden, ale oba pantofelki.

Wstał, pchnął drzwi prowadzące do salonu i zdjęła go taka panika, że przez moment nie mógł zaczerpnąć powietrza. Okno było szeroko otwarte. Przemknęła mu przez głowę straszna myśl, że Charlie wyskoczyła.

Wtedy zobaczył, że na stole nie ma komputera. Biegiem dopadł okna i wyrzwał. Jego samochód zniknął właśnie za rogiem i nie trzeba było wielkiej przenikliwości, żeby domyślić się, kto siedział za kierownicą, natomiast pod oknem na bruku rozbity na drobne kawałki leżał jego komputer, wspaniała, niedawno kupiona maszyna najnowszej generacji, prawdziwe cacko.

Wpatrywał się długo w żalosne szczątki laptopa, potem spojrzał w kierunku wyjazdu z zaułka, gdzie przed chwilą zniknął fiacik. I wtedy zdarzyło się coś, czego nie doświadczył od z górą pięciu lat.

Odchylił głowę i wybuchnął śmiechem.

Bez zastanowienia podszedł do telefonu i wystukał numer.

- Gregory?

- Kto mówi, do cholery? - rozległ się w słuchawce zaspany, wściekły głos. - Jest środek nocy. To ty, Maguire? Co się stało?

- Jest szósta rano i to ja.

- Mam nadzieję, że masz jakąś rewelację na temat Pompasse'a, inaczej nie wybaczę ci, że budzisz mnie o tej porze.

- Żadnych rewelacji.

W słuchawce zapadła cisza.

- Robisz mnie w wała.

- Powtarzam ci, żadnych rewelacji. W La Colombali ziele nudą. Stary spadł ze schodów i skręcił sobie kark, innego wyjaśnienia nie widzę. Jego dziewczyny były dla mnie bardzo miłe.

Materiału co kot napłakał. Będzie tego najwyżej na małą notkę na ostatniej stronie.

- Masz przecież zdjęcia. - Gregory jeszcze się nie poddawał. - Sam mi mówiłeś, że masz świetne zdjęcia - powtórzył niemal z rozpaczą.

Biedny Gregory.

- Przykro mi, szefie. - Oczywiście Maguire'owi nie było ani trochę przykro. - Moja dziewczyna przed chwilą wyrzuciła mój komputer

przez okno. Rozbił się na drobne kawałki.

- Zrobiłeś na pewno kopie. - Gregory zupełnie się już rozbudził i najwyraźniej wpadł w panikę.
- Musiałeś zrobić, jesteś przecież profesjonalistą. Zawsze kopiujesz swoje materiały.

- Tym razem nie skopiowałem.

Znowu długa, pełna napięcia cisza w słuchawce. Maguire słyszał, jak Gregory zapala papierosa. Sam też chętnie by zapalił, ale jakoś udało mu się powstrzymać.

- Teraz powiem ci, co masz zrobić - odezwał się w końcu Gregory. - Ruszysz dupę, wsiądziesz do samochodu i wrócisz do willi Pompasse'a. Nie obchodzi mnie, ile tłumaczeń jeszcze wymyślisz i ile nowych kłamstw masz w zanadrzu. Wrócisz tam, jeszcze raz zrobisz zdjęcia i wyciśniesz z siebie porządny, długi tekst. Musisz.

- Niestety nie mogę. Moja dziewczyna ukradła mi samochód.

Znowu cisza.

- Od kiedy to niby masz dziewczynę, Maguire? Ty przecież rano grzecznie dziękujesz i machasz chusteczką na pożegnanie. No i dobrze, bo która by z tobą wytrzymała?

- Nie wiem, szefie, ale zamierzam się przekonać.

Musisz znaleźć sobie innego młodego zdolnego. Ja rezygnuję.

- Z czego rezygnujesz? Z robienia materiału?

- Teraz w głosie Gregory'ego zabrzmiała, jeżeli to w ogóle było możliwe, jeszcze przeraźliwsza panika.

- Nie chodzi o materiał, przyjacielu. Rezygnuję z roboty w „Starlight”. - I Maguire bardzo delikatnie odłożył słuchawkę.

Gregory przestał wydzwaniać mniej więcej po godzinie. Maguire zaparzył mocną kawę i powiedział sobie twardo, że obejdzie się bez papierosa, a potem wyciągnął się na łóżku pachnącym jeszcze seksem i Charlie.

Niedobrze.

Nie mógł dłużej tego wytrzymać. Charlie, Gregory, Pompasse, wszystko zaczynało mącić mu się w skołatanej głowie. Wreszcie zwiął z domu, ignorując dzwoniący bez przerwy telefon, i poszedł na śniadanie.

Po wczorajszym deszczu wstał chłodny dzień.

Maguire usiadł w swojej ulubionej kawiarni.

Pił czarny, gorzki napar i snuł czarne, gorzkie myśli. Przepieprzył życie ze szczętem. Dobrze, że Charlie uciekła. Przy niej zapadłby się jeszcze głębiej.

Rozbrajała go. Rozbrajała tak całkowicie, że

wolał się w ogóle nad tym nie zastanawiać. Teraz, kiedy zniknęła, nie będzie musiał już o niej

myśleć. Nie będzie musiał myśleć o odgłosach, jakie wydawała, kiedy osiągnęła orgazm. O jej złotych oczach, w których było zagubienie, oczekiwanie i tysiące pytań. O tym, jak...

Zaklął siarczyście, aż jakiś przechodzień obejrzał się. Musi szybko się pozbierać. Głupio zrobił, mówiąc Gregory'emu, że wszystkie materiały przepadły. Jeszcze bardziej idiotyczne było rezygnowanie z pracy.

Z drugiej strony myślał o tym od ponad roku. Najwyższy czas wracać do domu. W Australii będzie mógł przebierać w propozycjach, od brukowców po poważne, szanowane pisma. Jeśli nie zdecyduje się na pracę w zawodzie, wróci na farmę, osiadzie w pobliżu brata, bratowej i ich dzieciaków. Lubił te małe potwory. George i Harry, dwaj urwipołcie z piekła rodem, byli zupełnie tacy sami jak on i Dan za młodych lat. Ten sam entuzjazm i te same szalone pomysły. Stęsknił się za nimi.

Może kiedyś dochowa się podobnych piekielników. Najwyższy czas, żeby w końcu wydoroślał.

I przestał zastanawiać się, czy Charlie potrafiłaby pokochać Australię.

Powinien myśleć o czymś innym.

Na przykład o zdjęciu, które nie dawało mu spokoju. Teraz, kiedy nakłamał Gregory'emu i rzucił pracę, nie będzie mógł już pójść do redakcji i wydrukować fotografii. W domu, na

roztrzaskanym komputerze, też raczej jej nie obejrzy, a nie był w nastroju, żeby biec teraz do sklepu i kupować nowy.

Zamknął oczy i próbował przypomnieć sobie zagadkowe zdjęcie. Miał doskonałą, prawie fotograficzną pamięć wzrokową. Setki razy ratował dzięki niej tyłek.

Widział je wyraźnie, jakby naprawdę miał je przed sobą. Udręczona twarz Lauretty usiłującej uspokoić starą damę oraz wyraz powątpiewania na twarzy Tomasa. Przecież ona jest podobna do madame Antonelli, uświadomił sobie nagle, zaskoczony własnym odkryciem. Młodsza, silniejsza, ale między tymi kobietami istniało zdecydowane podobieństwo.

Rzecz nie była wcale taka oczywista, jak by się na pozór wydawało. Może nie oznaczało to nic więcej, jak tylko to, że Pompasse lubił określony typ kobiet lub też stary satyr zwrócił uwagę na Laurettę, bo przypominała mu jego pierwszą modelkę i kochankę.

Ale mogło być też inaczej. Kto wie, może Lauretta była w życiu Pompasse'a od początku, bo dorastała pod okiem matki?

Antonella.

Ona jest kluczem do wszystkiego, pomyślał w przypływie olśnienia. Ta jej twarz, pełna niepoohamowanej wściekłości, niemal upiorna.

Była jeszcze jedna zastanawiająca rzecz.

Obrączka. Na zdjęciu madame Antonella, pierwsza kochanka Pompasse'a, która nigdy nie wyszła za mąż, miała na palcu obrączkę. Szeroką, staroświecką obrączkę.

To nic nie znaczy, usiłował przekonywać sam siebie. Wiele kobiet nosi biżuterię na serdecznym palcu. Może po prostu wymienili się kiedyś obrączkami, ona i Pompasse. Taki sentymentalny gest. I co z tego miałyby wynikać? Nic.

Wiedział, że to nieprawda, tak jak wiedział, że nazywa się Maguire.

Odpowiedź na wszystkie zagadki tkwiła w szerokiej obrączce na palcu starej damy.

Nie wyjedzie z Włoch, dopóki nie pozna odpowiedzi i nie upewni się, że Charlie jest bezpieczna.

Charlie dotarła do La Colombali późnym rankiem.

Willa sprawiała wrażenie wymarłej. Rolls

stał jak zawsze w stodole, ale na podjeździe nie było ani jednego samochodu. Zniknął wypożyczony wóz Olivii, zniknął ulubiony fiat Lauretty.

Taras też był pusty, stół nienakryty, a okna po wczorajszej ulewie nadal były szczelnie pozamykane.

Wszędzie martwa cisza.

Charlie nagle poczuła wilczy głód, więc przeszła przez pustą sień do kuchni. Połykała właśnie drugą kromkę chleba z masłem, kiedy zadała

sobie pytanie, dlaczego właściwie uciekła z mieszkania Maguire'a. Od razu straciła apetyt.

Usłyszała czyjeś ciężkie, miarowe kroki. Ktoś szedł powoli w stronę kuchni. Wstrzymała oddech, po czym z ulgą wypuściła powietrze. To tylko Lauretta.

- Och, to signora Charlie! - zawołała gospodyni z dziwnie nieobecna miną. - Dlaczego tu wróciłaś, dziecko?

- Coś się stało? - zaniepokoiła się Charlie.

- Coś z moją matką?

Lauretta pokręciła głową.

- Nic się nie stało, maleńka. Twoja matka zawiozła pana Richmonda do miasta, bo chciał kupić sobie bilet na samolot. On wraca do domu.

Zabiera ze sobą Gię. - Lauretta prychnęła z dezaprobatą.

- A gdzie Gia?

- Pojechała po zakupy. Powiada, że potrzebuje

nowych strojów na ten cały Nowy Jork. Ona zawsze potrzebuje nowych strojów. Już nie wróci, ciebie też nie powinno tu być. Madame Antonella za bardzo się denerwuje. Jest stara i zmęczona, potrzebuje spokoju i ciszy, a w willi takie okropne zamieszanie, jeden szum i gwar. Charlie skrzywiła się.

- Wiesz, że szanuję madame Antonellę, ale nie zamierzam wyjeżdżać z jej powodu. Może siedzieć w swoim domku, wtedy uniknie mojego

widoku, ale ja zostanę w La Colombali tak długo, jak będzie mi się podobało. - Zachowywała się jak obrażone dziecko, ale niewiele sobie z tego robiła. Była już zmęczona spełnianiem życzeń wszystkich wokół. Nie pozwoli się wyrzucić z La Colombali, chociaż akurat w tej chwili niczego bardziej nie pragnęła, jak stąd wyjechać.

Lauretta pokręciła głową z grobową miną.

- Biedactwo - mruknęła. - No cóż, próbowałam cię ostrzec.

- Przed czym? - zapytała Charlie i poczuła, że ktoś staje za jej plecami. Zastygła na moment. Szuranie stóp, świszczący oddech. Jak poprzedniego dnia w pracowni. Ten, kto wczoraj ją zaatakował, wrócił. Za późno było na ucieczkę.

- Przykro mi, signora Charlie, naprawdę mi przykro - mruzczała Lauretta.

Charlie powoli się odwróciła i spojrzała na wykrzywioną nienawiścią twarz madame Antonelli. Zobaczyła w jej dłoni bardzo długi, złowieszczo wyglądający nóż.

Zerwała się z krzesła i rzuciła ku drzwiom, lecz drogę zagroził jej Tomaso.

A potem wszystko spowiła ciemność.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

To ta jego przeklęta irlandzka krew, zżymał się Maguire, pędząc na łeb, na szyję w kierunku Geppi. Przeżył szczęśliwie trzydzieści pięć lat, nie wiedząc, co to irracjonalne przeczucia, mroczne intuicje, doświadczenia paranormalne. Chyba że za paranormalny uznałby swój wspaniały instynkt.

Ale to nie instynkt kazał mu dzisiaj jechać do La Colombali. Coś bardzo złego miało się zdarzyć i Charlie była w samym centrum tych zdarzeń.

Musi dotrzeć do niej na czas, zanim będzie za późno, a wypożyczony samochód włócił się jak żółw. Przy nim jego fiat to ferrari.

Późno wyjechał z Florencji, bo musiał sprawdzić jeszcze kilka rzeczy, co nie było łatwe.

Bałagan we włoskich archiwach to najlepszy na

świecie system utajniania informacji . W końcu się poddał. Nie znalazł ani w Geppi, ani w żadnym

z pobliskich miasteczek śladu aktu ślubu Aristide'a Pompasse'a i Charlotte Thomas. Podejrzewał, że taki akt w ogóle nie istnieje.

Do willi dotarł późnym popołudniem. Jego samochód stał koło stodoły, kluczyki były w stacyjce. Nadal było chłodno i nie spodziewał się zobaczyć Charlie wygrzewającej się w słońcu na tarasie, ale też nie oczekiwał, że zastanie dom kompletnie wymarły.

Wszedł do środka, nawołując głośno Charlie, ale nie odpowiedziała. Nikt nie odpowiedział. Nigdzie żywej duszy, nawet królestwo Lauretty, ogromna kuchnia, świeciło pustkami.

Wyszedł przez drzwi ogrodowe na tyły domu, skąd widać było posadowiony na stoku wzgórza domek Antonelli. Tam też śladu życia. Może Lauretta i Tomaso zabrali madame do miasteczka, na przejażdżkę albo do kościoła? Może Charlie pojechała gdzieś z matką? Albo z Henrym? Wolałby nie, ale lepsze to niż jego mroczne przeczucia.

Spojrzał w kierunku ruin kościółka. Charlie powiedziała, że ktoś zniszczył kolejny obraz i rzucił nim w nią. To by oznaczało, że brakuje jeszcze tylko jednego. Jeśli jest schowany, to na pewno w kościółku. Musieli go przeoczyć z Charlie w czasie swoich poszukiwań.

Jeśli obrazy zagarnęła Antonella, to nie ukryła ich daleko od willi. W swoim domku nie mogła,

bo tam panowała zbyt wielka ciasnota. Być może w krypcie, za stertą gruzu, której od lat nikt nie ruszał, jak mówiła Charlie. Nie bardzo wiedział, czym miałyby się powodować stara dama.

Wiedział tylko na pewno to, że Aristide Pompasse na trzy dni przed śmiercią wystąpił o rozwód.

Tyle że zamierzał się rozwieść z Antonellą Bourget Pompasse, a nie z Charlie Thomas.

Ominął szerokim łukiem domek Antonelli i ruszył stromą ścieżką w stronę kościółka.

Mógł sobie wyobrazić, jak ta kobieta przez ostatnich czterdzieści, pięćdziesiąt lat przyglądała się parady kochanek Pompasse'a. Przyglądała się i cierpliwie czekała.

Pojawienie się Charlie musiało być ostatnią kroplą. Ośmielił się z nią ożenić, w każdym razie zaaranżował coś, co było symulacją ślubu, symulacją małżeństwa, tym samym pozbawiając Antonellę uprzywilejowanej pozycji. Musiała z całego serca nienawidzić Charlie.

Dopóki jednak w świetle prawa była żoną

Pompasse'a, jakoś to znosiła, lecz zaczęła działać w momencie, kiedy Pompasse wystąpił o rozwód. Wtedy go zabiła. Pytanie, czy na tym zamierzała poprzestać? To mało prawdopodobne. No i dlaczego Lauretta jej nie powstrzymała? Nie wiedziała o niczym? Niczego się nie domyślała? Chyba że podobieństwo między tymi kobietami sięgało głębiej i nie wynikało ze skłonności

malarza do określonego typu kobiet. Mówiąc wprost, Lauretta za każdą cenę postanowiła chronić własną matkę. Może nawet za cenę życia Charlie.

Nie wątpił, że Antonella ma demencję. Nie udawała: była stara, sfiksowana i bardzo niebezpieczna, ale fizycznie o wiele silniejsza i sprawniejsza, niż mogło się zdawać. W ciełe z pozoru zgrzybiałej staruchy krył się przebiegły potwór. Ściemniło się, zanim dotarł do kościółka. Ktoś niedawno musiał tu być i ułożył dodatkowe deski nad ziejącą wyrwą w posadzce. Ławka, na której spała Charlie, została przesunięta do kąta.

Maguire wszedł do pogrążonego w ciszy wnętrza, czujnie nasłuchując, czy nie dojdą go jakieś podejrzane odgłosy.

Nic, tylko szelest liści nad pozbawioną dachu nawą i szum wiatru.

Po chwili usłyszał.

Słumione, ledwie słyszalne głosy. Cicho jak kot podszedł do wyrwy w posadzce i spojrzał w dół.

W mroku z trudem mógł cokolwiek zobaczyć poza stertami gruzu, ale po chwili, kiedy wzrok przyzwyczał się do ciemności, dojrzał, że ktoś usunął pryzmę kamieni w głębi krypty, dzięki czemu odstłonił masywne drewniane drzwi. Tam musiał być ukryty ostatni obraz i dzienniki Pompasse'a.

Krypta znajdowała się dużo głębiej, niż mu się wcześniej zdawało. Nic dziwnego, że Charlie bała się przejść nad nią po prowizorycznej kładce. Gdyby z niej spaść, człowiek jak nic połamałby kości, a pechowiec mógł sobie nawet skrócić kark.

Nic nie usłyszał, tylko poczuł silne uderzenie czymś twardym w plecy i poleciał w dół głową do przodu. Zdażył jeszcze zobaczyć stojącą nad nim madame Antonellę, która w dłoniach dzierżyła solidny kawał drewna, i upadł na posadzkę krypty.

Charlie powoli wracała do przytomności. Było jej zimno, drżała na całym ciełe. Wokół panowały nieprzeniknione ciemności. Chciała podnieść dłoń do oczu, żeby sprawdzić, czy jeszcze widzi,

ale nie mogła wykonać żadnego ruchu. Ktoś skrępował jej ręce i nogi.

Leżała na czymś w miarę miękkim. Palcami wyczuła pod plecami stary materac, przykryty chyba, o ile mogła się zorientować, wełnianym kocem. W pomieszczeniu, w którym ją zostawiono, panował straszny smród, obrzydliwie słodka woń rozkładu zmieszana z fetorem szczurzych odchodów. Jeśli nikt nie przyjdzie i jej stąd nie zabierze, umrze od smrodu, zanim zabije ją głód.

Na razie żyła. Na razie. Bo że ktoś spisał ją na

straty, to pewne. Zaraz umrę, i to w najgorzej wybranym momencie, taka była jej ostatnia myśl, kiedy bezwładnie osuwała się na podłogę kuchni. Tydzień wcześniej łatwo pogodziłaby się ze śmiercią. Oczywiście wszyscy by ją opłakiwali, lecz ona przywitałaby śmierć jak wybawienie od egzystencjalnej ziemskiej pustki. Rok wcześniej też odeszłaby spokojnie, z radością uwalniając się od bezsensownego trwania.

Ale teraz nie chciała umierać. Teraz, kiedy jak wariatka zakochała się w tym kłamcy, podstępnym zdrajcy i nałogowym oszuście, w tym przeklętym sukinsynie Maguirze.

Rozpłakała się, co nie było mądrym pomysłem.

Czuła, jak łzy spływają jej po policzkach.

Odwróciła głowę, żeby wytrzeć je o pled. Narobiła sobie dość kłopotów, zakochując się w draniu, i jeszcze tego brakowało, żeby teraz płakała z jego powodu.

Poruszyła się gwałtownie i usłyszała głośne skrzywienie. Musiała leżeć na wąskim łóżku albo na pryczy. Palcami próbowała wymacać krępujące ją więzy, rozpaczliwie szukając sposobu wyzwolenia się z tej matni. Nie był to jednak sznur, tylko coś szerokiego, co przypominało materiał i było bardzo mocne. Skrępowano ją...

Taśmą klejącą. Ktoś skrępował jej ręce oraz nogi w kolanach i kostkach taśmą.

Tomaso tak się zachwycał użytecznością taśmy

że w zeszłym roku na Boże Narodzenie wysłała mu całe pudełko. Co za absurd! Powinien ogarnąć ją pusty śmiech.

Ciągle nie mogła uwierzyć, że to zrobili. Madame Antonella, to jeszcze mogła zrozumieć.

Stara kobieta nie była już przy zdrowych zmysłach i dawno przekroczyła granicę, za którą zaczyna się obłąd i rodzą się dziwaczne pomysły.

Ale dlaczego, na Boga, Lauretta i Tomaso jej pomagali?

- Niech to jasna cholera! - Z ciemności

doszedł pełen złości jęk. – Chyba złamała mi rękę.

Charlie znowu popłynęły łzy z oczu.

– Maguire? – wykrztusiła drżącym głosem.

Zabrzmiało to jak żalosne tremolo.

– Jesteś tu, Charlie? – ucieszył się, jeżeli w takich okolicznościach można było cieszyć się z czegokolwiek. Przynajmniej Charlie nie ucieszyła się, ale poczuła ogromną ulgę. – Nic nie widzę w tych sakramenckich ciemnościach.

– Ja też cię nie widzę. Jeśli możesz się ruszać, idź za moim głosem.

– Charlie, wszystko mnie boli, nie dam rady wstać. Może ty przyjdiesz do mnie?

– Jestem skrupowana taśmą.

Zapadło długie milczenie i zaniepokoiła się, że Maguire stracił przytomność.

– Spróbuję się ruszyć – odezwał się w końcu.

Charlie usłyszała szelest ubrania, ostrożne stąpanie, stłumione przekleństwa i od czasu do czasu jęk bólu. Maguire powoli posuwał się w ciemnościach w jej stronę.

Drgnęła, kiedy poczuła dotknięcie jego ręki.

Po chwili rozbłysnął płomyk światła, bo Maguire zapalił zapalniczkę.

– Zapomniałem, że mam ją przy sobie – powiedział, przyglądając się Charlie. Migotliwy płomyk oświetlił też jego twarz.

– Mój Boże, wyglądasz naprawdę koszmarnie

– stwierdziła. Miała nadzieję, że Maguire nie zauważy łez. Cały był w pyle, miał rozerwaną koszulę, posiniaczoną i pokaleczoną twarz. – Co się stało?

– Ta stara wiedźma zdzieliła mnie w plecy drewnianą pałą, kiedy stałem nad wyrwą w posadzce. Spadłem do krypty łbem do przodu. Nie mam pojęcia, jak się tu dostałem. Nie jest aż tak silna, żeby mnie przeciągnąć.

– Na pewno Tomaso wyświadczył jej tę przysługę.

Oboje z Laurettą jej pomagają.

Maguire zgasił zapalniczkę i pomieszczenie znów pogrążyło się w nieprzeniknionych ciemnościach.

Charlie wzdrygnęła się.

– Dlaczego to zrobisz?

– Musimy oszczędzać benzynę. Dobrze, że nie pozwoliłaś mi palić, bo nic by nie zostało.

– Zaczął przesuwać dłonią po ciele Charlie,

sprawdzając krępujące ją więzy. – Wiesz, dla mężczyzny ma to nawet swój erotyczny posmak.

– Maguire, stara wariatka próbuje nas zabić, pomaga jej dwoje wcale nie starych i ani trochę obłąkanych ludzi, a ty opowiadasz o erotycznych

posmakach. Nie pora teraz na bzdury.

- Na to zawsze jest pora, skarbie. Domyślasz się, dlaczego jej pomagają?

- Nie mam pojęcia. Nie wiem nawet, dlaczego chce mnie zabić.

- Ja wiem.

Niecierpliwie czekała na wyjaśnienia, ale Maguire najwyraźniej był czymś zajęty.

- Co ty, do diabła, robisz? - nie wytrzymała w końcu.

- Próbuję otworzyć mój ukochany szwajcarski scyzoryk, słoneczko. Nigdzie się bez niego nie ruszam.

- Prawdziwy skaut - mruknęła Charlie.

- Powinnaś być mi wdzięczna. Prawdę mówiąc, wolałbym zostawić cię skrępowaną. Mógłbym przez przypadek zapomnieć o swoim scyzoryku.

Z ulgą poczuła, że Maguire zabiera się do rozcinania taśmy.

- Nie zapalisz zapalniczki? - zapytała nerwowo.

- Obawiam się, że w tej chwili dysponujemy tylko jedną zdatną do użytku ręką. Nie ruszaj się, bo ci pokaleczę nadgarstki.

Charlie znieruchomiła i Maguire zdjął taśmę krępującą dłoń.

- Dlaczego?

- Co dlaczego?

- Powiedziałaś, że wiesz, dlaczego madame Antonella chce mnie zabić.

- Bo nie jest taką sobie zwykłą madame Antonellą, emerytowaną kochanicą sławnego malarza, tylko panią Aristide'ową Pompasse. Ślub odbył się w 1957 roku. Tak więc w obliczu prawa nigdy nie byłaś żoną Pompasse'a, bo stary nigdy się z nią nie rozwiódł. To ona jest wdową, a nie ty.

- Sukinsyn.

- Precyzyjne określenie. A teraz leż spokojnie i pozwól mi na perwersyjną przyjemność uwolnienia cię z tych cholernych taśm.

- Uważaj, Maguire - zachnęła się. - Nie mam nastroju na głupie żarty. - Mogła wreszcie usiąść.

Szybko pozbyła się resztek taśmy. Na szczęście przyklejona była do ubrania, a nie do ciała, jednak ręce bolały.

Wzięła głęboki oddech i zaniósła się kaszlem.

- Śmierdzi tu jak na wysypisku śmieci - powiedziała z desperacją.

- Eee... Przykro mi to mówić, skarbie, ale to nie jest smród odpadków.

- Co w takim razie?

Maguire zapalił na chwilę zapalniczkę i spojrzał na Charlie.

- Nie myśl teraz o tym. Tak będzie lepiej
 - poradził z ponurą miną.
 - Musimy się stąd jak najszybciej wydostać, zanim po nas wrócą.
 - Jeśli wrócą.
 - Mówisz kryptogramami.
- Maguire zaśmiał się, ale zabrzmiało to niespecjalnie wesoło.
- Aż nazbyt trafne określenie. Jesteśmy w krypcie, a odór, który czujesz, to rozkładające się ciała. Zamknęli nas tutaj, żebyśmy i my zdechli. Przez chwilę oszołomiona Charlie nie była w stanie nic powiedzieć.
 - Skąd wiesz? Jesteś takim ekspertem? - wykrztusiła w końcu.
 - Znam zapach śmierci. Byłem reporterem wojennym. Jeszcze jeden błąd młodości. - Mówił bezbarwnym, obojętnym głosem. Charlie przypomniała sobie plakietki, które widziała w komodzie.
 - W porządku, zamknęli nas z trupami. To nie znaczy jeszcze, że się stąd nie wydostaniemy. Chyba że się poddajesz?
 - Nie, skarbie. Znajdziemy wyjście. Musi być już dobrze po północy. Do rana najpewniej nikt tu nie przyjdzie, jeśli w ogóle ktoś się pofatyguje. Musimy być ostrożni, bo ten kościół się wali. Stara wiedźma ma pewnie nadzieję, że zasypie nas gruz. Nas i obrazy.
- Obrazy?
- Rozejrzyj się. - Podniósł wysoko zapalniczkę.
 - Znaleźliśmy zaginione obrazy. Jest ich tu ponad dziesięć, czyli więcej niż przypuszczaliśmy. Są warte prawdziwą fortunę. Dzienniki Pompasse'a też pewnie tu były. Te popioły - Maguire wskazał zapalniczką miejsce - wyglądają mi podejrzanie. Musiała je spalić.
 - Dlaczego?
 - Może bała się tego, co Pompasse napisał? Nie wiem. Na szczęście oszczędziła obrazy.
 - Nie zniszczyłaby ich, są zbyt cenne.
 - Nie sądzę, żeby Antonelli zależało na pieniądzach. Jest rozwścieczona jak wszyscy diabli, zajadła i kompletnie szalona. Gotowa zniszczyć każdego, kto stanie jej na drodze. Charlie próbowała usiąść, lecz zaraz opadła na pryczę z głośnym jękiem. Maguire drgnął, upuścił zapalniczkę i zaklął równie głośno.
 - Co się dzieje?
 - Strasznie boli mnie głowa - odpowiedziała Charlie przez zaciśnięte zęby.
 - Mnie to mówisz? - syknął. - Teraz nie znajdę tej cholernej zapalniczki.

Charlie jeszcze raz spróbowała usiąść. Tym razem podniosła się powoli, bardzo ostrożnie. Przeszywający czaszkę ból trochę osłabł.

- Pomogę ci. - Charlie zsunęła się z pryczy,

ponieważ jednak nie widziała Maguire'a, wylądowała mu na karku.

- Uważaj na moją rękę!

- Kaleka - mruknęła z pogardą.

Maguire znalazł zapalniczkę i zapalił ją. Klęczeli twarzą w twarz, bliżej siebie, niż myślała.

- Przysuń się jeszcze bliżej i powtórz to - zażądał urągliwie.

Przez chwilę nie ruszała się. Miała wrażenie, że zaraz umrze. Nienawidziła go całym swoim jestestwem. I nigdy w życiu nie widziała równie przystojnego faceta.

- Do diabła z twoją ręką - powiedziała i rzuciła się na Maguire'a.

Znowu upuścił zapalniczkę, a zaraz potem chwycił Charlie zdrową ręką. Zaczęli się całować i po chwili, spleceni ze sobą, leżeli na podłodze. Charlie bezwstydnie sięgnęła do zamka błyskawicznego przy spodniach Maguire'a.

Powstrzymał ją, kładąc dłoń na jej dłoni.

A ona tak go pragnęła, potrzebowała, pożądała.

Ech!

- Spokojnie, maleńka. - Z gardła Maguire'a dobył się stłumiony śmiech. - Będziemy mieli na to mnóstwo czasu, tylko trochę później.

- Umrzemy tu. - Charlie prawie płakała.

- Chcę się z tobą kochać.

- Będziemy się kochać dzień i noc, na okrągło, ale nie tutaj, między trupami. Jakby tego było

mało, w każdej chwili może przyjść ta obłąkana wiedźma. Pozbieraj się, Charlie. - Podniósł jej dłonie do ust i pocałował. - Co ja narobiłem? Rozpętałem żywiol.

- Właśnie chciałam zrobić to samo. - Znowu próbowała sięgnąć do zamka błyskawicznego i znowu Maguire musiał ją powstrzymać.

- Dość. - Zabrzmiało to surowo i stanowczo.

- Dać dziewczynie kilka orgazmów i potem człowiek nie może sobie z taką poradzić.

- Uważam, że powinnam spróbować - mruknęła, przysuwając się do Maguire'a.

Jęknął.

- Przestań, Charlie. Cholernie mnie rozpraszasz.

Musimy znaleźć jakieś wyjście, zanim sklepienie spadnie nam na głowę.

- Albo zanim pojawi się madame Antonella, żeby z nami skończyć - dodała Charlie.

- Ciii! - szepnął Maguire. Usłyszeli kroki

w oddali. Ktoś szedł w stronę zamkniętej części krypty.

- Za późno - szepnęła Charlie. - Nie zdążyliśmy.

- Kładź się na pryczy i udawaj nieprzytomną, ja poszukam jakiejś broni.

- Pomogę ci... - zaczęła, ale Maguire brutalnie pchnął ją na pryczę, klnąc pod nosem, bo przy okazji uraził złamaną rękę.

- Bądź cicho - nakazał surowo, po czym wstał

i odszedł. Wątlły płomyk zapalniczki zniknął w ciemnościach.

Maguire poruszał się niemal bezgłośnie, ale Charlie miała wrażenie, że słyszy jego nieme przekleństwa i tłumione jęki. Kroki zbliżały się nieubłaganie. Żadnych głosów. Prawdopodobnie był to jeden człowiek, co oznaczało, że mieli szansę, by go pokonać.

Uzbrojony w kij od miotły Maguire wyłonił się na powrót z ciemności. Na widok powątpiewającej miny Charlie wzruszył tylko ramionami.

- Pozwól mi spojrzeć... - Chciała się podnieść i po raz drugi została pchnięta na pryczę.

- Naprawdę lepiej nie patrzeć, uwierz mi

- burknął ponuro.

Charlie poczuła niemity ucisk w gardle, przełknęła z trudem ślinę.

- Widziałam już obrazy.

- Tam... jest coś jeszcze.

- I to coś tak śmierdzi?

- Tak.

- Lepiej, żebym tego nie widziała?

- Lepiej, żebyś nie widziała. Są tu od bardzo dawna. Nikt, kogo mogłabyś znać.

- Oni? - prawie krzyknęła zduszonym głosem.

- Nie myśl o tym.

Mogli teraz dojrzeć światło, które padało przez

szpary w prymitywnych drzwiach zбитych z kilku grubych desek.

- A twój scyzoryk? Nie użyjesz go? - szepnęła Charlie.

- Kij od miotły będzie znacznie lepszy. Bądź cicho.

Ktoś próbował otworzyć drzwi. Obydwoje wstrzymali oddech, a Maguire uniósł kij, gotując się do ataku.

Drzwi zaskrzypiały głośno, otworzyły się i ponure wnętrze załało oślepiające światło.

- Charlie? Jesteś tutaj?

Był to głos Olivii. Maguire odrzucił kij od miotły i wyrwał Olivii latarkę z ręki.

- Jezu Chryste, co ty tutaj robisz?

Kiedy skierował na nią strumień światła, Olivia

wyraźnie się obraziła.

- Wyobraź sobie, że szukam mojej córki.

Wróciłam do willi, a tam pusto, głucho, ani żywej duszy. Zobaczyłam tu jakieś światła, więc przyszłam, żeby zobaczyć, co i jak.

- Zobaczyć, co i jak? - powtórzyła zdumiona Charlie. - Przecież to cała wspinaczka, a nie spacer dla relaksu.

- Jakbym nie wiedziała - obruszyła się Olivia, ale takim bardziej omdlewającym głosem. - Moje ferragamosy ⁴ są do wyrzucenia, połamałam paznokcie,
⁴ Bardzo drogie, luksusowe pantofle firmy Ferragamos

zgubiłam soczewki kontaktowe i jestem w podłym nastroju. Wolę być w centrum uwagi, niż uganiać się po okolicy, usiłując ratować swoją córkę. Co tu się, do ciężkiej cholery, dzieje?

- Gdzie jest Henry? Gdzie Gia?

- Zostawiłam ich w Geppi. Jutro lecą do Stanów. Skutecznie się go pozbyłaś, ale za to masz przy sobie piśmiennego kangura, który doskonali swój talent w najgorszym szmatławcu.

- Wypchaj się - warknął Maguire.

- No więc co się dzieje? Powieście mi wreszcie?

I co tak obrzydliwie śmierdzi?

- Lepiej, żebyś nie wiedziała - oznajmili jednogłośnie.

- Wyośmy się stąd - dodał Maguire. - Porozmawiamy później...

Lecz niestety było już za późno, bowiem za plecami Olivii pojawiła się Lauretta. Na jej twarzy malował się niczym niezmacony, wręcz stoicki spokój.

- Lauretta! - powitała ją Olivia niemal radośnie, zerkając przez ramię. - Właśnie cię szukałam.

Musisz mi pomóc odstawić tych dwoje idiotów z powrotem do willi. Nie pytaj mnie, co tutaj robią, ale podejrzewam, że uprawiają perwersyjne amory. No cóż, można tak, można i siak, byle przyjemność była obopólna. Charlie, Lauretta pomoże ci wstać i wychodzimy z tej nory. (Charlie nie poruszyła się, Olivia porzuciła

sarkastyczną ironię na rzecz zniecierpliwienia.

- Nie mam nastroju do żartów, dziecko najdroższe.

Dotarłam tu z narażeniem życia, żeby cię ratować, tymczasem ty wcale nie chcesz ratunku.

Podnieś wreszcie swój tyłek i wracamy do willi.

Lauretta przygotowuje nam coś dobrego do jedzenia.

- Nie sądzę - to była cała odpowiedź Charlie.

Olivia powoli się odwróciła i uważnie spojrzała na Laurettę. I na pistolet w jej dłoni.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Charlie była pełna podziwu dla matki, bo Olivia zachowała zimną krew. Stała bez ruchu, nie mrugnawszy nawet okiem.

- Cóż - podjęła z niezmaconym spokojem.
- Zechcesz mi wyjaśnić, co to ma znaczyć, Lauretto? - zapytała stanowczo. - Daj mi ten pistolet, proszę. No już. - Wyciągnęła rękę gestem nieznoszącym sprzeciwu.

O dziwo, władczy ton i gest niemal odniosły skutek. Lauretta najwyraźniej się stropiła i już miała oddać pistolet, niestety w ostatniej chwili zmieniła zdanie.

- Wybacz, madonna - powiedziała suchym głosem i cofnęła się o krok.
- Nie podoba mi się to - zgromiła ją Olivia.
- Zupełnie mi się nie podoba. Dlaczego chcesz skrzywdzić moją córkę?
- Pani nic nie rozumie, hrabino. - Lauretta nie

wiedzieć z jakiej racji użyła tytułu, którym podczas trwania któregoś ze swoich małżeństw posługiwała się Olivia. - Muszę chronić własną rodzinę. Obiecałam to przed Bogiem naszemu panu. Przrzekłam, że będę opiekować się wdową po nim i dlatego robię to wszystko, co ona mi każe. Spełniam tylko jej polecenia. Nie mam innego wyboru, kiedy obiecałam. Tak się oto sprawy mają, pani hrabino.

- O kim ty, do diabła, mówisz? - zirytowała się Olivia. - Właśnie mierzysz z pistoletu do wdowy po Pompassie.
- Nie, mam. Jego żoną cały czas była Antonella, a ja nigdy - wyjaśniła Charlie.
- Sukinsyn - skwitowała Olivia.
- Jestem dokładnie tego samego zdania
- przytaknęła skwapliwie Charlie.
- Popieram. A na domiar wszystkiego madame Antonella okazuje się być mamusią naszej drogiej Lauretty - wtrącił Maguire. - Dzięki Bogu to nie Pompassie był jej ojcem.
- Dlaczego dzięki Bogu? - zapytała Charlie z pewnym roztargnieniem.
- Cała ta historia jest kompletnie chora, ale kazirodztwo to już naprawdę byłaby przesada
- skrzywił się Maguire.
- Dość! - Głos Lauretty zabrzmiał niemal tak apodyktycznie jak głos Antonelli, kiedy stara wiedźma zaczynała rządzić wszystkimi wokół.

Charlie nie mogła się nadziwić, jak to się stało, że wcześniej nie dostrzegła podobieństwa między obiema kobietami.

- Chciałam oszczędzić ci najgorszego, Charlie
- podjęła Lauretta niemal z żalem. - Pomogłam

ci uciec z La Colombali pięć lat temu, próbowałam pomóc ci i tym razem. Namawiałam cię, żebyś wyjechała, starałam się przemówić do rozumu, ale ty mnie nie słuchałaś. Moja matka jest gotowa na wszystko, więcej, ona już podjęła decyzję, a ja nic na to nie mogę poradzić. Niech się to przynajmniej odbędzie szybko.

- Podniosła pistolet, podkreślając tym samym rolę, jaką miał odegrać w tej całej historii.

- Miło z twojej strony. Dziękujemy za troskliwość, ale mam dziwne wrażenie, że wolelibyśmy zdać się na madame Antonellę - odezwał się Maguire.

- Nie wiesz, co mówisz - mruknęła Lauretta.

- Ona zabiła Pompasse'a. Odkryła, że chce się z nią rozwieść, oddać ją do domu starców i potem nakłonić Charlie do powrotu. Cały czas myślał, że Charlie coś od dawna podejrzewała, a może nawet dowiedziała się jakimś sposobem, że nigdy się z nią naprawdę nie ożenił, i dlatego odeszła. Nie mógł uwierzyć, że ktoś może go porzucić.

- Nie ja jedna tak postąpiłam. Nie byłam pierwsza ani ostatnia. Wiele kobiet zniknęło z jego

życia - przypomniawszy Charlie. - Modelki, kochanki... przecież odchodziły...

- Nie, nie odchodziły. Nawet moja rodzona córka od niego nie odeszła.

- Twoja córka? - powtórzyła Charlie.

- Wszystkie tu są. - Lauretta smutno pokiwała głową. - Madame Antonella je tu umieszczala. Moją biedną Luisę też. - Głos się jej załamał. - Są tam, w grobowcu. I ty się tam znajdziesz. Żal mi ciebie serdecznie, ale nic nie mogę zrobić.

- Nic nie możesz zrobić? - zapytała Olivia ze zgrozą w głosie. - Zabiła twoją córkę, a ty nic nie możesz zrobić? I jeszcze jej pomagasz?

- Jest moją matką - powiedziała Lauretta po prostu, jakby to miało wyjaśnić wszelkie wątpliwości.

- Przysięgłam Pompasse'owi, że będę się nią opiekowała, że przy mnie będzie bezpieczna. Bardzo nalegał, a jeszcze bardziej, kiedy już poznaliśmy całą prawdę. Tobie nic się nie stało, Charlie, bo Pompasse kazał dawać jej różne pigułki, takie na oszołomienie, żeby nie wiedziała, co się dookoła niej dzieje. Nie potrafił jej ukarać, nie mógł, najzwyczajniej w świecie nie mógł, ale wiedział, że musi ją jakoś powstrzymać. Dawniej to nawet lubił ją judzić przeciwko różnym swoim modelkom. Mówił, że Antonella jest jak kot między gołębiami. Aż zaczęła je mordować.

- Dlaczego nie oddał jej do zakładu?

- Nigdy by tego nie zrobił - obruszyła się

Lauretta, zaszokowana na samą myśl o podobnym rozwiązaniu. – A i ja pierwsza bym nie pozwoliła. W końcu jej powiedział, że ma do wyboru: albo będzie brała pigułki, po których się uspokoi, albo pójdzie do zamkniętego zakładu, gdzie trzymać ją będą do końca życia. Wybrała, ma się rozumieć, pigułki i nigdy nie próbowała podnieść na ciebie ręki. Ale kiedy daliśmy jej do podpisania papiery rozwodowe, nawet pigułki nie pomogły. Uciekła z domu. Znaleźliśmy ją w mieszkaniu Pompasse'a. On leżał na podłodze martwy na amen, a ona siedziała przy jego zwłokach i śpiewała.

– To jakaś makabra – rzuciła Olivia ostro.

– Idę szukać pomocy. – Chciała minąć Laurettę, ale dostała od niej w twarz, zatoczyła się na ścianę i osunęła na podłogę.

Poleciało kilka kawałków zniszczonego erozją kamienia, posypał się tynk.

– Nigdzie nie pójdziesz, pani hrabino – oznajmiła Lauretta z mocą. – Tomaso zaraz przyprowadzi madame i niech już raz będzie temu koniec. Przykro mi, żeś tu trafiła. Wielki żal tracić dziecko. Sama dobrze wiem, co to za ból, ale ja przynajmniej dowiedziałam się, kiedy już było po wszystkim.

– Ty szalona, nieprzytomna suko – warknęła z furią Olivia.

– Olivio, ona ma pistolet, nie rób nic głupiego

– ostrzegł ją Maguire.

– Idą już – powiedziała Lauretta i dodała

z emfazą: – Okażcie szacunek wdowie.

Pojawili się u wejścia do krypty niby dwuosobowa

uroczysta procesja. Antonella, ubrana

w najlepsze suknie, zdążyła potężnie zaślinić

czarny atłas. Nałożyła brylanty, które Pompasse

ofiarował kiedyś Charlie, a których ona nie chciała

zabierać, opuszczając La Colombalę. Były

znacznie stosowniejsze dla starej damy niż dla

młodej dziewczyny.

Tomaso podtrzymał Antonellę, miał przy

tym zbolałą, nieszczęsną minę. Tkwi w tym

wszystkim po uszy, ale najchętniej uciekłyby gdzie

pieprz rośnie, pomyślała Charlie.

– Ostrzegam, trzymaj się z daleka od mojej

córki, stara wiedźmo! – warknęła Olivia, podnosząc

się z podłogi.

– Zabij ją, Lauretto – rozkazała Antonella

i zanim Charlie zdążyła choćby krzyknąć, rozległ

się ogłuszający wystrzał.

W mroku rozpraszonym tylko przez strumień

światła bijący z latarki Lauretta musiała chybić

i rzeczywiście chybiła. Pocisk trafił w ścianę tuż

nad głową Charlie. Znowu posypały się kawałki kamieni, gruz, pył. Maguire chwycił Charlie za rękę i pociągnął ku sobie.

- Nie z pistoletu, ty głupia dziwko - zbeształa

córkę stara. - Chcesz, żebyśmy wszyscy zginęli pod ruinami? Oddaj broń mężowi i skreć jej kark. No już, bierz się za nią!

Lauretta nie wiedziała, co robić. Z nietęgą miną podała pistolet Tomasowi, a ten wziął go, jakby to było coś nieczystego.

- Mama, ja... ja... - wyjąkała roztrzęsiona

Lauretta - ja... nie mogę...

- To taka prosta rzecz - zbyła jej wątpliwości

Antonella. - Nie raz zabijałaś kurczaki czy owce, zabijesz i to nędzne stworzenie. Jeden ruch i będzie z nią koniec.

- Madame Antonello, nie może pani tego od nas żądać - wtrącił się Tomaso, a jego głos chyba nigdy jeszcze nie brzmiał tak żałośnie. - Signora Charlie nie zrobiła nam żadnej krzywdy. To dobra dziewczyna...

- Odeślij precz swojego bezrozumnego męża, Lauretto - poleciła Antonella. - Tylko nam tu przeszkadza.

Tomaso wycofał się, ale tylko do drzwi. Od chwili kiedy przyszedł z Antonellą, miał tę samą zbolatą minę i najwyraźniej czuł się winny, że nie jest w stanie nic zrobić.

Nie zwracając uwagi na Olivię, madame Antonella zbliżyła się do Charlie. Uśmiechnęła się szeroko, eksponując nowe, imponujące uzębienie.

Charlie poczuła, że żołądek wywraca się jej na drugą stronę.

- Myślałaś, że cię kocha, co? - zagadnęła

wyzywająco. - Że się z tobą ożenił i wszystko tobie zostawił? Nigdy się z tobą nie ożenił.

Pompasse miał tylko jedną żonę. Ja nią byłam i ja jestem wdową po nim.

- Oczywiście, madame - powiedziała Charlie najłagodniejszym głosem, na jaki mogła się zdobyć.

- Pani dobrze wie, że zawsze darzyłam panią ogromnym szacunkiem...

- Milcz! - wrzasnęła Antonella. - Myślałaś, że mnie przechytysz, prawda? Jak cała reszta.

One też tak myślały. Głupie, głupie kobiety.

Zrobiłam z nimi porządek, z tobą też zrobię porządek. Nigdy cię nie znajdą. Was wszystkich nikt nigdy nie znajdzie, żeby nie wiem jak szukał.

Obrazów Pompasse'a też nie znajdą - ciągnęła z satysfakcją. - Wszystkich zabrać nie dałam rady, ale mam ich dość. Są tutaj, tu je zgromadziłam. Skończcie z wami i wreszcie będzie spokój,

raz na zawsze. Koniec. Możecie pożegnać się ze światem. Pójdziecie do grobowca, tam gdzie leżą inne.

- Jakie inne, madame Antonello? - odezwał się niespodziewanie Maguire. - Kim one są? Powie nam pani?

- Zamknij się, Maguire - szepnęła Charlie.

- Próbuję przemówić jej do rozumu.

- Jej nie sposób przemówić do rozumu, skarbie

- powiedział Maguire głośno. - Niech mi pani

powie, kim są te kobiety w grobowcu? - powtórzył.

- Laretta mówiła, że to kochanki Pompasse'a i pani ofiary.

- Moja córka zna moje sekrety - oświadczyła Antonella z zadowoleniem, jakby się pyszniła tym faktem. Charlie miała ochotę kopnąć Maguire'a, ale jej uwagę przyciągnął Tomaso. Dotąd najwyraźniej nie miał pojęcia, jak daleko posunęła się w swoim obłędzie Antonella. Wiadomość o trupach w grobowcu wstrząsnęła nim, to było widać, i teraz ze zgrozą wpatrywał się w żonę.

- Niech nam pani powie, kto tam leży - nie przestawał prosić Maguire. Mówił łagodnym, pełnym podziwu głosem. - Musiała być pani bardzo przebiegła, skoro przez tyle lat nikt nie odkrył prawdy. Lubię, kiedy kobieta jest zarazem piękna i bystra. Ale to rzadkość. - On z nią flirtuje, zdumiała się Charlie. Stara wiedźma dała się wziąć na lep nie wymyślnych komplementów. Reagowała jak jakaś upiorna pensjonarka. - Bardzo jestem ciekaw, jak pani to robiła?

Antonella napuszyła się, a potem uśmiechnęła.

No cóż, urok Maguire'a podziałał.

- Mówiłam wam już, to proste. Trzeba tylko skręcić kark. Szybka, w miarę bezbolesna śmierć.

Nie wiedziały nawet, kiedy przychodzi. Przyprawiałam je tutaj, niby to pokazać im ukryte obrazy Pompasse'a. Obrazy zabierałam, kiedy

nie widział, najprędzej jak akurat nie było go w domu. Biedny Pompasse, nigdy ich nie mógł znaleźć - uśmiechnęła się niemal czule do własnych wspomnień.

- I wszystkie je pani zabiła? - dopytywał się dalej Maguire. - Wszystkie te kobiety, które chciały stąd odejść?

- Skądże. Tylko te, które chciały zostać, bo tylko one były naprawdę niebezpieczne. To je musiałam zabijać.

- Nawet tę młodą? - zachęcał starą wiedźmę Maguire. - Jak ona miała na imię?

- Luisa - powiedziała Antonella spokojnie.

- Mała dziwka. Moja wnuczka, a jego rodzona córka. Zrobił z niej swoją kochankę, kiedy miała piętnaście lat. Zabiłam ją, jak skończyła szesnaście. Lauretta nie była zadowolona, gniewała się, ale mi pomagała. Obiecała Aristide'owi, że zawsze będzie przy mnie, zawsze będzie robiła to, o co poproszę.

- Cholera - mruknął Maguire pod nosem.

- Masz babo kazirodztwo. A już myślałem, że obejdzie się bez tego.

- Na Boga, nie! - rozległ się cichy jęk bólu. Były to pierwsze słowa, które wyrwały się z piersi Tomasa. - Na Boga, nie! Nie moje dziecko... moja córeczka... moja Luisa... Lauretta rzuciła mu błagalne spojrzenie.

- Nie mogłam jej powstrzymać, Tomaso. Było

już za późno. Nie miałam wyboru, musiałam chronić moją matkę...

- Zabiła naszą córkę, a ty ją cały czas chroniłaś?

- Głos Tomasa zagrział, poniósł się dudniącym echem po krypcie. - Kim ty jesteś? Człowiekiem? Jesteś gorsza od niej. Jesteś potworem.

- Zanim Lauretta zdążyła się zorientować, podniósł pistolet i strzelił.

- Cholera - zaklął Maguire. - Ruszaj się.

- Pchnął Charlie w najdalszy kąt, potem chwycił Olivie i pociągnął za sobą. Krypta zaczęła dosłownie drzeć w posadach. Lauretta trzymała się za brzuch i wpatrywała w męża zdumionym wzrokiem.

- Tomaso, dlaczego? - zapytała jeszcze żalnym głosem.

Antonella podniosła wrzask, ohydnie bluzgając w kilku językach równocześnie. Tomaso odwrócił się w jej stronę, zdecydowany, teraz już stanowczy, choć po pierwszym wstrząsie nieporuszony, i wystrzelił ponownie. Stara wiedźma runęła na ziemię niczym wielkie, powalone uderzeniem wichury drzewo.

I wtedy zaczęło walić się sklepienie, grzebiąc całą trójkę. Rozległ się głuchy huk, porównywalny tylko z bombardowaniami, które częściowo zniszczyły kościółek w czasie II wojny światowej. Maguire pchnął Charlie na ścianę i zastonił ją

swoim ciałem. Chciała się uwolnić, sprawdzić, czy matce nic się nie stało, ale Maguire ani drgnął. Potworny huk walącego się sklepienia przerażał i ogłuszał.

Charlie była pewna, że tym razem już nie wywinie się śmierci. Nie chciała umierać, nie zdążywszy powiedzieć Maguire'owi, że go kocha, ale nawet gdyby

wykrzyczała to na całe gardło, ile sił w płucach, nie usłyszałby jej, poza tym może lepiej dla niego, żeby nie wiedział. Przynajmniej nie umrze zadufany w sobie.

Chwilę trwało, zanim uświadomiła sobie, że dudnienie ustało, choć ciągle jeszcze brzmiało echem w uszach. W powietrzu wisiał gęsty kurz. Charlie odepchnęła Maguire'a.

- Mama! - krzyknęła.

Gdzieś z podłogi, tuż obok, doszedł głośny kaszel.

- Tutaj, kochanie - rozległo się w ciemnościach.

- Nic mi nie jest.

- Dzięki Bogu - szepnęła Charlie. - Maguire...?

- Wyciągnęła rękę i usłyszała skowyt bólu.

- Żyję, choć nie wiem, czy mam na to ochotę - stwierdził kwaśno.

Kurz powoli opadał. Nad kryptą otworzyło się rozgwieżdżone niebo ze świetlistą tarczą księżyca. Jasne światło kładło się srebrną poświatą na

zwałach gruzu. Runęło sklepienie krypty i część nawy, grzebiąc Tomasa, Laurettę i Antonellę.

- Jezu - sapnął Maguire. - Spójrz tam.

- Oni nie żyją - powiedziała Charlie.

- Nie mówię o nich, obejrzyj się za siebie.

Charlie odwróciła się. Druga część krypty też się zawaliła. Zniknęły pod kamieniami obrazy Pompassé'a, zniknęły szczątki kobiet uśmierconych przez szaloną Antonellę. Sklepienie zachowało się tylko w miejscu, w którym schronili się Charlie, Olivia i Maguire.

- Nie mogę uwierzyć. - Maguire pokręcił głową. We włosach i na ramionach miał drobne odłamki kamieni, cały pokryty był pyłem. Charlie pomyślała, że musi wyglądać podobnie. - To jakiś cholerny, niepojęty cud.

- Chyba zemdleję - powiedziała Charlie słabym głosem.

- Zapomnij o tym, nie podźwignę cię jedną ręką. Wytrzymałaś tyle, wytrzymasz jeszcze trochę. Nic nie poradzę. Musisz dojść o własnych siłach do willi, skarbie.

Olivia z trudem podniosła się z ziemi.

- Poza tym jeśli ktoś ma tu zemdleć, to ja. Za dużo się zdarzyło jak na jeden dzień. Kompletnie do mnie nie pasuje rola bohaterki, to wbrew mojej naturze, ale uważam, że spisałam się po prostu wspaniale. I na tym bym poprzestała. Teraz potrzebuję gorącej kąpieli, porządnego odpoczynku

i jakiegoś dorodnego młodego człowieka, który pozwoliłby mi zapomnieć o bólu w kościach.

- Możesz sobie wziąć mojego - zaproponowała wielkodusznie Charlie.

- Twojego, powiadasz? - mruknęła Olivia.

- Nie wiem, czy on już o tym wie.

Charlie spojrzała na Maguire'a. Miał wyjątkowo głupią minę, jakby nie był do końca pewien, czy podoba mu się to, co słyszy.

- Zdecydowanie mojego - oświadczyła Charlie z mocą.

- Musimy o tym jeszcze porozmawiać - powiedział Maguire. - Tymczasem wynośmy się stąd w jasną cholerę.

Zejście stromą ścieżką do willi trwało w nieskończoność.

Zawsze młodzieńcza Olivia była

w o wiele gorszej formie, niż chciałyby przyznać.

W krypcie rozcięła sobie nogę odłamkiem kamienia

i mocno krwawiła, krew spływała po jedwabnych

spodniach do pantofla. Maguire nie mógł jej

nieść, próbował tylko podtrzymać ją zdrową

ręką, chroniąc przed upadkiem na zdradzieckiej

ścieżce. Charlie podążała o krok za nimi. Też szła

z trudem, nadal przecież była boso. Jej buty stały

sobie spokojnie w sypialni Maguire'a, a innych,

jak wiadomo, nie miała kiedy włożyć.

Powolne tempo miało swoje dobre strony.

Zdążyli po drodze obmyślić przekonującą wersję

wydarzeń. Nie było powodów, żeby opowiadać policji, co naprawdę zaszło w kościele, przekonywała Olivia. Dość pomyśleć, jaki wybuchłby

skandal. Nic nie mogło wskrzesić Pompasse'a,

poza tym w pełni zasłużył sobie na śmierć, którą

zgotowała mu madame Antonella. Jeśli wszyscy

troje konsekwentnie będą powtarzali tę samą

historię, z pewnością uda im się zatuszować

sprawę i policja szybko przestanie interesować

się mieszkańcami La Colombali.

Maguire w milczeniu słuchał argumentów wykładanych przez Olivię.

Rzęsiście oświetlona willa była niby latarnia

morska wskazująca z oddali drogę rozbitkom.

Policjanci wyszli im na spotkanie. Do tej pory

czekali na zboczu wzgórza powyżej domu. Rosły,

młody sierżant wziął Olivię na ręce i tak przebyła

resztę powrotnej drogi. Drugi chciał pomóc Charlie,

ale groźne spojrzenie Maguire'a natychmiast

sprawiło, że szybko się wycofał, grzecznie przepraszając

za śmiałość.

- Mówiłam już, że zawiadomiłam policję,

zanim poszłam was szukać? Czułam, że stało się

coś złego. Taki straszny wypadek zdarzył się tam

na górze, w ruinach - mruzczała Olivia, wychylając

głowę z ramion sierżanta. Jej głos brzmiał tak,

jakby znakomicie się bawiła. - Postąpiłam bardzo

roztropnie, nie sądzicie?
Maguire nadal milczał.

Rozdzielili ich. Zabrali go, zanim zdążył porozmawiać z Charlie. Zabrali też Olivię. Oboje wymagali opieki szpitalnej. Co oznaczało, że Charlie musiała sama odpowiadać na wszystkie pytania, choć przecież marzyła tylko o tym, żeby zwinąć się w kłębek i zasnąć.

Przesłuchanie trwało niemal do świtu. Dniało, kiedy wreszcie przestali ją wypytywać, ale chyba uwierzyli w to, co usłyszeli. Mniej więcej o tej samej szarej godzinie wrócił ambulans z Olivią. Tylko z Olivią.

- Gdzie Maguire? - zapytała Charlie bez zbytecznych wstępów.

- Tak, kochanie, czuję się już dobrze, nic mi nie jest. To miło, że tak się o mnie troszczysz - powiedziała Olivia słodkim tonem. - Niewdzięczne dziecko gorzej kąsa niżli zęby węzła, czy jakoś tak...

- „O ile dotkliwiej niż ukąszenie zjadliwego gadu boli niewdzięczność dziecka”⁵. Gdzie on jest, Olivio? Dlaczego nie wrócił z tobą? Jest w gorszym stanie, niż myślałam? Powiedział im prawdę?

- Tam na górze, w gabinecie grozy, zawołałaś „mama”. Podobało mi się to. Od wieków tak mnie nie nazywałaś.

⁵ William Szekspir, Król Lear, akt I, sc. IV. Przekład Józefa Paszkowskiego (przyp. tłum.)

- Gdzie on jest, mamó?

- Czuje się dobrze, kochanie. Wrócił do Florencji. Kiedy się ze mną żegnał, powiedział, że nie będzie ci już potrzebny.

- Tak powiedział? - Charlie nie mogła się zdecydować, czy ma wpaść w przygnębienie, czy też raczej w furję.

- Jeśli trochę znam Maguire'a, to pisze w tej chwili artykuł o swojej niewinnej eskapadzie i mrozących krew w żyłach przejściach dzisiejszej nocy. Nie powiedział słowa policji, ale wiesz doskonale, że reporterom nie można ufać. Żyją z tego, czego się dowiedzą, a resztę zmyślą. Masz wyjątkowo koszmarny gust, jeśli chodzi o mężczyzn, moja droga. Najpierw ten straszny, zadufany w sobie staruch, a teraz znowu pismak z najgorszego brukowca.

- Zapomniałaś wspomnieć o Henrym - zauważyła Charlie z przekąsem.

- O Henrym po prostu się zapomina. To facet, który wylatuje człowiekowi z pamięci. Pozwolisz mu to zrobić?

- Co takiego?
- Pytam, czy pozwolisz Maguire'owi pisać kretyńskie, skandalizujące teksty o Pompassie, o sobie, o nas?
Charlie zastanawiała się przez chwilę, zanim odpowiedziała.
- Nie, oczywiście, że nie pozwolę.

- To lepiej jedź do niego, kochanie - podsunęła Olivia najśłodszym tonem, na jaki było ją stać. - Możesz wziąć mój samochód, jeśli chcesz.
- Nie, dziękuję. Mam tu samochód Maguire'a. Jego stan pozostawia, co prawda, wiele do życzenia, ale zdążyłam się już do niego przyzwyczaić. Tym razem pamiętała o torebce, wzięła też gruby, ciepły sweter i wybiegła z domu. Zatrzymała się na tarasie, obejrzała i spojrzała na stojącą w drzwiach matkę.
Podeszła do niej i zamknęła ją w niedźwiedzim uścisku.
- Dziękuję, mamo.
Olivia uśmiechnęła się wprawdzie trochę krzywo, ale w oczach miała łzy.
- Cała przyjemność po mojej stronie, skarbie. Zawsze chciałam być heroiną.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Ręka bolała jak jasna cholera. Kto by pomyślał, że stara, sfiksowana, upiorna madame Antonella była aż tak silna.
Jakby tego było mało, musiał odsłuchać na automatycznej sekretarce siedemnaście wiadomości, wszystkie, jak łatwo się domyślić, od Gregory'ego. Zdesperowany szef „Starlight” groził mu, próbował przekupywać, wreszcie błagał. Maguire kasował każde nagranie po wysłuchaniu kilku pierwszych zdań. Poza tym nie miał żadnych wiadomości, ale czego właściwie oczekiwał, czego się, u licha, spodziewał?
Charlie zapewne o tej porze smacznie śpi, śni niewinne sny i dziękuje Bogu, że uszła cało. Nie, nie przed obłąkaną starą wiedźmą, ale przed zupełnie dla niej nieodpowiednim mężczyzną, z którego nie miałyby najmniejszego pożytku.

Raz już uciekła, skądinąd z wielkim hukiem. Gdyby nie pojechał za nią tknięty najgorszymi przeczuciami, więcej już by go, szczęśliwie dla siebie, nie miała okazji zobaczyć.
I nie zobaczy, bo Connor Maguire wyjedzie z Włoch w jasną cholere. Po piętnastu latach tułaczki wróci wreszcie do domu. Thomas Wolfe powiedział, że nie można wrócić do domu. Na

każdego, no, prawie na każdego, przychodzi pora młodości durnej i chmurnej. Taki młody człowiek, durny i chmurny, zarzuca tobołek na plecy, rusza w świat na spotkanie przyszłości i już nie może się cofnąć, nie może odzyskać słodkiego, bezpiecznego schronienia z czasów dzieciństwa. Naprawdę nie może? Maguire był innego zdania. Zamierzał dowieść, że amerykański pisarz z gruntu nie miał racji.

Bo on wróci. Znajdzie sobie jakąś miłą, dużą Australijkę i dochowa się gromadki dzieci. Może uda mu się zapomnieć o Charlie Thomas. Za rok, za dziesięć lat.

Może.

Pakowanie dobytku jedną ręką okazało się prawdziwą katorgą. Kość nie była złamana, zaledwie pęknięta, ale to słaba pociecha, skoro przyczyniała nieznośnego bólu. Unieruchomił nieszczęsną

⁶Thomas Wolfe (1900–1938) – amerykański pisarz, m. in. autor powieści „You Can't Go Home Again” (przyp. tłum.).

kończynę górną, żeby się nią przypadkiem, z rozpędu, nie posłużyć. Gdyby nie zrobił tego, co powinni w zasadzie zrobić w szpitalu i czego sam z wrodzonej głupoty nie dopilnował, pewnie zaczęłby tłuc pięścią w ścianę.

Wrzucił do walizki ubrania, potem, powodowany niezrozumiałym odruchem, dorzucił stanik i buty Charlie. Nie potrafił powiedzieć dlaczego. Może uległ jakiemuś idiotycznemu przypiływowi sentymentalizmu? Może uczyni z jej rzeczy swego rodzaju zakładników i zmusi ją tym sposobem, żeby przyjechała do Australii odebrać swoją cenną własność? A może przegrał ostatecznie, może wszystko bezpowrotnie stracił?

Trzymał w ręku CD-rom, na którym miał skopiowany komplet materiałów dotyczących Pompassé'a. Byłby głupcem, gdyby wyrzucił krążek. Powinien traktować jego zawartość jako zabezpieczenie na starość albo przedmiot szantażu, gdyby sprawy zaczęły przybierać niekorzystny dla niego obrót. A jak nie, to po prostu wydrukuje sobie zdjęcia Charlie i powiesi je na ścianie. Tak czy inaczej nie powinien rozstawać się z krążkiem.

Powiedział Olivii, że zrezygnował z pisania książki. Długo czekali w szpitalu, aż ktoś się nimi zajmie. Wystarczająco długo, by Olivia zdążyła powiedzieć mu bez owijania w bawełnę, co o nim myśli.

- Ostrzegłam cię, Maguire - mówiła. - Ona jest mi bardzo droga, kocham ją i nie pozwolę, żebyś złamał jej serce.

- Nigdy więcej jej nie zobaczę - odpowiedział ponuro. - Słowo skauta. Nie będę pisał książki. Zostawiam wszystko w diabły, wracam do Australii i nie chcę więcej słyszeć nazwiska Pompasse. Olivia nie wydawała się szczególnie zachwycona tą wiadomością.

- Zależy ci na niej, Maguire. Bądź mężczyzną i przyznaj się. Ona się boi, rozumiesz? Boi się, że skończy tak jak ja.

Zastrzygł uszami i wbrew jego woli oraz mocnym postanowieniom, nie wiadomo kiedy dał się wciągnąć w rozmowę.

- Możesz dokładniej wyjaśnić, co przez to rozumiesz? - zainteresował się.

- Boi się, że jeśli się w kimś zakocha, zacznie postępować tak samo jak jej matka. Stanie się żalną, skupioną na sobie kobietą, która nieustannie zmienia mężczyzn. Charlie nie rozumie, że jest zupełnie do mnie niepodobna. Ona daje, zamiast brać. Tymczasem od czasu do czasu powinna też brać, bo to żadna zbrodnia.

- Nie patrz tak na mnie - burknął. - Nie będzie chciała mieć już ze mną do czynienia. Wszystko skończone między nami. *Fare finita con questa cosa*, jak by powiedzieli Włosi. - Nie był pewien, czy poprawnie wyłożył swoje stanowisko w obcym

języku. W każdym razie powtórzywszy to samo, co już powiedział po angielsku, niejako umacniał się w podjętej decyzji.

- Naprawdę tak uważasz, Maguire? - zapytała Olivia. - Myślałam, że jesteś trochę mądrzejszy.

Tu rozmowa się urwała. Olivię zabrano do gabinetu zabiegowego, miała mieć zakładane szwy. Maguire życzył jej serdecznie szybkiego znieczulenia. Nic dziwnego, że Charlie była nieznośna, skoro urodziła się z takiej matki. Wierzył jednak słowom Olivii, że córka w niczym jej nie przypominała. Poza tym, że obie jednakowo skutecznie i szybko potrafiły wyprowadzić człowieka z równowagi. Tak, z tym nie miały najmniejszych problemów.

Spojrzał na CD-rom, który trzymał w dłoni.

Jeśli zacznie ulegać sentymentom, koniec z nim. Powinien zachować krążek, bo nigdy nie wiadomo, czy któregoś dnia nie okaże się przydatny.

Miał już włożyć go do walizki, kiedy usłyszał, że ktoś otwiera drzwi wejściowe. Nie zamknął ich po powrocie do domu, prawie nigdy tego nie robił. Był wystarczająco silny i sprawny, żeby poradzić sobie z nieproszonym gościem, a w okolicy, gdzie mieszkał, pełno było podejrzanych typów. Większość z nich go znała, a powszechnie było wiadomo, że lepiej nie zaczepiać Maguire'a.

W progu zamiast ciemnego typu stała Charlie.
Była wściekła jak wszyscy diabli i piorunowała

go wzrokiem, który mógł obrócić człowieka
w nędzną kupkę popiołu.

Na wszelki wypadek powściągnął szeroki
uśmiech. Może jednak nie rozmyśliła się po nocy
spędzonej w krypcie? Może jednak go chce?

Maguire'owi zaświtał promyk nadziei.

- O co chodzi tym razem?

- Nie napiszesz żadnego artykułu - oznajmiła,
trzaskając z impetem drzwiami, po czym wkroczyła
do pokoju.

Huk był bardzo efektowny, ale wejście Charlie
jeszcze bardziej. Lubił kobiety, które potrafią
trzaskać drzwiami. Cholera, lubił w Charlie
wszystko, łącznie z jej piorunującym go spojrzeniem.
Potrafiła w jednej chwili zmienić się
z cichej myszki w prawdziwą furję.

Powinien wreszcie zdobyć się na szczerłość:

był w niej beznadziejnie, kretyńsko zakochany.

Czy mu się to podobało, czy nie, musiał jej to
powiedzieć, ale dopiero wtedy, kiedy naprawdę
zostanie przyciśnięty do muru, ani minuty wcześniej.
W żadnym wypadku.

- Nie ma i nie będzie żadnego artykułu, skarbie

- powiedział spokojnie, przeciągając zgłoski.

- Wyrzuciłaś przez okno mój komputer, pamiętasz?

- Włożył CD-rom do kieszeni. Na wszelki
wypadek.

- O ostatniej nocy też nie napiszesz. Nie
wiem, czy policja uwierzyła w naszą fantastyczną

wersję, ale jedno wiem na pewno: zamierzają
zamknąć dochodzenie.

- Cóż za łatwowierność - zauważył Maguire

z westchnieniem. - Żądasz, żebym zrezygnował
z materiału mojego życia tylko dlatego, że znajdzie
się tam kilka niemiłych akcentów?

- Zapomnij o materiale swojego życia.

- W porządku, już zapominam. Powiedziałem
twojej matce, że rezygnuję. Nie będzie materiału,
nie będzie książki o Pompassie. Dziwne, że ci
tego nie powtórzyła.

Charlie miała zdumioną minę. Najwyraźniej
nie spodziewała się, że Maguire tak łatwo i szybko
ustąpi.

- To, co mi powiedziała, brzmiało trochę inaczej,
ale moja matka potrafi być zaskakująca - odezwała
się Charlie po dłuższej chwili. - Zdajesz sobie
sprawę, że prawdopodobnie stracisz pracę?

- Już straciłem - oznajmił radośnie.

Popatrzyła na niego z namysłem.

- To jak zamierzasz mnie utrzymywać?

Maguire zamrugnął gwałtownie.

- Przepraszam?

- Drobiazg. - Przeszła obok niego i zajrzała do walizki. - Pakujesz się? Można wiedzieć, dokąd się wybieramy?

Spróbował jakoś zapanować nad sobą.

- My nigdzie - powiedział stanowczym tonem.

- Wracam do Australii.

- Skoro my nigdzie się nie wybieramy, to dlaczego widzę w twojej walizce moje buty i mój stanik?

Chciał wzruszyć ramionami, ale poczuł przeszywający ból w ręce i musiał się powstrzymać przed nierozważnym gestem.

- Pamiątka. Zbieram pamiątki po wszystkich kobietach, które miałem.

Charlie stanęła naprzeciwko niego. Była bardzo zmęczona, jeszcze bardziej zdenerwowana i niepewna, ale dotąd nigdy nie widział, żeby było w niej tyle życia, co właśnie w tej chwili.

Uśmiechnęła się promiennie.

- Przepraszam, stary. To nie jest łatwe. Obiecałeś mi, że kiedy już wydostaniemy się z krypty, będziemy się kochać dzień i noc. Liczę na to, że dotrzymasz słowa.

- Próbowałem tylko czymś cię zająć - wyjaśnił beztrąsko.

- No więc uznaj, że mnie zająłeś. Nie pozbędziesz się mnie, Maguire, żebyś nie wiem jak się nateżał. Pogódź się z tym. Jestem zimnokrwistą, pozbawioną serca kobietą, ty natomiast jesteś jedynym facetem, który potrafi coś z tym zrobić. Nie pozwolę ci uciec. - Charlie nagle straciła swadę i zawałała się. - Chyba że mnie nie chcesz.

Miał ochotę chwycić ją w ramiona i wziąć tutaj, gdzie stali, na podłodze w salonie, nie

zamierzał jednak ustąpić bez walki. Miał w końcu swój męski honor, swoją męską dumę. Jeszcze się certował, jeszcze się z nią droczył.

- Mówiłaś poważnie? Naprawdę będę musiał cię utrzymywać? - zapytał na wszelki wypadek.

- Tylko kiedy dzieci będą małe. Przez resztę czasu mogę zarabiać gotowaniem, ale będziesz musiał się ze mną ożenić.

- Lubię kobiety, które potrafią gotować

- ucieszył się Maguire.

- Jestem bardzo dobrą kucharką.

- Lubię kobiety, które wczesnym świtem kradną swoim facetom samochody. Molly na pewno by się to spodobało. Kiedyś ci o niej opowiem. Będziesz musiała ją polubić.

- I będę musiała być zazdrosna?
- Nie będziesz musiała. Z całą pewnością nie o Molly, skarbie. Gdzie zostawiłaś mój ukochany samochód?
- Stoi w zaułku. Przysięgam, że już nigdy nie usiądę za kierownicą tego grata - zastrzegła się Charlie.
- Nie będziesz musiała. - Co go naszło, żeby co chwila powtarzać, czego nie będzie musiała robić? - Nie zabierzemy go do Australii. Kupimy sobie japońską terenówkę z napędem na cztery koła. Lubię kobiety, które nie boją się mówić wprost, czego chcą.

- To ja. I chcę ciebie.
- No to mnie masz. - Maguire przygarnął ją do siebie, nie zwracając uwagi na ból w przedramieniu. Nachylił się i pocałował Charlie. CD-rom wysunął mu się z kieszeni i roztrzaskał na podłodze.